

STANISŁAW LEM

# SZPITAL PRZEMIENIENIA

## POGRZEB

Pociąg stał w Nieczawach krótko. Ledwo Stefan przebił się przez cizbę ku drzwiom i skoczył na ziemię, lokomotywa sapnęła i koła poczęły stukać za jego plecami. Już od godziny martwił się, że nie wysiadzie, i problem ten przesłonił mu wszystko inne wraz z samym celem podróży. Teraz, wdychając powietrze aż ostre po wagonowym zaduchu, kroczył niepewnie, mrużąc oczy od słońca, zarazem oswobodzony i bezradny, jakby wyrwany z ciężkiego snu.

Był jeden z ostatnich dni lutego, z niebem pełnym jasnych chmur o rozpalonych do białości obwódkach. Podmywane odwilżą śniegi osiadły ciężko w kotlinach i wąwozach, obnażały ścierniska, kępy krzaków, czarne od błota drogi i gliniaste stoki wzgórz. W jednolity dotąd biel krajobrazu wstępował zwiastun przemian — chaos.

Myśl tę przyplącił Stefan nieostrożnym stąpieniem i woda chlupnęła mu do bucika. Wzdrygnął się z obrzydzeniem. Coraz słabsze sapanie lokomotywy rozpląnęło się za wzgórzami bierzynieckimi; dał się wtedy słyszeć szmer podobny do ćwierkania świerszczy, nieuchwytny, płynący zewsząd, jednostajny odgłos tajania. W swoim włochatym raglanie, w miękkim filcowym kapeluszu i płytkich miastowych bucikach był Stefan na tle rozległego pogórza postacią mocno nie na miejscu i zdawał sobie z tego sprawę. Droga Wspinającą się ku wsi mknęły rozdygotane, rażące oczy blaskiem strugi. Skacząc z kamienia na kamień dotarł wreszcie do rozstajów i spojrzął na zegarek. Dochodziła pierwsza. Pogrzeb nie był wyznaczony na określoną godzinę, lecz należało się spieszyć. Trumna z ciałem wyjechała z Kielc jeszcze wczoraj. Znajdowała się więc już w domu stryja Ksawerego, ale mogła też być w kościele, bo w telegramie był taki niejasny zwrot o mszy. Czy może o egzekwiach? Nie mógł sobie przypomnieć, a to, że rozważa kwestie liturgiczne, zdenerwowało go. Do domu stryja było dziesięć minut drogi, tyleż na cmentarz, ale jeśli kondukt będzie szedł okrężnie, by wstąpić do kościoła... Niezdecydowanie Stefana wzrosło. Ruszył ku zakrętowi szosy, przystanął, cofnął się parę kroków i znów się zatrzymał. Wśród pól zobaczył starego chłopca, który szedł z dala miedzą trzymając na ramieniu krzyż, jaki zwykle nosi się przed pogrzebem. Stefan chciał zawołać na niego, ale się nie odważył. Zacisnąwszy zęby, puścił się wielkimi krokami w stronę cmentarza. Chłop doszedł do muru cmentarnego i znikł. Nie było widać, by szedł dalej, ku wsi, więc Stefan z desperacją zagiął poły płaszcza i unosząc je jak kobieta coraz karkołomniej sadił przez kałuże. Droga na cmentarz omijała niewielki pagórek, porosły gęsto leszczyną. Stefan pobiegł na przełaj, nie zważając na zapadający się śnieg i chlaszczące po twarzy witki. Naraz gęstwina się skończyła. Zeskoczył na drogę tuż przed cmentarzem. Cicho tu było i pusto, po chłopie ani śladu. Pośpiech Stefana rozwiął się nagle. Posepnie obejrzał ubłocone po kostki stopy i zgrzany, oddychając głębiej, zajrzał ponad furta do środka. Na cmentarzu nie było nikogo. Pchnięta furta zakrakała przeraźliwie i umilkła w żalonym stęknięciu. Brudny, zaskorupały śnieg okrywał faliście groby, rozchylając się lejąco u podnóża krzyży. Ich drewniane szeregi urywały się u kępy dzikiego bzu; dalej stały kamienne nagrobki księży nieczawskich i większy od nich, odosobniony grobowiec rodzinny Trzynieckich, czarny ze złotymi literami dat i nazwisk, »z trzema brzożami u granitowego wezłowania. W pasie pustej przestrzeni, oddzielającej grobowiec od reszty cmentarza jak ziemia niczyja, ziała jama świeżo wykopanego grobu, plamiąca gliną białe otoczenie. Stefan przystanął zaskoczony. W grobowcu nie było już widać miejsca, a na powiększenie go nie starczyło czasu lub środków i Trzyniecki miał iść do gliny jak byle kto; Stefan wyobraził sobie, z jakimi uczuciami stryj Anzelm zarządził przewiezienie zwłok, ale innej drogi nie było: tu chowało się wszystkich umarłych, bo Nieczawy należały niegdyś do Trzynieckich, a choć na koniec został tylko dom stryja Ksawerego, zwyczaj przetrwał i po każdej śmierci rodzina słała z całej Polski swych przedstawicieli na pogrzeb.

Z ramion krzyży, z gałązek dzikiego bzu zwisały szkliste sopele, woda cykała z nich cicho,

dziurawiąc śnieg. Stefan postął chwilę nad otwartym grobem. Należało iść do domu, lecz tak nie miał na to ochoty, że ruszył między krzyże wiejskiego cmentarza. Nazwiska, wypalone drutem na deseczkach, zmieniały się w czarne zacieki, wiele znikło całkiem, pozostawiając gładkie drewno. Brnąc w śniegu, który ziębił mu stopy, Stefan obszedł cmentarz dokoła i przystanął nagle nad grobem, na którym stał duży brzozy krzyż z przybitym kawałkiem blachy. Widniał tam napis z zakrętasami:

Przechodniu Powiedz Polsce Tu Leżą Jej Syny  
Byli Jej Posłuszni Do Ostatniej Godziny.

Niżej widniały nazwiska z wymienionymi szarżami. Jako ostatni figurował żołnierz nieznany. Była jeszcze data z września 39 roku. Od tego września nie minęło i sześć miesięcy, ale napis nie przetrwałby w słotach i mrozach, gdyby go nie odnawiała czyjaś pamiętliwa ręka. O pamięci świadczyły też gałęzie jedliny, okrywające grób dziwnie mały: trudno było uwierzyć, że spoczywa w nim kilku ludzi. Stefan postął tu chwilę, zarazem poruszony i niepewny, bo nie wiedział, czy uchylić kapelusza; nie mogąc się zdecydować, poszedł dalej. Ziąb śniegu dawał mu się we znaki; uderzając bucikiem o bucik, znów spojrzał na zegarek. Było dwadzieścia minut po pierwszej i należało się pospieszyć, jeśli miał zdążyć do domu, pomyślał jednak, że czekając tu na kondukt znakomicie uprości swą ceremonialną obecność na pogrzebie, zawrócił więc i raz jeszcze przystanął nad rozkopaną ziemią, która przyjąc miała ciało stryja Leszka. Zajrzawszy w głąb pustej jamy, Stefan zauważył, jaka jest głęboka. Świadomy tajników techniki grzebalnej pojął, że grób pogłębiono umyślnie, aby mógł w przyszłości zawrzeć jeszcze jedną trumnę — ciotki Anieli, wdowy po stryju Leszku. Odkrycie to dotknęło go jak podpatrzona niechcący niegodziwość; mimo woli cofnął się od dołu i w oczy rzuciły mu się szeregi koślawych krzyży. Jego umysł był jakby uwrażliwiony samotnością i to, że różnice stanu posiadania trwają dalej w zgromadzeniu umarłych, wydało mu się absurdalne i nikczemne. Przez chwilę oddychał głębiej. Panowała zupełna cisza. Od niedalekiej wsi nie dobiegał najśłabszy odgłos, nawet wrony, których krakanie towarzyszyło mu przedtem w wędrownie, ucichły teraz zupełnie. Krótkie cienie krzyży leżały na śniegu, ziąb od nóg podchodził przez ciało do serca. Kuląc się, wcisnął ręce do kieszeni i w prawej odkrył małe zawiniątko, — paczuszkę z chlebem, którą matka wetknęła mu, nim wyszedł z domu. Raptownie poczuł głód, wydobył chleb z kieszeni i odwinął cienki papier. Między kromkami różowiło się nieco szynki. Przybliżył chleb do ust, lecz nie mógł jeść nad rozkopanym grobem. Mówił sobie, że to przesad, bo cóż takiego ostatecznie — jama wykopana w glinie — a jednak nie zdołał się przemóc. Z pajdką chleba w ręku pobrnął ku furcie cmentarnej. Idąc tak, mijał bezimienne krzyże, w ich nieforemnych kształtach daremnie szukało się jakichś cech indywidualnych, świadczących o ich pośmiertnych właścicielach. Pomyślał, że troska o trwałość grobów jest wyrazem niepamiętnych czasów sięgającej wiary, iż mimo twierdzenia religii, wbrew oczywistości gnicia, na przekór świadectwu zmysłów zmarli wiodą w głębi ziemi jakieś istnienie, może niedogodne, wstrętne nawet, ale przecież istnienie, toczące się poty, póki nad ziemią stoją jeszcze jakieś znaki rozpoznawcze.

Dotarł do furty, .raz jeszcze spojrzał, z oddali na rzędy krzyży zanurzonych w śniegu i żółtawą plamę wykopanego grobu, i wyszedł na błotnistą drogę. Kiedy przemyślał do końca ostatni wywód, absurdalność zabiegów cmentarnych stała się dlań oczywista i swój udział w dzisiejszym pogrzebie odczuł jako coś żenującego. Przez chwilę był nawet zły na rodziców, że nakłonili go do tej eskapady, tym dziwniejszej, że właściwie nie był tu sobą, lecz przedstawiał chorego ojca.

Jadł teraz powoli chleb z szynką, zwilżając kęsy śliną i przetykając z pewnym trudem, bo mu zaschło w gardle. W głowie myśli biegły dalej. Tak, to zupełnie pewne, rozważał, że ludzie jakąś najbardziej głuchą na argumenty świata częścią swego jestestwa wierzą w owo

właśnie przez niego odkryte „trwanie zmarłych”, gdyby bowiem troska o groby była tylko wyrazem miłości i żalu za utraconym, zadowoliliby się spieką nad naziemnym, widowym kształtem grobu. Sprowadzając jednak motywy cmentarnej działalności ludzi do takich uczuć, nie sposób wytłumaczyć dbałości o wygodę zwłok, która każe zmarłych ubierać, kłaść im poduszeczki pod głowy i zamykać ich w futerałach jak najodporniejszych na działanie sił przyrody. Postępującymi tak musi powodować ciemna i nierozumna wiara w dalsze trwanie zmarłych — to okropne, przerażające żywego trwanie w ciasnym zamknięciu trumny, które widać lepsze być musi jednak w ich instynktownym mniemaniu od całkowitego unicestwienia i zespolenia z ziemią.

Sam o tym nie wiedząc, zaczął iść w stronę wsi, a zarazem wieży kościelnej błyszczącej w słońcu. Nagle dojrzał na zakręcie szosy jakiś ruch i nim jeszcze pojał, co się tam dzieje, pospiesznie wetknął chleb do kieszeni.

Tam, gdzie szosa omijała wzgórze, biegnąc pod jego stromą, gliniastą ścianą, ukazała się ciemna plama pochodu. Ludzie byli tak daleko, że nie rozróżniał twarzy, widział tylko sunący przodem krzyż, tuż za nim białe plamki księżych komzy, dach samochodu i głębiej sporo maleńkich figurek, które poruszały się tak wolno, jakby przestępowały w miejscu z nogi na nogę, kołysząc się pewno majestatycznie, ale pomniejszenie, sprawione odległością, czyniło te ruchy prawie groteskowymi. Trudno było wziąć ten miniaturowy pogrzeb serio i oczekiwać go z należytą powagą, nie łatwiej też iść mu naprzeciw. Było to jakby przypadkowo uronione zbiorowisko ciemnych lalczków sunących u podnóża wielkiego gliniastego obrywu, a wiatr przynosił odeń strzępki niezrozumiałego zawodzenia. Stefan chciał znaleźć się tam jak najszybciej, nie śmiał jednak ruszyć się z miejsca i tylko, zdjąwszy kapelusz, od czego wiatr potargał mu natychmiast włosy, czekał nieruchomo na skraju drogi. Ktoś nieświadomy nie mógłby pojać, czy jest on spóźnionym uczestnikiem żałobnej uroczystości, czy tylko przypadkowym przechodniem. Postaci idących rosły, w miarę jak się zbliżali, i niepostrzeżenie przekroczyły granicę tego oddalenia, którego efekt tak osobliwe wywarł wrażenie na patrzącym. Na koniec Stefan poznał starego chłopca idącego na czele z krzyżem, obu księży, wlokącą się za nimi ciężarówkę z pobliskiego tartaku i wreszcie całą, kroczącą w rozsypce rodzinę. Nieskładny śpiew kobiet wiejskich powtarzał się monotonicznie bez jednej przerwy; gdy orszak był ledwo kilkanaście kroków od Stefana, dało się słyszeć dzwonienie — zrazu kilka nierównych dźwięków, potem uderzenia pełne, mocne, z dostojnością rozplywające się po okolicy. Gdy dzwon przemówił, Stefan pomyślał, że najpierw musiał pociągnąć za sznur mały Wicek od Szymczaków, którego odpędził zaraz jedynie powołany do dzwonięcia rudy ‘Tomek, ale natychmiast uświadomił sobie, że „mały” Wicek musi być już parobkiem w jego, Stefana, wieku, a po Tomku ślad zginął, odkąd wyjechał do miasta. Widać jednak walka o prawo dzwonięcia trwała w młodym pokoleniu Nieczaw.

Trafiają się w życiu sytuacje nie przewidziane podręcznikiem dobrych manier, tak trudne i drażliwe, że pokonać je można tylko wielkim taktem i pewnością siebie. Stefan, pozbawiony tych cnót, nie miał pojęcia, w jaki sposób przyłączyć się do orszaku i stał niezdecydowany, czując wyraźnie, że go dostrzeżono, co zwiększyło jeszcze jego pomieszenie. Szczęśliwie przed samym kościołem pochód zatrzymał się, jeden z księży podszedł do szoferki i pytał o coś kierowcy, który kiwał potakująco głową, a nie znani Stefanowi chłopcy wleźli na samochód i jęli ściągać trumnę. Uczyniło się, pewne zamieszanie, w którym Stefan zdołał szybko przymknąć do grupy stojącej koło auta. Zauważył właśnie krępą postać i szpakowatą, wbitą w ramiona ‘głowę stryja Ksawerego, który podtrzymywał ciotkę Anielę, całą w czerni, gdy od trumny rozległo się przytłumione wołanie: trzeba było więcej ludzi, by wnieść ją do kościoła. Stefan rzucił się tam, że jednak, jak zwykle wtedy, gdy trzeba było na oczach wszystkich podjąć jakąś choć trochę odpowiedzialną czynność, bardzo się spieszył, jego gotowość działania objawiła się jedynie nerwowym podrepty—waniem przy pace ciężarówki; ostatecznie trumna wzniosła się nad głowy obecnych bez jego pomocy, a jemu dostała się

tylko do niesienia futrzana burka, którą w ostatniej chwili zrzucił z siebie i podał mu najstarszy brat ojca, stryj Anzelm.

Burkę tę wniósł Stefan do kościoła, wchodząc jako jeden z ostatnich, lecz pełen przeświadczenia, że dźwigając ów ogromny błam niedźwiedzi i on przyczynia się do sprawnego przebiegu ceremonii. Dzwon zakończył swą monotonną pieśń zająkliwym uderzeniem, obaj księża na chwilę znikli, potem znów się ukazali, podczas gdy rodzina sadowiła się w ławkach, i od ołtarza pobiegły pierwsze wypowiedziane po łacinie słowa egzekwii.

Na dobrą sprawę Stefan mógł usiąść, bo i miejsca w ławkach było sporo, i futro stryjowe nie należało do lekkich, ale wolał stać w głębi nawy ze swym brzemieniem, może właśnie dlatego, że mu ciążyło i przez to jakby kompensowało jego nieśmiałość z poprzedniej chwili. Trumna stała już na wprost ołtarza, a stryj Anzelm, zapaliwszy wokół niej świece, podszedł titamtąd prosto ku Stefanowi, który nawet się tym trochę zmieszał (liczył na ciemność panującą u stóp filara, pod którym stał). Uściskawszy jego ramię, stryj wyszeptał pod śpiewny głos księży:

— Ojciec chory?

— Tak, proszę stryja. Miał wczoraj atak.

— Te kamienie, co? — rzekł stryj swoim przeraźliwym szeptem i chciał wziąć futro z rąk Stefana, który go jednak nie puścił, bąkając:

— Ależ nie, ależ proszę, ja, ja już będę...

— No dajże mi futro, ośle, przecie tu zimno jak w psiarni! — powiedział stryj dobrodusznie, lecz prawie na głos, zarzucił na ramiona burkę i odszedł do ławki, w której siedziała wdowa, pozostawiając Stefana jak niepysznego; młody człowiek czuł jeszcze dobrą chwilę, jak pałą go policzki.

Ten w gruncie rzeczy drobny incydent zepsuł mu cały pobyt w kościele. Ochłonął dopiero po dobrej chwili, dostrzegłszy stryja Ksawerego siedzącego na skraju ostatniej ławki. Z pewną pociechą pomyślał, jak nieswojo musi czuć się Ksawery, ateusz tak wojujący, że próbował nawracać każdego nowego proboszcza. Był to stary kawaler, raptus i weredyk, zagorzały prenumerator biblioteki Boya, zwolennik regulacji porodów i w dodatku jedyny lekarz w promieniu dwunastu kilometrów. W swoim czasie krewni z Kielc usiłowali wyprzeć go ze starego domu, prowadząc z nim przez lata walkę w sądach powiatowych i okręgowych, lecz Ksawery wygrał wszystkie procesy i jeszcze im tak chytrze — jak powiadał — naubliżał, że nic mu zrobić nie mogli. Teraz siedział ciężko, położywszy wielkie ręce nieruchomo na pulpicie, oddzielony ławką od pokonanych krewnych.

Kiedy organy odezwały się swym głębokim głosem, drgnęło coś w Stefanie przypomnieniem dawnej, gorącej i pokornej świętości, która parzyła jego duszę, gdy był całkiem mały; muzykę organową miał zawsze w wielkim poważaniu. Egzekwie toczyły się w największym porządku; jeden z księży rozpałił kadzidło w małym kaganku i obszedł trumnę, otaczając ją kłębem wonnego, choć tracącego spalenizną dymu. Stefan poszukał oczami wdowy — siedziała w drugiej ławce, skulona, cierpliwa, dziwnie obojętna na słowa księży, którzy w girlandach łaciny coraz wyśpiewywali jej nazwisko, a zarazem nazwisko zmarłego, powtarzając je podniosło i jakby natarczywie — ale nie zwracali się do ucha żadnego z żywych, tylko do Opatrzności, i ją prosili, błagali, nakazywali jej niemal zyczliwość dla tego, którego już nie było.

Organy zamilkły i znów trzeba było wziąć na barki trumnę osadzoną na katafalku przed ołtarzem, lecz teraz Stefan nawet nie próbował się tam zbliżyć; wszyscy wstali i pokaszlując gotowali się do dalszej drogi. W momencie gdy trumna, chwiejąc się łagodnie, opuszczała przyciemnioną nawę, na samych schodkach kościoła nastąpiło zamieszanie — ta podługowata, ciężka skrzynia groźnie zapadła się przodem, lecz natychmiast las wzniesionych rąk przywrócił jej równowagę, tak że tylko kołysząc się żwawiej, jakby

podniecona tym, co omal nie nastąpiło, wychynęła na niskie już słońce.

W owej chwili przeniknęła Stefanowi przez głowę bardzo głupia i makabryczna myśl, że osobą w trumnie na pewno był stryj Leszek, bo on zawsze lubił narwane kawały, nawet w uroczystych sytuacjach. Myśl tę zaraz stłumił, a raczej wyprowadził na płaszczyznę zdrowego rozumowania: że jest to absurd, a trumna zawiera nie stryja, a tylko jakąś pozostałość, jakąś resztę po jego osobie, tak żenującą i kłopotliwą, że dla jej usunięcia ze środowiska żywych obmyślono i zainscenizowano całą tę nieco długotrwałą, zawilą i z lekka fałszem pobrzmiwającą historię.

Tymczasem szedł już z innymi za trumną, kierującą się ku rozwartej na oścież furcie cmentarza. Otaczający go orszak składał się z jakichś dwudziestu osób; spotkane z dala od trumny, robiły wrażenie nieco dziwaczne, bo stroje ich stanowiły coś pośredniego między ubraniem na dłuższą podróż (jako że wszyscy niemal przyjechali do Nieczaw z daleka) a odzieniem wizytowym z przeważającą barwą czerni. Zarazem większość mężczyzn nosiła angliki z cholewami, a—niektóre kobiety miały na nogach podobne do butów, sznurowane, wysokie, futrem lamowane trzewiki. Ktoś, kogo z tyłu nie mógł Stefan rozpoznać, miał na sobie żołnierski płaszcz bez wszelkich dystynkcji, z oderwanymi jakby siłą patkami, ściągnięty mocno pasem; ten płaszcz, na którym przez długą chwilę zatrzymało się spojrzenie Stefana, był tu jedynym przypomnieniem kampanii wrześniowej, chociaż nie — zdecydował po sekundzie — świadczyła o niej też nieobecność tych, którzy w innych okolicznościach zjawiliby się tu na pewno, jak stryj Antoni i kuzyn Piotr, obaj przebywający w niewoli niemieckiej.

Śpiew, a raczej zawodzenie kobiet wiejskich, powtarzający rozwlekle „wieczne odpoczywanie racz mu dać, Panie, a światłość wiekuista...” niecierpliwił Stefana krótko, bo wnet przestał docierać do jego świadomości. Orszak wydłużył się, a potem skupił u wejścia cmentarnego i za wzniesioną wysoko trumną popłynął czarnym sznurem między grobami. Nad otwartą mogiłą znów rozpoczęły się modły. Stefanowi było ich już trochę nadto i pomyślał nawet, że gdyby był wierzący, uznałby takie ciągłe ponawianie prośb za natręctwo wobec istoty, do której były kierowane.

Zanim ostatnia uwaga uformowała się w nim do końca, ktoś pociągnął go za rękaw. Odwrócił się i ujrzał otoczoną kołnierzem futra, szeroką, z orlim nosem twarz stryja Anzelma, który spytał go, znowu zbyt głośno:

— Jadłeś już dziś co? — i, nie doczekawszy się odpowiedzi, dodał szybko:

— Nic się nie bój, będzie bigos! — po czym klepnął go w plecy i garbiąc się przemykał między stojącymi, zwróconymi w stronę wciąż jeszcze pustego grobu. Dotykał każdego palcem, poruszając przy tym wargami, co mocno dziwiło Stefana, dopóki się nie zorientował w prozaiczności stryjowego postępowania: Anzelm liczył po prostu obecnych. Zaraz też wydał gromkim szeptem dyspozycję chłopakowi, który najpierw z prostaczą rewerencją wycofał się z czarnego kręgu, a znalazłszy się za furką, pognął prosto do domu Ksawerego.

Zakończywszy swą gospodarską czynność, stryj Anzelm stanął, czy to umyślnie, czy przez przypadek, znowu u boku Stefana i znalazł nawet chwilę, by zwrócić jego uwagę na malowniczość grupy otaczającej grób. A właśnie czterech roślących chłopów uniosło trumnę na sznurach i jęło opuszczać ją w głąb zięjącego wnętrza, aż spoczęła, ale trochę krzywo, tak że jeden z nich musiał, zapierając się posiniałymi rękami o brzeg; ziemi, pchnąć ją mocno butem. Taka obcesowość wobec przedmiotu, który przez cały czas do tej chwili otaczany był nieustanną czcią, dotknęła przykro Stefana. W tym fakcie znalazł jeszcze jedno potwierdzenie swej tezy, że żywi, mimo całej kunsztowności postępowania, jakim usiłują nadać okrągłość okrutnie kanciastemu przejściu od życia do śmierci, nie potrafią jednak znaleźć wobec umarłych jakiejś jednolitej a ciągłej postawy.

Gdy łopaty, pracujące z zapalem przechodzącym w zawziętość, zamknęły grób i uklepały nad nim wydłużoną pryzmę gliny, jawnie ukazała się wojenna specyfika tego pogrzebu, nie

do pomyślenia było bowiem, żeby, uchodząc z cmentarza, zostawiało się grób jednego z Trzynieckich nie zasypawszy go kwiatami, ale tej pierwszej powrześniowej zimy trudno było o tym myśleć. Zawiodły nawet szklarnie bliskiego majątku Przetułowiczów, bo szyby wytłuczone zostały w czasie walk, tak że nagrobek powstał tylko z naręczy gałęzi jodłowych, i oto po odmówieniu ostatniej modlitwy, przeżegnawszy się, wszyscy nieznacznie podawali plecy wzgórkowi pozieleniałej gliny i jeden za drugim wyciekać poczęli śnieżystymi ścieżynami na pełną błota i kałuż wiejską drogę.

Kiedy księża, przemarznięci jak wszyscy, zdjęli swe białe komże, od razu się jakoś uzwyczajili, podobną, choć mniej wyrazistą przemianę widziało się w innych obecnych: opadała z nich uroczysta powaga, jakieś zwolnienie ruchów i spojrzeń, i naiwnemu obserwatorowi mogłoby się zdawać, że ci ludzie do tej pory stąpali cały czas na palcach, czego naraz zaniechali.

W drodze powrotnej Stefan manewrował tak, żeby się czasem nie dostać w pobliże ciotki Anieli—wdowy, nie żeby jej nie lubił albo nie współczuł, przeciwnie, było mu jej żal, tym bardziej że wiedział, jak kochające się stanowili ze stryjem małżeństwo, ale mimo gorączkowych wysiłków nie mógł wykrzesać z siebie ani jednego zdania kondolencji. Przez ten popłoch wewnętrzny zapędził się na czoło wracających, gdzie stryj Ksawery wiódł pod rękę ciotkę Melanię Skoczyńską. Był to widok tak dziwny i rzadki, że Stefan aż się zdumiał, stryj bowiem ciotki Melanii nie znosił w sposób wszechstronny, nazywał ją ampułką ze starym jadem i mawiał, że trzeba dezynfekować ziemię ze śladami jej stąpień. Ciotka Melania, stara panna, z dawien dawna trudniła się jątzeniem waśni wewnątrzrodzinnych w ten sposób, że sama zachowując całą słodycz neutralności, z domu do domu przenosiła jadowite powiedzonka i plotki, od czego powstawały wielkie kwasy i dużo szkody, ponieważ Trzynieccy byli wszyscy i krewcy, i niezmiernie konsekwentni w raz wzbudzonych uczuciach. Dojrawszy Stefana, Ksawery zawołał z daleka:

— Witaj, bracie w Eskulapie! Masz już dyplom, co?!

Stefan musiał naturalnie przystanąć dla przywitania i z rozmachem tknął wyziębłą dłoń ciotki—panny nosem, po czym już we troje ruszyli ku domowi, który wyłonił się spośród drzew, żółty jak jajko, istny dworek z klasycznymi kolumnkami i wielką werandą wychodzącą na sad owocowy. Przed wejściem przystanęli czekając na nadchodzących. W stryju Ksawerym zniecka ocknął się gospodarz, zaczął więc zapraszać wszystkich do środka z takim impetem, jakby krewni mieli właśnie zamiar rozsypać się po śnieżystej i grząskiej okolicy. W samych drzwiach przeszedł Stefan krótką, lecz przejmującą mękę wielokrotnych powitań, które, zawieszane na czas pogrzebu, obruszyły się nań teraz lawiną. Musiał dobrze uważać, by całując na przemian ręce i kłujące policzki, nie pochylić się ku jakiejś męskiej dłoni, co mu się czasem trafiało. Nie wiedział nawet, kiedy wśród szurania butów i wywijania rękawami zdejmowanych okryć znalazł się w bawialnym. Na widok ogromnego zegara szafkowego z mosiężnymi wagami poczuł się naraz ogromnie swojsko, bo pod przeciwległą ścianą, pod rogatym czerepem jelenim rozkładano dlań posłanie, ilekroć przyjechał do Nieczaw; po kątach stały poprzetręcane fotele, z którymi w dzień walczył, dobierając się do ich włosianych wnętrzości, a w nocy budziło go czasem basowe wydzwanianie godzin i tarcza zegara majaczyła nieziemsko z mroków odbitym gdzieś księżycowym światłem, okrągła, chłodna, pomieszana ze snem i jaśniejąca nieruchomo, właśnie jak księżyc. Nie mógł się jednak oddać wspomnieniom dzieciństwa, bo w pokoju zapanował znaczny ruch. Panie siadały na fotelach, panowie, stojąc, otoczyli się chmurą papierosowego dymu, rozmowa nie rozgrzała się jeszcze, a już otwarły się oba skrzydła drzwi do jadalnego i na progu stanął Anzelm. Z marszem dobrodusznego, roztargnionego nieco cezara prosił wszystkich do stołu. O stypie nie było oczywiście mowy, słowo to zadźwięczałoby niestosownie, po prostu proszono stroskanych i znużonych podróżą krewnych na skromną przekąskę.

Był tu, wśród rodziny, jeden z księży, którzy wiedli orszak na cmentarz, chudy, z twarzą żółtawą, zmęczoną, ale uśmiechniętą, jakby zadowolony z tego, że wszystko odbyło się tak składnie. Ksiądz ten, nachylając się nisko a sztywnie, rozmawiał z seniorką rodu Trzynieckich, ciotką–babką Jadwigą, maleńką, w przydługich i zbyt obszernych sukniach, jakby zwiędła i skurczyła się trwając nieustannie w ich wnętrzu, tak że musiała trzymać ręce uniesione modlitewnie w górę, by się jej żaboty rękawów nie zesunęły do końca na wyschłe paluszki. W jej małej, trochę płaskiej i właściwie niestarej twarzy czaił się wyraz nieobecności i przekory, jak gdyby wcale nie słuchając księdza, obmyślała właśnie jakiś po starczemu dziecinny psikus. Wodziła po otoczeniu zaokrąglonymi, błękitnymi oczami i naraz, upatrzwszy sobie Stefana, kiwnęła nań zgiętym w haczyk palcem. Młody lekarz przełknął z determinacją i zbliżył się, ksiądz zastygł, a ciotka–babka patrzyła z dołu na Stefana pilnie i jakoś chytrze, aż powiedziała zdumiewająco grubym głosem:

— Stefan, syn Stefana i Michaliny?

— Tak, tak — gorliwie przyświadczył zapytany.

Ciotka—babka uśmiechnęła się do niego, nie wiadomo, czy rada swej pamięci, czy wyglądowi ciotecznego wnuka; ujęła dłoń Stefana swą do ostrości chudą rączką, zbliżyła ją do oczu, przyjrzała się jej z obu stron, a potem raptownie puściła, jakby nic tam nie znalazła ciekawego. Znów złączyła jasne oczy ze wzrokiem otumanionego tym wszystkim Stefana i rzekła:

— A wieszże ty, że ojciec twój świętym chciał zostać?

Gdaknęła cichuteńko trzy razy i zanim Stefan mógłby coś odpowiedzieć, dodała ni w pięć, ni w dziewięć:

— Mamy jeszcze gdzieś jego powijaki, zachowały się.

Potem zapatrzyła się prosto przed siebie i już się więcej nie odezwała. Tymczasem stryj Anzelm pojawił się znowu i już energiczniej prosił wszystkich do jadalnego, na koniec z przesłicznym ukłonem zwrócił się w stronę ciotki–babki i ruszył z nią w pierwszą parę, za nim zaś pociągnęli inni. Ciotka–babka nie zapomniała o Stefanie, bo życzyła sobie, żeby usiadł przy niej, co uczynił z jakąś radosną rozpaczą; trafia się człowiekowi przeżywać podobne zbitki odległych od siebie uczuć. Zasiadanie do stołu odbyło się odrobinę chaotycznie; zjawił się niewidzialny dotąd gospodarz, stryj Ksawery, z ogromną porcelanową wazą, którą poprzedzał obłok zawieszistej woni bigosowej, i obchodząc wszystkich po kolei, swą lekarską ręką o zażółconych nikotyną palcach czerpał chochlą bigos i opuszczał go w talerze z takim rozmachem, że kobiety usuwały się w trwodze o całość toalet, przez co nastrój od razu zrobił się cieplejszy. Mówiono wciąż o tym samym: o pogodzie i nadziejach na wiosenną ofensywę aliantów.

Po lewicy Stefana siedział wysoki, barczysty mężczyzna, który zwrócił przedtem jego uwagę wojskowym płaszczem. Był to krewny matki Stefana, Grzegorz Niedzic, dzierżawca z Poznańskiego. Przez cały czas milczał, a gdy zajął jakąś pozycję, nieruchomiał w niej, jakby kij połknął, uśmiechnął się tylko prosto, nieśmiało i jakoś bardzo po dziecinnemu, jakby przeproszał za kłopot, który sprawia tu swoją osobą; uśmiech ten osobliwie kontrastował z jego ogorzałą, wąsatą twarzą i z ubraniem, które zrobione było z wojskowego koca i uszyte najwidoczniej domowym sposobem, bo leżało na nim fatalnie.

Czuło się przy stole, że taka pogrobowa uroczystość to dla zebranych nie pierwszozna, a Stefanowi przyszło do głowy, że biesiadującą tak rodzinę widział po raz ostatni na Boże Narodzenie w Kielcach. Dawało to do myślenia, bo powszechne zgody były rzadkie i jednoczyły krewnych wyłącznie dokoła pogrzebów, ale choć wówczas nikt bliski nie zmarł, to jednak natężenie powszechnego żalu było podobne, bo przecież działo się to świeżo po pochówku ojczyzny, tak że ówczesna zgodliwość nie stanowiła żadnego wyjątku z reguły.

Stefanowi niełatwo przebywało się w tym zgromadzeniu, i to dla wielu powodów. W ogóle nie lubił tłumnych, a już specjalnie uroczystych zebrań, dalej: widząc naprzeciw księdza czuł,



że obecność takiej świętej osoby niechybnie sprowokuje Ksawerego do bluźnierstw i docinków, a skandalów nie cierpiał organicznie, na koniec czuł się źle dlatego, że jego ojciec (którego tu przedstawiał) nie cieszył się w rodzinie najlepszą sławą jako jedyny, odkąd pamięć sięga, pośród ziemian i lekarzy wynalazca, i to taki, który, choć dobiegał już szóstego krzyżyka, nie właściwie nie wynalazł.

Nastroju tego nie osładzało sąsiedztwo Grzegorza Niedzica, który wydawał się urodzonym niemową, bo na próby nawiązania rozmowy odpowiadał tylko ociepleniem uśmiechu i spojrzeniami^ znad talerza pełnymi sympatii, lecz tego było Stefanowi mało, łaknął pograżenia w rozmowie, tym bardziej że widział czarne błyski oczu Ksawerego, który najwyraźniej już coś szykował. Jakoż, gdy zapanowała względna cisza, przerywana tylko stukaniem łyżek o dna talerzy, stryj odezwał się:

— Mój Stefanku, ale w kościele toś się musiał czuć jak eunuch w haremie, co?

Odżywka ta miała rykoszetem ugodzić księdza i stryj gotował sobie pewno zaostrzony ciąg dalszy, lecz nie było mu dane zakosztować wrażeń swych słów, bo krewni jak na komendę zaczęli mówić głośno i szybko, wszyscy bowiem wiedzieli, że Ksawery takie rzeczy mówić musi, jak i to, że jedynym sposobem jest pospieszne głośnienie ich hałasem ogólnej rozmowy. Potem jedna z usługujących kobiet wiejskich wywołała stryja do kuchni na poszukiwania zimnego schabu, który się gdzieś zawieruszył i w posiłku nastąpiła nieprzewidziana przerwa. Stefan umiłał ją sobie oglądaniem kolekcji lic rodzinnych. Pierwszeństwo przyznawał niewątpliwie stryjowi Anzelmowi. Rozrosły, tęgi, choć nie gruby, masywny raczej, miał Anzelm twarz niepiękną, lecz jakoś po pańsku pyszną i umiał ją nosić wspaniale. Zdawało się, że wraz z burką niedźwiedzia jest ona ostatnią pozostałością po wielkich dobrach ziemskich, które utracił był ze dwadzieścia lat temu. Podobno przez folgowanie rozlicznym namiętnościom, ale Stefan nie wiedział o tym nic pewnego. Wiadomo było jedynie, że Anzelm jest zarazem energiczny, łaskawy i gniewliwy; gniewać się umiał przy tym jak nikt w rodzinie — po pięć, a i po dziesięć lat, tak że nawet ciotka Melania zapominała, b co właściwie poszło. W takich długotrwałych waśniach nikt nie ważył się pośredniczyć, bo zdradzenie przed stryjem niewiedzy o przyczynie obrazy powodowało automatycznie objęcie klątwą jego gniewu także niezręcznego mediatora. Tak właśnie sparzył się raz ojciec Stefana. Wszystkie jednak potężne, wrogie uczucia milkły w stryju Anzelmie, jak w ogóle w rodzinie, kiedy umierał krewny; wywołana tak „treuga Dei” trwała, zależnie od okoliczności, kilka do kilkunastu dni. Wtedy jego przyrodzona dobroć jaśniała w każdym spojrzeniu i słowie, tak niewyczerpane szczodra i niepamiętliwa, że za każdym razem Stefan najgłębiej był przekonany, iż to nie zawieszenie gniewów, lecz całkowity ich odpust. Potem jednak naruszony bliską śmiercią porządek stryjowych uczuć restaurował się, nieubłagana surowość triumfowała na dalsze lata i wszystko pozostawało bez zmian — do następnego pogrzebu.

Ta odporność stryja Anzelma i jego wzruszeń na czas niesłuchanie imponowała Stefanowi w chłopięctwie; później, w latach studiów, pojął częściowo jej mechanizm. Ongiś wielki gniew stryja popierała materialna potęga jego dóbr, czyli, mówiąc prościej, szło o schedę, ale dzięki nieugiętości charakteru Anzelma gniew jego przetrwał w kręgu rodzinnym utratę majątku, tak że obawiano się go nadal, choć nie stała już za tym groźba wydziedziczenia. Jednakże, nawet odkrywszy ów klucz, Stefan nie wyswobodził się od mieszaniny szacunku i trwogi przed najstarszym bratem ojca. Zimny schab znalazł się nieoczekiwanie w samym jadalnym, wewnątrz czarnego kredensu; gdy tę ogromną bryłę mięsa wydobyto z czeluści starego mebla, jego czarna barwa zestroiła się w myśli Stefana z kolorem trumny i zrobiło mu się na chwilę nijako. Naraz z tupotem i hałasem wniesiono przez korytarzowe drzwi szereg pieczonych kaczek, słoje cierpkich brusznic i półmiski z dymiącymi ziemniakami; zapowiedziana przedtem skromna przekąska jawnie zmieniła się w ucztę, tym bardziej że stryj Ksawery dobywał z kredensu flaszkę po flaszcze wina. Dystans do obecnych, wciąż żywy w Stefanie, teraz wzrósł jakby skokiem; przez cały czas gorszył się po trosze tonem rozmowy

i wprawą, z jaką omijała ona śmierć, która przecież była jedynym powodem tego spotkania, teraz owo zgorzsenie skulminowało w nim i raziło go już wszystko, włącznie z żałami za utraconą ojczyzną, którym towarzyszyły żwawe ruchy sztucców i szczęk. Gdy zaś przypomniał sobie stryja Leszka, który leżał pod gliną na pustym cmentarzu, wydało mu się, że tylko on jeszcze o nim pamięta; z niechęcią patrzył na zaczerwienione twarze biesiadników, a jego oburzenie przekroczyło krąg rodziny i stało się pogardą dla świata. Chwilowo nie mógł jej dać wyrazu inaczej niż przez wstrzymywanie się od jedzenia, co uczynił tak dobrze, że wstał od stołu prawie głodny.

Zanim to nastąpiło, w milczącym dotąd Grzegorzu Niedzicu, jego sąsiedzie od lewej, zaszła zmiana. Już od dłuższej chwili ocierał kłopotliwie wąsy, zerkał nieśmiało to na boki, to ku drzwiom, jakby mierząc oczyma odległość; najwyraźniej szykował się do czegoś. Nagle pochylił się do Stefana i szeptem wyjawił mu, że musi już iść, bo zaraz ma pociąg do Poznania.

— Co, chcesz jechać na noc? — zdziwił się trochę bezmyślnie Stefan.

— Tak, jutro rano muszę być w pracy.

Zaczął mu tłumaczyć, że tam, w Poznańskim, Niemcy ledwo tolerują Polaków i zwolnienie na jeden dzień zdobył z wielkimi trudnościami; całą noc jechał do Nieczaw, a teraz jest czas najwyższy na powrót... Nie dokończywszy nieskładnej przemowy, wielki wąsacz naraz wciągnął powietrze, wstał gwałtownie, omal nie ściągając obrusa z zastawą, i kłaniając się ślepo na wszystkie strony, jał się przepychać ku drzwiom. Odezwały się pytania, protesty, lecz uparty milczek raz jeszcze w pas skłonił się wszystkim od progu i znikł w przedpokoju. Pobiegł tam stryj Ksawery; po chwili huknęły drzwi wyjściowe. Stefan spojrzął w okno. Na dworze panowała już ciemność. W wyobraźni zamajaczyła mu wysoka postać w kusym płaszczu żołnierskim, krocząca błotnistą drogą... Spojrzął na opustoszałe krzesło po swej lewicy, dostrzegł, że wykrochmalone frędzle zwisającego nisko obrusa są tam pooddzielane od siebie i rozczesane starannie pracowitą dłubaniną, i serce ścisnęło mu się od ciepłego, serdecznego żalu za tym nieznanym właściwie, dalekim kuzynem, który przez dwie noce trząsł się w ciemnym nie opalonym wagonie, żeby kilkaset kroków towarzyszyć umarłemu.

Stół, od którego wstawano, jak zawsze po obfitym posiłku wyglądał żałośnie — na talerzach piętrzyły się ogryzione szkielety, pokryte zastygłym tłuszczem. Zapadła chwila ciszy, w której mężczyźni sięgali do kieszeni po papierosy, ksiądz przecierał irchą okulary, a ciotka—babka popadła w osłupiałe zamyślenie, które byłoby podobne do drzemki, gdyby nie to, że oczy miała szeroko otwarte. W tym powszechnym milczeniu rozległ się bodaj po raz pierwszy głos Anieli—wdowy. Nie ruszając się ze swego miejsca, nieruchoma, z pochyloną głową, powiedziała w obrus:

— Wiecie, to wszystko jest jakieś takie śmieszne...

I głos jej się załamał. Spotęgowanego milczenia, jakie nastąpiło, nikt nie potrafił przerwać; nic podobnego nie było we zwyczaju, nikt nie był na to przygotowany. Ksiądz podszedł wprawdzie zaraz do ciotki Anieli, poruszając się z taką jakąś zakłopotaną wprawą jak lekarz, który winien udzielić rychłej pomocy, choć nie bardzo wie jak, ale na tym skończył i stał nad nią, czarną, sam czarny w sutannie, z cytrynową twarzą i podpuchłymi powiekami, mrugając, aż wybawiła wszystkich służba, a raczej grające jej rolę dwie kobiety wiejskie, które weszły i z ogrorrtiym hałasem poczęły zbierać talerze i półmiski.

W półmrocznym bawialnym, opodal błyskających szybek dębowej biblioteki, pod mosiężną, kopcającą z lekka lampa naftową w pomarańczowym abażurze stryj Ksawery porozumiewał się pospiesznym półszepceniem z krewnymi. Jednych namawiał na nocleg, innych informował o połączeniach kolejowych, dyrygował, kiedy kogo trzeba będzie zbudzić; Stefan chciał pierwotnie wyruszyć w drogę powrotną, ale dowiedziawszy się, że ma pociąg dopiero o trzeciej nad ranem, osłabł w tym postanowieniu i bez oporu dał się namówić na pozostanie do

jutra. Miał spać Właśnie w bawialnym, naprzeciw zegara, musiał więc czekać, aż wszyscy się rozejdą. Gdy to wreszcie nastąpiło, niedaleko już było do północy. Stefan szybko się umył, rozebrał pod ledwo-ledwo migocącą lampą, zdmuchnął jej płomyk i z nieprzyjemnym dreszczem wsunął się pod chłodną kołdrę. Senność, którą czuł przedtem, jak ręką odjęto. Leżał długo na wznak nie mogąc usnąć, a zegar, niewidzialny w Zupełnej ciemności, majestatycznie, z jakimś przesadnym naciskiem wydzwaniał kwadransy i godziny.

Myśli jego, zrazu nieokreślone i niewyraźne, krążyły wokół strzępów przeżytego dnia, zmierzając jednak wolno, jakby nieuchronnie w jedną stronę. Cała rodzina miała w charakterze ogień i kamień, pasję i nieustępliwość. Trzynieccy z Kielc słynęli z chciwości, stryj Anzelm ze swych gniewów, ciotka—babka z jakiegoś, przez czas przymglonego, miłosnego szaleństwa; ta siła fatalna umiejscowiła się rozmaicie w różnych ludziach: ojciec Stefana był wynalazcą, wszystko inne robił z musu, opędzał się od świata jak od much, gubił nieraz dni, przeżywał dwa razy czwartek, a potem okazywało się, że uronił środę, ale to nie było prawdziwe roztargnienie, a tylko nadmierna koncentracja na tej idei, która w tym czasie akurat go opętała. Kiedy nie spał ani nie chorował, można było dać głowę, że siedzi w swym miniaturowym, na poddaszu urządzonym warsztacie, pośród gazowych i spirytusowych płomieni, rozgrzanych narzędzi, w zapachu kwasów i metali, i przymierza coś, szlifuje, zespala, a wszystkie owe czynności, składające się na proces wynajdywania, nigdy nie ustawały, choć odmieniały się wynalazcze zamierzenia. Z jednego niepowodzenia ojciec wchodził w następne z jednakową wiarą i pasją, tak silną, że na obcych czynił wrażenie odrętwiałego czy wręcz bezmyślnego. Stefana nigdy nie traktował jak dziecko. Do malca, który zjawiał się w półmrocznym warsztacie, przemawiał tak, jak się mówi do dorosłego, ale takiego, który na przykład niedosłyszy, więc konwersacja z nim ciągle się rwie i pełno w niej nieporozumień. Nie bacząc na to, z ustami pełnymi śrubek, w popalonym fartuchu, przechodząc od tokarni do imadła i na powrót do tokarni, mówił do niego, jakby wykladał z przerwami, wypełnionymi szczególnie skupionym majstrowaniem. A o czym mówił? Stefan nie wiedział teraz dobrze, bo kiedy słuchał owych przemówień, był zbyt mały, by pojąć ich sens, ale zdaje się, że mawiał na przykład tak: „Tego, co było i minęło, nie ma tak, jak gdyby tego w ogóle nigdy nie było. To jest jak ciastko wczoraj zjedzone, nic z niego nie masz. Dlatego można by sobie dorobić przeszłość, której się nie miało; jeśli się w nią tylko uwierzy, to już będzie tak, jakby się ją naprawdę przeżyło”.

Raz powiedział mu znów: „Czy chciałeś przyjść na świat? Prawda, że nie? No, nie mogłeś chcieć, kiedy cię nie było. Widzisz, ja też nie chciałem, żebyś ty przyszedł na świat. To znaczy chciałem syna, ale nie ciebie, bo przecież ciebie nie znałem, więc nie mogłem cię chcieć... Chciałem syna w ogóle a ty jesteś ten rzeczywisty...”

Stefan właściwie rzadko się odzywał i o nic ojca nie pytał, ale zdarzyło się (miał z piętnaście lat), że spytał, co ojciec będzie robił, kiedy mu się już uda opracowywany wynalazek? Ojciec nachmurzył się, a po dłuższym milczeniu odparł, że zajmie się wynajdywaniem czegoś innego. „Po co?” — spytał pochopnie Stefan. Pytanie to, jak i pierwsze, podyktowane było głęboko ukrywaną, ale tężejącą z latami niechęcią do osobliwego zawodu ojca, który — o tym wiedział chłopiec aż nazbyt dobrze — był przedmiotem powszechnego wydziwiania, a odium tej dziwności padało i na niego. Spytany przez podrastającego syna pan Trzyniecki powiedział mu: „Stefku, tak pytać nie wolno. Widzisz, gdyby umierającego spytać, czy chce jeszcze raz żyć od nowa, na pewno się zgodzi i nie będzie wcale pytać, po co ma żyć. To samo jest z moją pracą”.

Ta praca, żarliwa i wyczerpująca, nie przynosiła nic, tak że dom utrzymywała matka Stefana, a ściślej mówiąc jej ojciec. Pan Trzyniecki żył więc na utrzymaniu żony, co do tego stopnia oburzyło Stefana, gdy się o tym dowiedział, że przez jakiś czas pogardzał ojcem. Podobne, choć nie tak silne uczucia żywili dla Trzynieckiego jego bracia, ale z czasem wszystko to się jakoś utarło, jak każdy stan trwający dość długo, by nań ludzie zobojetnieli.

Pani Trzyniecka kochała męża, niestety, wszystko, co robił, leżało poza granicami jej pojmowania; toczyli ze sobą walkę podjazdową, nie bardzo o tym nawet wiedząc, albowiem, było to ścieranie się przedmiotów należących do dwóch sfer: warsztatu i mieszkania; ojciec nie chciał nawet umyślnie przekształcić pokojów w dalszy ciąg warsztatów, ale to jakoś samo się działo; na stołach, tła szafach, biurkach wyrastały spiętrzenia drutów i mechanizmów, a matka drżała o swoje obrusy, koronkowe serwety, rododendrony i araukarie; ojciec nie lubił tej zieleniny, ukradkiem podrywał korzenie, radował się skrycie objawami wędnięcia, matka wielkimi sprzątaniami usuwała to jakiś drut bezcenny, to jakąś niezastąpioną śrubkę, a wszystko to działo się niechcący. Pracując pan Trzyniecki przebywał jakby w dalekiej podróży, z której wracał na dobre tylko w okresach powtarzającej się choroby. Choć pani Trzyniecka troskała się tym cierpieniem prawdziwie, to jednak najspokojniejsza była wówczas, gdy mąż leżał w łóżku, pojękujący, bezradny, obłożony termoformami, bo wtedy przynajmniej miała, o co mu chodzi i co się z nim dzieje.

Mocny dźwięk bijącego zegara dzielił ciemność ponad leżącym Stefanem, którego myśli odeszły teraz od domu rodzicielskiego i wróciły do przeżytego dnia. Rozpatrywana czystym rozumem więź rodzinna, owo wzajemne uwikłanie interesów i uczuć, wspólnota wobec narodzin i zgonów, wszystko to wydawało mu się jałowe i nużące. Czuł w piersi pieczenie jakiegoś żaru demaskatorskiego, majaczyło mu się, że musi wykrzyknąć w twarz rodzinie okrutną prawdę, sprowadzającą całą jej codzienną i odświętną krzątanicę od zera, ale kiedy szukał słów, którymi mógł się odezwać do żywych, myśl jego dotknęła stryja Leszka i znieruchomiła, jakby się przeląkł. Gdy się to stało, nie przestał myśleć, lecz teraz myśli rozwijały się w nim jakoś samo chcąc, a on je tylko obserwował. Ogarniało go miłe znużenie, przeczucie bliskiego snu, i wtedy właśnie wspomniął zbiorowy grób na cmentarzu wiejskim. Zwyciężona ojczyzna zmarła, to była przerośnięta, ale ten mały żołnierski grób nie był przecież przerośnięty, cóż można było tam uczynić innego, jak stać milcząc, z sercem ściśniętym boleśnie i słodko w przeczuciu wspólnoty, większej od osobniczego życia i osobniczej śmierci. A opodał stryj Leszek. Stefan widział jego nie przysypany śniegiem, nagi grób tak wyraźnie, jakby już spał. Ale nie spał i naraz ojczyzna zmieszała się w nim z rodziną, obie, osądzone przez rozum, żyły w nim dalej, czy może on żył w nich, ach, nic już nie wiedział i tylko zasypiając przycisnął ręce do serca, bo mu się zwidziało, że wyzwolić się od nich — znaczyłoby to samo, co umrzeć.



## GOŚĆ NIESPODZIEWANY

Otwierając oczy pełne jeszcze nieprzytomności snu, gotował się Stefan ujrzeć naprzeciw swego łóżka owalne lustro na lwich nogach ze złoconego gipsu, brzuchatą komódkę i zieloną mgłę asparagusa między oknami. Jakże się zdziwił, gdy rzeczywistość zadała kłam tym oczekiwaniom; leżał bardzo nisko, tuż nad podłogą, w pokoju wielkim, nie znanym, pełnym donośnego dzwonięcia; w niewielkich oknach, zakrytych przejrzyistymi grzebieniami sopli, błękitniał świt — obcy, bo bez starej ściany przeciwległego domu.

Dopiero gdy usiadł przeciągając się, wspomniawszy wydarzenia poprzedniego dnia. Wstał szybko drżąc od chłodu, wymknął się do przedpokoju, wyszukał na szaragach swój płaszcz i narzuciwszy go na koszulę skierował się do łazienki. Zza nie domkniętych drzwi padał blask świec, pomarańczowy przez kontrast z fioletowym światłem poranku, które płynęło na przedpokój przez szklane pudło werandy. W łazience ktoś był; Stefan poznał głos stryja Ksawerego i od razu naszała go chętka podsłuchiwania. Usprawiedliwiał ją przed sobą dociekliwością psychologiczną, wierzył bowiem czasami, że istnieje jakaś jedyna, ostateczna prawda o ludziach i że można ją odkryć, podpatrując ich na gorącym uczynku samotności.

Tak więc przed łazienką ściszył kroki i nie tykając drzwi zerknął przez szeroką na dłoń szparę do środka.

Na szklanej półeczce płonęły dwie świece. Z wanny pod ścianą waliła para żółtymi od światła kłębamii, otaczając widmowo postać stryja, który w parcianych portkach i wyszywanej po ukraińsku koszuli golił się, wyczyniając do zapoconego lustra przedziwne grymasy, i deklamował przez wzgląd na brzytwę niewyraźnie, lecz z emfazą:

„...chciej przesiać, proszę, one smakołyki  
przez ofaydaną dziurę od rozporaka...”

Rozczarowany nieco, Stefan zatrzymał się w niepewności, co robić, gdy stryj, jakby czując jego wzrok (czy może dojrzawszy go po prostu w lustrze), bo nie odwracając się — powiedział całkiem innym głosem:

— Jak się masz, Stefek. To ty, co? Właż tu, możesz się od razu umyć, jest gorąca woda.

Stefan pozdrowił stryja z nowym dniem i posłusznie wszedł do łazienki. Zabrał się do porannych ablucji pospiesznie, skrępowany nieco obecnością Ksawerego, który golił się dalej, nie zwracając na niego uwagi. Czas jakiś trwało milczenie, aż stryj odezwał się naraz:

— Stefan...

— Proszę stryja?

— Wiesz, jak to było?

Z tonu tych słów Stefan od razu zrozumiał, co Ksawery chciał powiedzieć, ale jakby w takich sprawach nie wolno się było zdawać na samą domyślność, spytał:

— Ze stryjem Leszkiem?

Ksawery nic nie odpowiedział. Dopiero po dłuższej chwili, skrobiąc górną wargę, ni stąd, ni zowąd rzeki:

— Drugiego sierpnia tu przyjechał. Na ryby się wybierał, na pstrągi, tam nad młynem, wiesz. I naturalnie nawet nie wspomniawszy. Ja go dobrze rozumiem. Ale na obiad była kaczka, jak wczoraj. Tyle że z jabłkami, bo teraz już nie mam. Co było, żołnierze pozabierali, we wrześnie. I on tej kaczki nie chciał jeść, a tak zawsze lubił. Więc to mnie jakoś tknęło. A już miał taką twarz. Tylko że u swojego najtrudniej zauważyć. Człowiek nie dopuszcza do siebie czy co...

— Wstręt do mięsa i kacheksja? — spytał Stefan zdając sobie sprawę z tego, jak to oschle zabrzmiało. Własna fachowość zawstydziała go trochę i zarazem sprawiała mu pewną satysfakcję. Wstał i wycierał się pospiesznie, niedokładnie, bo już czuł, co to będzie za opowieść, a nie mógł jej słuchać nagi. Czy dlatego, że czułby się jakiś bezbronny? Nie

zastanawiał się nad tym. Ksawery, stojąc wciąż tyłem do niego zapatrzony w lustro i nie odpowiadając na pytanie, podjął:

— Nie chciał się dać zbadać. No, a ja z wielką biedą... Żartami, że łaskotki studiuje, zem jego brzucha ciekawy, kto z nas ma większy, i tak... A był ci już tumor jak pięść, ruszyć się nie dał, twardy, zrosnięty ze wszystkim jak diabli...

— Carcinoma scirrhusum — powiedział niegłośnie Stefan. Po co? Sam nie wiedział. Ta formuła oznaczająca raka, tyle że po łacinie, była jak egzorcyzmy, jak naukowe zaklęcie oczyszczające sytuację z niepewności, trwogi, drżenia, nadające jej klarowość i spokój naturalnej konieczności.

— Podręcznikowy przypadek... — mruczał stryj Ksawery golenie wciąż jedno i to samo miejsce policzka. Stefan owinięty w przykrótki płaszcz kąpielowy, ze spodniami w rękach stał przy drzwiach wyprostowany, nieruchomy, bo i cóż miał robić? Słuchał.

— Wiesz, że on był prawie lekarzem? Jak to, nie wiesz? Nie wiesz? No jakże — z czwartego roku medycyny uciekł. Żelaznym medykiem był przez ładnych parę lat, a studiować tośmy razem nawet zaczynali, bo ja po maturze sporo czasu zmitrężyłem. Przez jedną... No. Więc tak we mnie czytał przy tym badaniu, że wszystko było jasne. Na operację wiedziałem, że za późno, ale jest przecie człowiek tym doktorem i odwołanie od medycyny tylko jedno do trumniarza. Na to zawsze czas. Myślałem, że Bóg wie jakie boje, tymczasem od razu się zgodził. Jeździłem do Hrubieńskiego. Dusza marna, ale ręce złote. Zgodził się operować tylko za dolary, że sytuacja niepewna, złoty diabli mogą wziąć. Obejrzawszy rentgeny, odmówił wręcz, alem go ubłagał.

Tu pan Ksawery odwrócił się do Stefana i z takim wyrazem twarzy, jakby powstrzymywał śmiech, spytał:

— Klękałeś kiedy przed kim, Stefek? Nie w kościele... — dodał szybko.

— Nie...

— No widzisz. A ja klękałem. Nie wierzysz? No, więc ci mówię, tak było! Hrubieński operował dwunastego września. Niemieckie czołgi w Topolowie już były. Owsiane paliło się, szarytki więdźmy uciekły, sam mu asystowałem. Od niepamiętnych lat otworzył, zeszył i wyszedł. Wściekły był. Nie dziwiłem mu się. Naubliżał mi. Ale wszystko było bez głowy ten i cały wrzesień, dookoła — Polska, no i tak...

Pan Ksawery zaczął ostrzyć brzytwę na pasku, coraz wolniej to robił, ale i coraz dokładniej i bez przerwy mówił:

— Przed samą operacją, już po skopolaminie, mówi Leszek: — To koniec, co? — Więc ja naturalnie jak do chorego. Ale on, że z Polską. I żebyśmy przyszedł na grób powiedzieć mu po cichu, jak Polska znowu będzie. Fantastą był! Chociaż, zresztą, któż przyuczony umierać? A kiedy znów się obudził, to znaczy po operacji, sam przy nim byłem, spytał, która godzina. I ja, stary kretyn, powiedziałem mu prawdę. Nie zorientowałem się, że trzeba było zegary przestawić, a przecie on tak jak lekarz wiedział, że radykalna operacja trwałaby co najmniej z godzinę albo dłużej, a tu kwadrans i po wszystkim wiedział, że nic...

— A później? — spytał Stefan mimo woli, żeby nie było grożącego milczenia.

— Później zawiozłem go do Anzelmą, tak chciał. Nie widziałem go przez trzy miesiące, dopiero w grudniu... Ale to już niepojęta rzecz...

Stryj Ksawery powolnym ruchem, na oślep, odłożył brzytwę i stojąc do Stefana bokiem, patrzył przed siebie, trochę w dół, z takim wyrazem, jakby widział u swoich stóp coś niezwykłego.

— Zastałem go w łóżku, chudego jak szkielet, już i mleko ledwo łykał, i głos mu się cienki jakiś zrobił, i ślepy by zobaczył, zrozumiał, a on... jak by powiedzieć? Zastałem go — radosnego! Wszystko, powiadam wszystko sobie wytłumaczył, czy jak by powiedzieć — od tłumaczył: więc, że operacja się udała, że sił mu z każdym dniem przybywa, że zdrowieje, że nawet będzie już chodził; ręce sobie kazał masować i nogi, i Anieli dyktował co rano, jak

się czuje, dla lekarza to zapisywała, żeby go dokładniej leczyć mógł... A guz miał jak bochen. Ale kazał sobie brzuch obandażować szczelnie, żeby go nie mógł sam dotykać, niby że tak bliznę chroni, pooperacyjną. Mówić o tym w ogóle nie chciał, ale jak na to zeszło, to powiadał, że to był tylko naciek, i udawał, że coraz jest mocniejszy, a nawet, że tego w ogóle nie ma...

— Stryj myśli, że nie był... normalny...? — szeptem odezwał się Stefan, nie przeczuwając, co wywoła tymi słowami.

— Normalny! Nienormalny! Cóż ty gadasz, głupcze jeden! Cóż ty wiesz! Normalny konający, ot, masz, normalny! Wydrzeć sobie z ciała tego raka nie mógł, to go z pamięci wydarł. Kłamał, wierzył, innym wierzyć kazał, albo ja wiem, gdzie się jedno kończyło, a drugie zaczynało! Mówił coraz ciszej, że coraz lepiej się czuje i coraz częściej płakał.

— Płakał? — z jakąś dziecinną zgrozą spytał Stefan, który pamiętał barczystą postać stryja Leszka na dubeltówką trzymaną lufami do ziemi...

— Tak. A wiesz czemu? Bóle miał i dostawał na to czopki z morfiną. Sam je sobie wkładał. A kiedy mu pielęgniarka raz czopek wsadziła, rozplakał się. — Ja — powiada — już nic innego nie mogę sam, tylko sobie ten czopek, i to mi zabierają... — Wstawać nie mógł, a mówił, że nie chce. Kiedy mleko wypił — że tego za mało, nie warto po mleku wstawać, co innego po rosole. A po rosole znów coś wymyślił. No! Tam przy nim być wtedy, rozmawiać! Ręce pokazywał jak patyki, żeby mówić, że grubieją, i, niepojęta rzecz, jaki był przy tym podejrzliwy! — Co tam szepczecie po kątach? — Co doktor powiedział? — Nareszcie ciotka Skoczyńska postarała się o księdza. Naturalnie z olejami przyszedł. Myślałem Bóg wie co, a on to całkiem spokojnie przyjął. Tylko tej samej nocy, siedziałem przy nim, szepcze. Myślałem, że ze snu, nie odzywam się, a on głośniej:— Ksaw, zrób coś... — Wstałem do niego, a on znów: — Ksaw, zrób coś... — Stefan, lekarzem jesteś? No, to żebyś wiedział, że przyjechałem tam z naszykowaną morfiną. Jakby chciał... Pewną dawkę wziąłem. Cały czas nosiłem w kieszonce od kamizelki. Wtedy w nocy pomyślałem, że on chce, żebym — rozumiesz. Ale jakem mu w oczy spojrział, zrozumiałem, że chce, żeby mu pomóc. Więc ja nic, a on znów: — Ksaw, zrób coś... — Tak aż do świtu. Potem już nic nie mówił — takiego. Musiałem wyjechać. No i tak... Teraz Aniela mówiła mi wczoraj, że ostatniej nocy poszła spać, a jak weszła do niego, już nie żył. Tylko że na odwrót leżał w łóżku.

— Jak to na odwrót? — z nic nie pojmującą trwogą wyszeptał Stefan.

— Na odwrót. Nogi tam, gdzie głowa. Dlaczego? Albo ja wiem. Chciał coś zrobić, żeby żyć...

W pomiętych płóciennych portkach, w otwartej na piersiach wyszywanej koszuli, stryj Ksawery ze śladami mydła na twarzy opuścił głowę powoli, z wielkim zastanowieniem. A potem spojrział na Stefana. Bystro, czarnymi oczami, które teraz były ostre i gorące.

— Mówię ci to, bo jesteś lekarz i swój... Masz to wiedzieć! I to... z całą medycyną. I że ja tam, to już nie wiem, ja... ja prawie że się modliłem. Do czego człowiek dochodzi!

Słychać było, jak kondensująca się na lustrze para grubymi kroplami kapie na podłogę. Naraz obaj drgnęli jak przebudzeni — zegar w bawialni bil godzinę głośno, majestatycznie, z rozwagą...

Stryj odwrócił się do miednicy, z impetem zaczął chlustać sobie wodą na twarz, na kark, spluwał głośno, wyparskiwał wodę z nozdrzy, a Stefan przez ten czas ubierał się pospiesznie, jakby ukradkiem, nareszcie wymknął się bez słowa z łazienki.

W jadalni było już nakryte do stołu. Błękitnawe sople za oknem skupiały w sobie krystaliczną jasność dnia; złotawe błyski chodziły po szybach, grały w szkle szafki zegarowej, rozbijały się na tęcze w rżniętej karafce na stole. Po kolei ściągnęli stryj Anzelm, Trzyniecki z Kielc z córką, ciotka—babka Skoczyńska, ciotka Aniela.

Było dużo wrzącej kawy, śmietanka, wielkie bochny chleba, masło w ośłkach, miód; jedzono w milczeniu, wszyscy byli jakoś ściszeni, spoglądali w rozstłonecznione okna,



wymieniali pojedyncze słowa. Stefan pilnował się, żeby mu czasem nie wpuszczono do kawy kozucha z mlekiem, bo go nie znosił. Stryj Anzelm był zadumany i mrukliwy. Nic się takiego nie działo, ale jakoś trudno było wysiedzieć przy stole. Stefan raz i drugi spojrzął na stryja Ksawerego, który zjawił się ostatni, bez krawata, w czarnej nie dopiętej marynarce. Był przekonany, że przedtem zawarte zostało między nimi tajne przymierze, zobowiązujące na przyszłość, lecz stryj nie zwracał uwagi na jego znaczące spojrzenia, kręcił kulki z chleba i puszczał na stół. Naraz weszła jedna z kobiet wiejskich, które pomagały w stryjowym gospodarstwie, i od drzwi odezwała się głośno na cały pokój:

— Jakiś tu pan przyszedł i chce do pana Trzynieckiego młodszego.

Ów tytuł „pan Trzyniecki młodszy” to był ślad działalności stryja Leszka, który, bawiąc u Ksawerego, zawsze musztrował mu służbę, a na jedną hardą dziewczuchę, która upierała się, że „młodszy pan Trzyniecki” i „pan Trzyniecki młodszy” — to jedno i to samo, jak nie wrzasnął: „Nie dla twoich rozumów! Jak powiesz «świeć, Panie, nad jego duszą» albo «świeć Pan nad jego duszą», czy to też jedno i to samo, idiotko jedna?!” Ale teraz, zmieszany i zaskoczony, Stefan nie pomyślał o tym; zerwał się od stołu prawie zalękniony i bąknąwszy coś nieartykułowanego wybiegł na korytarz. Było tam jasno, ale światło padało od oszklonej werandy, tak że nie mógł rozpoznać rysów przybysza, dostrzegł tylko jego czarna sylwetkę na rozświetlonym tle. Obcy był w płaszczu, z kapeluszem w rękę; dopiero kiedy się odezwał, Stefan poznał go:

— Staszek! no, Staszek, co ty tu... no wiesz, już nie wiem, kogo bym się spodziewał!!

Wciągnął przybysza do bawialnego, ale w drzwiach dopadł go i niemal gwałtem ściągać począł z niego płaszcz z futrzanym Kołnierzem. Wyniósł go do przedpokoju, wrócił, usadził gościa na fotelu, a sam przyciągnął sobie krzesło.

— No, co ty, co ty? Co słyhać u ciebie? Skądżeś się tu wziął? Mów nareszcie!

Stanisław Krzczotek, kolega Stefana ze studiów uniwersyteckich, uśmiechnął się z zakłopotaniem i zadowoleniem równocześnie. Był nieco zmieszany impetycznością Stefana.

— No, co? No, nic takiego. Pracuję tu niedaleko, w Bierzyńcu. Wczoraj przypadkiem usłyszałem o tym pogrzebie, to jest o tym, że twój stryj... — urwał na mgnienie, mijając wzrok Stefana, i ciągnął dalej:

— Więc pomyślałem, że cię tu chyba spotkam. Nie widzieliśmy się już dawno, co...?

— A, to stąd... tak... — rzucał pojedyncze słowa Stefan. — Pozwól, to ty w Bierzyńcu pracujesz? No, pomyśl! Co ty, lekarzem jesteś powiatowym, czy jak? Ale przecież stryj Ksawery...

— Nie. Pracuję w sanatorium, u Pajęczkowskiego. No, wiesz przecie, znasz chyba tę okolicę...

— A! że mi to do głowy nie przyszło! W tym sanatorium... pozwól, to znaczy jako psychiatra? Kierujesz się na psychiatrię? To dla mnie nowość!

— Sam nie wiedziałem, że tak ze mną będzie. Ale jeszcze przed wrześniem, wiesz, był wakans, i na ogłoszenie Izby Lekarskiej...

Krzczotek jął opowiadać historię przybycia do Bierzyńca po swojemu: odrobinę rozwlekle, z mnóstwem nieistotnych szczegółów, a Stefan jak zawsze niecierpliwił się, popędzał go pytaniami, przeskakiwał po kilka zdań relacji naraz. Zarazem, patrzył na przyjaciela z nie ukrywaną radością. Poznali się na pierwszym roku medycyny, zbliżeni podobieństwem oporów, jakie musieli w sobie pokonywać przy pracy prosektorskiej. Staszek mieszkał niedaleko Stefana i wnet zaproponował mu wspólne uczenie się, wspominając o wygórowanych cenach podręczników i o trudności pozostawiania sam na sam z książką przez dłuższy czas. Stefan widywał Krzczotka już przedtem, ale nie zbliżał się do niego, bo mu się wydawało, że Staszek ma w sobie coś z prymusa, a kujonów nie znosił. Przekonał się do niego dopiero na zabawach i balach, gdzie tamten wodził zawsze rej. Poznawszy go bliżej, zrozumiał, że huczność i dziarskość Staszka była pozorem. Był to chłopak pełen skrupułów, o

stale rozszczepionych decyzjach. Lękał się egzaminów, kolegów, trupów, humorów profesorskich, kobiet, krótko — świata. Z wielkim kunsztem stworzył sobie maskę wesołka, którą zrzucił z ulgą, gdy tylko mógł. Stefana dziwiło to tym bardziej, że dziewczęta lubiły Staszka i chętnie śmiały się z jego dowcipów, jednakże Krzczotek działać mógł tylko w tłumie: Jeszcze z dwiema dziewczynami dawał sobie radę, oscylując między nimi inteligentnym flirtem, sam na sam zawodził na całej linii. Trzeba było wymanewrować z żartów, wziąć się do rzeczy serio, a to mu nie szło. Tańce, flirty i wesołe rozmowy były w powszechnym rozumieniu jakby czynnością przygotowawczą, wstępną, coś jak pawie roztaczanie ogona przed samicą. Tymczasem stało się to jedynym talentem towarzyskim Staszka. Stefan dowiedział się o tym śledząc zdumiewające przemiany Krzczotka: ledwo opuszczał zgromadzenie, którego był duszą, milkł, cichł i smętniał. Przyszedł więc okres długich rozmów we dwóch, spacerów jesiennymi alejami, wlokące się przez wieczory wywody filozoficzne, zacięte dyskusje, poszukiwania „prawdy ostatecznej”, „sensu życia” i podobne roztrząsania ontologiczne. Żaden sam nie zdołałby dojść do takiej ostrości sformułowań. Katalizowali się i dopełniali wzajemnie. Szczerłość ich miała jednak granice: słabła przy sprawach bardzo osobistych. Staszek dorobił sobie do swych niepowodzeń erotycznych całą teorię: w ogóle nie wierzył w miłość. Czytać o niej lubił, ale nie wierzył w nią. — Chłopie — mówił — przeczytaj sobie Abderhaldena! Jeżeli małpie wstrzyknąć prolaktynę i podrzucić jej szczeniaka, to zaraz zacznie go pieścić i hołubić, a na drugi — trzeci dzień pożre tego ukochanego pieska. Masz miłość macierzyńską, najszczytniejsze uczucie: trochę chemikaliów we krwi!

Stefan spoglądał na zaciętrzewionego kolegę z u—krywaną wyższością. Krzczotek miał twarz okrągłą jak księżyc i pulchną, choć sam był chudy, nos dobrodusznie kartoflowaty — na jego końcu krążył stale duży pryszcz. Marzył zawsze w zimie, bo nie nosił długich gaci, uważając to za symbol męskości. Poza tym przez trzy czwarte roku bywał nieszczęśliwie zakochany w sposób bardzo widoczny, beznadziejny i śmieszny. Ich stosunek tak się ułożył, że o życiu w ogóle mówili bardzo dużo, a o własnym prawie wcale. Teraz jednak, w ciemnym mimo słonecznego dnia bawialnym stryja Ksawerego, pod sypiącymi się adamaszkowymi obiciami, trudno było wskoczyć obiema nogami w jakiś zbawczy wywód filozoficzny. Toteż kiedy Krzczotek zakończył swoją opowieść, zapanowało nieprzyjemne milczenie. Próbował je przełamać, pytając Stefana o jego sprawy zawodowe.

— Ja? Ach, na razie nic, jeszcze nie wiem... Na razie nigdzie jeszcze nie pracuję. I Niemcy teraz... okupacja... sam nie wiem. Rozglądam się. Za coś trzeba się będzie wziąć, jakąś posadę znaleźć, ale konkretnie o tym nie myślałem... — coraz wolniej mówił Stefan. Znowu zamilkli obaj, teraz na dobre. Nie z rzeczywistej ciekawości, ale by podtrzymać rozmowę i zarazem rozczarowany, że obaj tak mało mają sobie do powiedzenia, Stefan podjął po chwili gorączkowego szukania tematu:

— No, a jak jest w tym sanatorium? Dobrze ci tam?

— A, sanatorium...

Krzczotek z ponownym ożywieniem zabrał się do opowiadania, ale naraz zatrzymał się, oczy mu się rozszerzyły, a cała twarz rozjaśniła od niespodziewanej myśli:

— Stefan, słuchaj! To mi tak naraz przyszło, ale co z tego? Archimedes też nagle... przecie wiesz! Ste—fan, słuchaj, Stefan, a gdybyś ty tak do nas przyszedł, do sanatorium, co? Miejsce dobre, bardzo dobre, specjalizacja, i będziesz tu w swojej znajomej okolicy,

1 spokój tu będziesz miał, i robotę ciekawą, i ...i czasu sporo, tak, żebyś go nawet na pracę naukową miał... pamiętam przecie, żeś się do tego zabierał...

— Ja — do sanatorium? — powiedział Stefan oszołomiony i uśmiechnął się z zakłopotaniem. — Wiesz, tak ni stąd, ni zowąd... przyjechałem na pogrzeb i naraz... chociaż... właściwie wszystko mi jedno... — po wiedział mimo woli i zatrzymał się, niepewny, czy ostatnie słowa nie zabrzmiały niewłaściwie, ale Staszek niczego nie zauważył.

Mówili jeszcze z kwadrans, już na ten konkretny temat, rozważali, jak by to było, . gdyby Stefan rzeczywiście wziął tę posadę, bo w sanatorium naprawdę było wolne miejsce dla lekarza. Staszek rozwiewał jedną wątpliwość Stefana po drugiej: — Nie specjalizowałeś się w psychiatrii? — to nic, przecież nikt się specjalistą nie rodzi. Koledzy tam pierwszorzędni, sam zobaczysz! No, jak zawsze, pewno, lekarze jak ludzie, są lepsi i gorsi. Ale ciekawe wszystko. I wygody takie! I jak poza okupacją, co tam, całkiem jak poza światem! — Krzeczotek tak „ się zapalił, że w jego ustach sanatorium stało się czymś w rodzaju poza- czy ponadziemskiego obserwatorium, komfortowej samotni, w której człowiek obdarzony przez naturę wybitnym umysłem może się rozwijać, jak chce. Gadali tak i gadali, Stefan wciąż z całkowitą niewiarą, że coś z tego będzie, mimo to dzielnie sekundował przyjacielowi, bo zbyt przeraźliwa pustka otwierała się poza granicami tego ostatniego tematu.

Naraz zapukano do drzwi; ciotki ze stryjem Anzelmem wybierały się już na stację. Wypadało je odprowadzić, ale Stefan jakoś się z tego wykręcił narzucając się z pospiesznym całowaniem rąk i gęstymi ukłonami. Ciotka Aniela zdawała się być w dobrym humorze, który w innych okolicznościach Stefan wziąłby jej za złe — nazbyt dobrze pamiętał opowiadanie Ksawerego — ale zanadto spieszył się do Krzeczotka, by moralizować. Ponowny, choć ostatni kontakt z rodziną, pańskość Anzelma, który objął go do pocałunku, ale tylko szorstkim policzkiem dotknął twarzy, jakieś bezsensowne zalecenia i rady ciotki Melanii, wszystko to w bardzo silny sposób uatrakcyjniło propozycję Staszka. Gdy jednak wrócił do ‘ przyjaciela przypatrującego się z robioną nonszalancją starym sztychom na ścianach bawialnego, znów nic nie wiedział. Ostatecznie po długim rozważaniu wszystkich „za” i „przeciw” postanowił jechać do domu; tam miał uregulować swoje sprawy (była to fikcja, bo żadnych takich spraw nie było, ale brzmiała dobrze i rzeczowo). Potem miał wrócić, to jest — po pewnym czasie (podkreślił to, by nie okazać się zbyt jawną świnią) przyjechać do Bierzyńca.

W, samo południe Stefan pożegnał się grzecznie, lecz chłodno ze stryjem i poszedł na stację. Krzeczotek odprowadzał go, bo mógł tym samym pociągiem podjechać do Bierzyńca.

Dzień był ciepły i całkiem już wiosenny; topiące się śniegi szemrały wodą, której strumienie zamieniły drogę w przeraźliwą topiel; maszerując mówili mało, bo i przeprawa przez kałuże wymagała uwagi, i nie było o czym. Na stacji ponudzili się jeszcze chwilę, szukając ratunku w papierosach ómionych całkiem jak kiedyś na przerwach między wykładami — z ogienkiem ukrytym w garści, aż nadjechał pociąg. Jeszcze sunął torem, gdy Staszek, przerażony jego wyglądem, postanowił iść piechota: wagony kipiały wprost od masy ludzkiej zalepiającej okna, pokrywającej dachy, czepiającej się wszystkich poręczy, klamek, stopni. Gdy pociąg zatrzymał się i natarł nań spory tłumek czekających chłopów i przekupniów, uczyniła się pełna harmideru walka. Stefan rozwinął w niej zaciekleść, jakiej sam się po sobie nie spodziewał; darł się i tłoczył wespół w ciżbę kozuchów z taką rozpaczą, jakby od tego zależało życie. Pociąg już ruszał przy powszechnej wrzawie, gdy udało mu się końcem stopy zmacać skraj drewnianego stopnia i chwycić się oburącz tułubów i płaszczy tych, co wisieli przy drzwiach nad nim. Miał jednak na tyle przytomności, by pojąć, że w tej pozycji dłużej niż kilka minut się nie utrzyma, zeskoczył więc w dość już szybkim biegu, tak że omal nie upadł. Jakoś jednak obeszło się tylko rześistym prysznicem śniegu zmieszanego z brudną wodą. Kiedy zawrócił od toru, zaczerwieniony z wysiłku i złości, ujrzał pobłaźliwy, choć przychylny uśmiech Staszka. Złość go zdjęła jeszcze większa, ale przyjaciel, który obserwował jego zmagania, odezwał się z dala:

— Nie złość się, Stefan, widzisz przecie, że te los, a nie ja. Chodź, pójdziemy razem do Bierzyńca...

Stefan przez chwilę stał niezdecydowany, potem zaczął coś mówić — już nie o bliżej nie określonych „sprawach do uregulowania”, lecz o bieliźnie i mydle — ale Krzeczotek z niezwykłą u siebie energią wziął go pod rękę i dał mu do zrozumienia, że wszystko niezbędne się znajdzie, a uczynił to w taki jakiś ciepły, serdeczny sposób, że Stefan, teraz dopiero

dostrzegłszy wielkie błotniste zacieki na swoim płaszczu, naraz roześmiał się, machnął ręką na wszystkie skrupuły i poczłapał z kolegą po błocie ku widniejącym na jasnym widnokręgu trzem garbom wzgórz bierzynieckich.

## WĘZŁY PRZESTRZENI

Od Nieczaw było do Bierzyńca dwanaście kilometrów wijącej się serpentynami, rozmięklej, gliniastej szosy. Gdy przebyli najwyższe wzniesienie, szosa weszła w głęboki wykop, który doprowadził ich do traktu węższego, lecz tak samo grząskiego, aż nagle zza grupy drzew ukazało się łagodne wzgórze, od południa porosłe niskim zagajnikiem. Na jego szczycie szarzał masyw budynków otoczonych ceglany murem. Do głównej bramy szła droga wymoszczona tłuczniem. Kilkaset metrów przed celem stanęli, zadyszani od szybkiego marszu. Z wysokości objął Stefan wzrokiem wielką, łagodną pofałdowaną przestrzeń, którą w niskim słońcu wlokły się gdzieniegdzie mgły. Niepewna barwa śniegów zdradzała działanie ciepła. Przed ciemną bramą wznosił się ukryty bokami w krzakach, wyszczerbiony łuk kamienny z niewyraźnym napisem. Gdy się tam zbliżyli, Stefan złożył słowa: CHRISTO TRANSFIGURATO.

Miażdżąc w pośpiechu zachowane w cienistych miejscach szybki zamarzniętych kałuż, dotarli do furty. Gruby, zarośnięty odzwierny wpuścił ich do wnętrza. Teraz Krzeczotek rozwinął gorączkową, choć ściszoną działalność. Przykazał Stefanowi czekać w bocznej, pustej sali parteru, a sam pobiegł do naczelnego lekarza. Stefan krążył po kamiennych taflach podłogi, wpatrując się bezmyślnie we wzór malowidła przysłoniętego częściowo tynkiem; była tam jakby bładozłota aureola i, już pod błękitnawym wapnem, otwarte jak do krzyku czy śpiewu usta. Na głos kroków odwrócił się: Staszek powracał niespodziewanie szybko, już w przydługim, białym chałacie, nieco postrzępionym na rękawach od nadmiernego prania, jakby zarazem szczuplejszy i wyższy. Jego okrągła twarz aż rozszerzyła się jaśniejac zadowoleniem.

— No, świetnie, już obgadałem wszystko z Pajpakiem — powiedział biorąc Stefana pod rękę. — To nasz naczelny, wiesz. Nazywa się Pajączkowski, ale jąka się, więc dlatego — ale jesteście chyba głodny? Przyznaj się! No, zaraz wszystko urządzimy.

Lekarze zamieszkiwali odrębny, ładny budynek, bardzo przytulny i jasny. Panował tu komfort wysokiej próby. W pokoiku, do którego zaprowadził go Staszek, znalazł Stefan i ciepłą wodę bieżącą w umywalni, i schludne, —niezbyt szpitalne wrażenie robiące łóżko, i mebelki w miarę jasne, choć nieco surowe w linii, nawet trzy przebiśniewy w szklance na stoliku. Co zaś najważniejsze, nie czuło się tu wcale jodoformu ani innych szpitalnych zapachów. Stefan przy nieustannej gadaniu Staszka odkręcił po kolei kurki, obejrzał łazienkę, zbadał huczący rozkosznie tusz, wrócił do pokoju, wypił białą kawę, smarował czymś słonym i żółtym bułki, jadł, a wszystko to robił właściwie z przyjaźni, aby tamten mógł się nacieszyć sukcesem własnej zapobiegliwości.

— Teraz siadaj tu koło mnie. No co? Jak będzie? — spytał Staszek, gdy wszystko zostało wreszcie obejrzone i zjedzone.

— Niby z czym?

— No, w ogóle, oczywiście — ze światem i z tobą.

— Rzucasz wezwanie do zasadniczej dyskusji? — nie mógł powściągnąć uśmiechu Stefan.

— Nie, skąd! Jaka tam dyskusja! Świat — to teraz Niemcy. Wszyscy mówią, że dostaną, chociaż nie jestem tego zupełnie pewny... niestety. Już przebąkują o zmianie kierownictwa — podobno Polak nie może być dyrektorem... ale to jeszcze niepewne. No, a co do ciebie — musisz po kolei wszystko poznać. Potem dopiero wybierzesz sobie oddział. Nie spiesz się, rozejrzyj się wpierw.

Mówi prawie jak ciotka Skoczyńska — przemknęło Stefanowi przez głowę, a głośno spytał:

— A gdzie są... oni?

Widział z okna zamglone klomby, niewyraźne pawilony jeden za drugim, z dalszego wznosiła się turecka czy mauretańska wieża — nie znał się na tym.

— Wszystko zobaczysz. Tam są, i z drugiej strony też. Wnet będą imieniny naszego starego. Ubawisz się. Dziś jeszcze oczywiście nie pójdziesz na sale, objaśnię cię systematycznie, żebyś się tu nie zgubił. Jesteś, mój drogi, w wariackim szpitalu.

— To wiem.

— Tak ci się tylko zdaje. Zdawałeś psychiatrię i miałeś w obserwacji jednego pacjenta, na pewno przypadek neurologiczny, co?

— Tak.

— No widzisz. Terapia — to nie żadna sztuka: do czterdziestu lat wariat to dementia praecox: zimne kąpiele, brom i skopolamina. Powyżej czterdziestki — dementia senilis: skopolamina, brom i zimny tusz. No i szoki. To właściwie cała psychiatria. Ale tutaj, mój drogi, jesteśmy małą wysepką w przedziwnym morzu. I powiadam ci, że gdyby nie personel, gdyby nie... ale mniejsza z tym, i tak z czasem wszystko zrozumiesz — warto by tu przepędzić życie, jeśli nawet nie jako lekarz...

— To jako wariat, chcesz powiedzieć?

— No, cóż pleciesz! Jako gość, myślałem. Bo my tu takich mamy. Wybitnych ludzi możesz tu poznać, nie śmiejesz się, mówię serio.

— No, no?

— Na przykład Sekułowskiego.

— Co ty mówisz, tego poetę? To on...

— Skąd! Siedzi u nas tak sobie, to znaczy, jak by to powiedzieć? Narkoman. Morfina, kokaina, nawet pejotl, ale wyszedł już z tego. Tak mieszka u nas, niby na wczasach. Przed Niemcami się schował, krótko mówiąc. Pisze całymi dniami, i to nie wiersze, ale całe grzmoty filozoficzne! No, zobaczysz! A teraz mam obchód wieczorny, zostawię cię na pół godziny, dobrze?

Staszek poszedł. Stefan długo stał przy oknie, potem obszedł powoli swoje nowe locum. Jak jednak ważne jest otoczenie. Wszystko dokoła w jakiś niewytłumaczony sposób wślizgiwało się weń, i to zwłaszcza wtedy, gdy nie brał przedmiotów pod lupę centralnego, uważnego spojrzenia, ale kiedy stawał się bierny wypoczywając. Czuł, jak na przeżyciach ostatnich dni poczyna już osiadać nowa, odmienna warstwa, jak ta geologia wspomnień tężeje, spodem drażona tylko snami, a górą, płynna i zwiewna, poddaje się wpływom świata.

Stanął przed lustrem. Kiedy jego twarz ukazała się w szklanej tafli, długą chwilę wpatrywał się w nią usilnie. Czoło mogłoby być wyższe, a włosy bardziej zdecydowane, albo całkiem jasne, albo już krucze; tymczasem konsekwentnie czarny miał tylko zarost, od czego wyglądał zawsze jak nie ogolony. No, a oczy — powiadał, że są orzechowe, inni mówili: piwne. Więc też nie całkiem ustalone. Tylko nos po ojcu ostry, zagięty, „chciwy nos” — mówiła matka. Naprężył z lekka rysy, wyostrzył je, by wyszlachetniały. Ten grymas pociągnął za sobą następny i tak robił minę za miną, aż w pewnej chwili zrobił gwałtowny zwrot w tył i podszedł do okna.

Przestałbym już raz siebie samego małpować! — pomyślał z gniewem. — Stanę się pragmatystą. Działać, działać i działać. — Przypomniał sobie powiedzenie ojca: „człowiek, który nie ma celu w życiu, musi go sobie stworzyć”. Dobra jest zresztą plejada celów, na bliższą i dalszą metę. I to nie jakieś nieokreślone „dzielny być”, „dobrym”, ale „naprawić klozet”. Z tego na pewno wyniknie większe zadowolenie. Naraz intensywnie zateśknął do losu prostego człowieka.

— Boże! żeby tak mógł orać, siać, żąć i znowu orać. Albo robić jakieś stołki czy koszyki wyplatać, wynosić na jarmark. — Kariera wiejskiego rzeźbiarza świątków albo garncarza wypalającego czerwone koguciki, lukrowane polewą, wydała mu się szczytem szczęścia. Spokój. Prostota. Drzewo byłoby drzewem i kropka. Żadnego kretyńskiego, nigdzie nie prowadzącego, a diabelnie męczącego...zastanawiania się — na jaką cholere to rośnie, co to ma znaczyć, że się żyje, po co są rośliny, dlaczego jest się sobą, a nie kimś innym, czy dusza

to atomy — i w ogóle żeby już raz przestać! Zaczai chodzić po pokoju, rozeźlony. Na szczęście nadszedł Staszek. Stefan podejrzewał, że Krzeczotek czuje się w szpitalu dobrze jak jednooki wśród ślepców. Był łagodnym, miniaturowym wariatem, więc oczywiście na malowniczym tle wspaniale rozkwitłych szaleństw sprawiał wrażenie niezwykle spoistego psychicznie.

Jadalnia lekarzy znajdowała się na górze, pod samym dachem, sąsiadując z dużą salą bilardową i drugą, mniejszą, w której stały stoliki do gry czy czegoś w tym guście. Stefan zerknął tam, przechodząc.

Jeść dali nie najgorzej: po zrazach z kaszą i sałacie fasolowej — kruche racuszki. Potem była jeszcze kawa w dzbanach.

— Wojna, panie kolego, à la guerre comme a la guerre — rzekł do Stefana sąsiad. Po prawej miał Staszka; mógł swobodnie obserwować siedzących. Jak zwykle, gdy widzi się nowe twarze, niektórych nie rozróżniał, zamieniał je z sobą, nie posiadały dla niego intonacji uczuciowej.

Ten, który wygłosił ze skupieniem aforyzm o wojnie, doktor Dygier czy Rygier, bo się tak niewyraźnie przedstawił, był niski, bardzo nosaty, czarniawy na twarzy, z blizną, która tworzyła na kości czołowej spore zakłębienie. Nosił małe binokle w złotej oprawie, które wciąż się zesuwały; poprawiał je automatycznym ruchem. Po jakimś czasie zaczęło to drażnić Stefania. Rozmawiał z nim półgłosem na obojętne tematy: czy zima się skończyła, jak z węglem, czy dużo pracy, ile teraz płacą. Doktor Rygier (.bo jednak okazał się na R) popijał drobnymi łykami kawę, wybierał co najlepiej wypieczone racuszki i odpowiadał nosowo, z miernym zainteresowaniem. Jakoś tak wypadło, że mówiąc do siebie obaj patrzyli na adiunkta Pajączkowskiego. Ten staruszek, przypominający na pół upieczonego gołąbka piórkowatą łysawą bródką, bo spod srebrnych pasemek wylaniała się różowa skórka, o trzęsących się trochę, zmarszczonych rączkach, drobny i niekiedy się zacinający chlapał kawę, a gdy zaczynał mówić, drygał czasem przecząco głową.

— To pan chciałby u nas pracować, co? — mówił do Stefana i przeczył.

— Tak, chciałbym...

— No pewnie... pewnie... warto...

— Bo praktyka... potrzebna... przydałoby się... — mamrotał Stefan, który okropnie nie lubił staruszków, oficjalnych przyjęć i nudnych rozmów, a tutaj miał wszystko naraz.

— No, to my panu wszystko dokładnie... jak sami tylko... — mówił Pajpak i dalej przeczył.

Obok niego siedział wysoki, chudy lekarz w kitlu poplamionym azotanem srebra. Uderzająco, ale dość sympatycznie brzydki, z bliznami po szyciu obustronnej zajęcej wargi, o płaskim nosie i szerokich ustach, miał kościany, żółtawy uśmiech. Gdy położył rękę na stole, Stefan zdziwił się jej wielkości i ładnej linii. Uważał, że dwie są rzeczy ważne: wykroj paznokcia oraz stosunek długości dłoni do jej szerokości. U doktora Marglewskiego jedno i drugie było dobrze rasowe.

Przy stole siedziała jedna kobieta. Zwróciła uwagę Stefana, gdy tylko przyszedł; witał się ze wszystkimi, uderzył go wówczas bierny chłód jej dłoni, wąskiej i jędrnej. Myśl o pieszczocie tej ręki miała w sobie coś przykrego i podniecającego zarazem.

Pani (czy panna) doktor Nosilewska miała bladą twarz ujętą w burzę kasztanowych włosów, które pod światło zapalały się miodowo i złoto. Pod przejrzyste wysklepionym czołem brwi odchylone na boki iście skrzydlate, a pod nimi surowe niebieskie oczy, prawie elektryczne jakieś. Była piękna doskonale, więc się tego zrazu nie widziało: nie potrącała wzroku patrzącego żadnym pieprzykiem. Spokój jej miał odcień macierzyńskości, która cechuje rysy Afrodyty, ale gdy się uśmiechała, przyłączały się do tego jasnymi iskierkami jej włosy, oczy i małe zagłębienie na lewym policzku, nie dołek, lecz figlarne o nim napomknienie.

Był tam jeszcze młodszy lekarz, obficie upryszczony brunet z garbkiem na nosie. Nikt do niego nie mówił. Nazywał się Kuśniewicz.

Z rozmowy dowiedział się Stefan, że praca jest ciężka, ale ciekawa, choć nudna, że nie ma lepszego powołania od psychiatrii, chociaż większość obecnych, gdyby tylko mogła, zmieniłaby specjalność, że chorzy są zupełnie niemożliwi, ale spokojni i cisi, i że w ogóle szkoda się męczyć, bo na psychiatrię idą ludzie nienormalni, więc wszyscy razem powinni brać szoki i po krzyku. Sprzeczności te wynikały oczywiście z indywidualnych zapatrywań rozmówców. Sprawy polityki na ogół przemilczano. Było tu jak na dnie morza: panował ruch leniwy, powolny i najsilniejsze burze powierzchni zaznaczały się wychyleniami nowego rzędu, przetransponowane na odmienne diagnozy chorób. Na drugi dzień okazało się, że Stefan nie poznał wszystkich pracujących w sanatorium lekarzy. Idąc w towarzystwie doktor Nosilewskiej na poranną wizytę (przydzielono go na oddział kobiecy), spotkał na zwirowanej, przyproszonej wodą z drzew dróżce wysokiego mężczyznę w białym płaszczu. Widział go krótko, ale tamten wrył mu się w pamięć. Miał brzydkie żółte rysy, wyczelowane jakby w materiale twardym niczym kość słoniowa, oczy zakryte dymnymi szklami, nos sztyletowaty, ogromny i skórę warg napiętą cienko na zębach; przypominał mumię Ramzesa drugiego, którą Stefan widział na jakiejś reprodukcji: ascetyczna niezależność od wieku, pewna pozaczasowość rysów. Zmarszczki nie stanowiły licznika minionych lat, ale należały do rzeźby twarzy. Poza tym lekarz — Stefan dowiedział się, że pierwszy operator sanatorium — był chudy jak wieszak i płaskostopy; stawał nogi szeroko, chlapiąc błotem, kiedy, niegrzecznie ukłoniwszy się Nosilewskiej, wbiegł na kręcone zewnętrzne schodki czerwonego pawilonu.

Nosilewska trzymała w białej dłoni klucz, którym otwierała drzwi łączące pawilony. Wszystkie niemal zabudowania łączyły długie, oszklone u góry galerie, żeby lekarze, wizytując chorych, nie narażali się na mrozy i deszcz. Galerie te przypominały przedsionek oranżerii, nakryty szkłem. Gdy jednak wchodziło się do pawilonu, wrażenie przyskało. Wszystkie ściany powlekał bladobłękitny lakier. Żadnych kurków, występów, kontaktów, klamek: gładkie mury do wysokości półtrzecia metra. W salach chłodnych i jasnych, o dyskretnie zakratowanych lub siatką zamkniętych i oknach dźwigających obszerne skrzynki z kwiatami, wzdłuż dwu szeregów schludnie, prawie po wojskowemu zaścienionych łóżek przechadzali się chorzy w wiśniowych szlafrokach, człapiąc tekturowymi trepami.

Doktor Nosilewska przechodziła przez sale, automatycznym, lekkim, sennym prawie ruchem zamykając za sobą drzwi i otwierając nowe. Stefan miał już klucz, ale nie szłoby mu to tak sprawnie.

Widziało się twarze blade i wyciągnięte, jakby osiadłe na kości, to purchawkowato rozdęte, o niezdrowym rumieńcu, pokryte zarostem. Mężczyźni byli ostrzyżeni do skóry, a zabieg taki zaciera indywidualność. Nie zamaskowane włosami, obnażały się garby i dziwactwa czaszek przytłaczających swoją brzydota wymowę twarzy. Odstające uszy, wzrok dziwnie krótki albo oparty o dowolny przedmiot, tak jakby od oczu wiodły do niego szklane pręciki — to było piętno większości chorych, przynajmniej przy tak pospiesznym obchodzie. Korytarzem pielęgniarz popychał pacjenta. Jego ruchy, nie to, że brutalne, ale nie odnoszące się jakby do człowieka, złagodniały na krótką chwilę, kiedy Stefan i Nosilewska mijali tę parę. Gdzieś z oddali dobiegał dosyć łagodny ryk, jakby ktoś krzyczał nie z musu ani z choroby, lecz z przekonania, niejako wprawiając się. Nosilewska też zresztą była osobliwa; zauważył to jeszcze rano. Gdy siedzieli przy śniadaniu, Stefan, jako esteta, próbował utrwalić w pamięci jej rysy, by móc do nich później wracać. Spostrzegł wówczas, jak z głową łabędzio przechyloną nad brzegiem dymiącego kubka skierowała oczy nigdzie — najwyraźniej nigdzie — i, zapatrzona, przestała istnieć. Widział wprawdzie dalej wszystkie roślinne znaki jej życia: delikatnie podbijające dołek szyi tętno, spokojny mrok źrenicy, drżenie rzęs, ale pewny był, Ż6 malujący się na jej twarzy daleki zachwyty jest rozkoszą drętwoży, bezmyślnego,



całkowitego nieistnienia. Kiedy się ocknęła i powoli zwróciła nań błękitny, osłupiały trochę wzrok, prawie się przeląkł, a w chwilę potem cofnął nogę, gdy zetknęły się ich kolana — styk ten wydał mu się niebezpieczny.

Na oddzielnym kobiecym znajdował się schludnie urządzonej gabinet Nosilewskiej. Choć nie miała tu nic osobistego, w powietrzu unosiły się nieuchwytnie siady kobiecości, oczywiście nic tak prostego jak woń perfum. Siedli przy białym metalowym biurku, Nosilewska dobytek z szuflady kartoteki. Jak każda lekarka musiała zrezygnować z lakierowanych paznokci, ale te krótkie, zaokrąglone, jakie zdobiły jej palce, były po chłopięcemu piękne. Na ścianie wisiał wysoko Chrystus, malutki, czarny, przytrzymywany przez dwa nieproporcjonalnie potężne haki. Zdziwiło to Stefana, lecz musiał uważać: lekarka wymieniała mu rzeczowo rodzaj jego zajęć. Głos jej łamał się troszeczkę, jakby miała ochotę puścić go lada moment w tryle. Stefan nie pisał jeszcze nigdy historii obserwacji psychiatrycznej; przygotowując się do egzaminu, oczywiście ścigał. Dowiedziawszy się, że na razie nie będzie zakładał nowych kart, a tylko kontynuował stare, ocenił przychylnie intencję Nosilewskiej, która rozumiała jak on, że cała pisanina jest diabło nudna i zbyteczna, ale tak trzeba, bo tradycja.

— No, to kolega już wie.

Podziękował i przystąpiono do próby. Potem Stefan łamał sobie głowę, czy ta elegancka kobieta w gazówkach i z wdziękiem skrojonym białym płaszczu (zapinał się na szarawy guzik z masy perłowej) wiedziała, jak wypadnie ta scena rodzajowa. Zadzwoiła na sanitariuszkę, konopiastą, krępią dziewczynę.

— Zazwyczaj przechodzi się salę i wypytuje chore o ich stan i wyobrażenia, no, objawy, rozumiecie, kolego, ale teraz chciałabym panu sprezentować część mojego królestwa.

To było naprawdę jej królestwo: choć nie cierpiał na klaustrofobię, przykro odczuł zamykanie za sobą szeregu drzwi owym kluczem magicznym. Nawet i tu,, w gabinecie, za oknem ciemniała krata, a w kącie za szafką z lekarstwami leżała kupa zmiętego, niedbale porzuconego płótna: kaftan bezpieczeństwa. Wprowadzoną chorą zniekształcały groteskowo zbyt długie i obcisłe spodnie pidżamy. Biodra rysowały się w nich szczególnie kobieco. Na nogach miała czarne trzewiki. Twarz była bez wyrazu, lecz czuło się w niej niespodziankę. Umalowana, mogłaby pewno uchodzić za przystojną. Brwi uczerniła wręcz nachalnie, pewno węglem, przedłużając je aż na skronie, może to wywoływało wrażenie dziwności, ale Stefan nie mógł dłużej obserwować, gdyż zaszokowało go pierwsze odezwanie się przybyłej. Na pytanie, co nowego, zadane matowym głosem bez zainteresowania, chora uśmiechnęła się obiecująco.

— Miałam wizytę — powiedziała śpiwnym, cienkim głosem.

— No, i któż był u pani Zuzanny?

— Pan Jezus. Przyszedł w nocy.

— Doprawdy?

— Tak. Włazł do łóżka i... — użyła najbardziej wulgarnego określenia na stosunek płciowy, patrząc Stefanowi w twarz z ciekawością, jakby mówiła „i co ty na to?”

Siefan, choć niby lekarz, po prostu zdrętwiał i tak się zawstydził, że nie wiedział, gdzie podziać oczy. Tymczasem Nosilewska wyjęła z kieszeni malutką papierośnicę, poczęstowała go, sama zapaliła i zaczęła wypytywać chorą o szczegóły. Były one takie, że Stefanowi rece się trzęsły, kiedy podawał koleżance ogień. Złamał trzy zapalki. Odczuwał już prawie fizyczne mdłości, gdy Nosilewska poprosiła go, by zbadał odruchy, co niezręcznie wykonał. Potem sanitariuszka, przez cały czas stojąca najzupełniej obojętnie, wzięła siedzącą za rękę, pociągnęła, podobnie jak się to czyni z tobołem bielizny, i w pół zdania wyprowadziła za drzwi.

— Paranoja — rzekła lekarka — często miewa halucynacje. Kolega oczywiście nie musi notować wszystkiego, ale parę słów by się zdało.

Następna chora, stara, gruba kobieta o rudosiwych włosach i gąbczastej twarzy, wykonywała setki ruchów gasnących w samym zawiązku, jakby się chciała mocować z trzymającą ją z tyłu za zebrane fałdy szlafroka dziewczyną. Bez ustanku gadała; potok posklejanych z sobą słów bez ładu i składu sypał się nawet, gdy zadawano jej pytania. W pewnej chwili targnęła się mocniej; Stefan mimo woli chciał się cofnąć z krzesłem. Nosilewska poleciła ją wyprowadzić.

Trzecia była prawdziwym dnem człowieczeństwa. Szedł przed nią gęsty, słodki zaduch. Trzyniecki musiał zmobilizować wszystkie siły, aby tylko usiedzieć. Z długiej wynędzniałej postaci trudno było odgadnąć płeć. W dziurach szlafroka świeciła sinawa skóra na jabłkach stawów. Twarz była koścista, wielka, tępa jak kukła. Nosilewska powiedziała do chorej coś, czego Stefan nie zrozumiał. Wówczas tamta, stojąc sztywno tak jak weszła, z odsuniętą w bok ręką, zaczęła mówić:

— Menin aeide thea...

Deklamowała „Iliadę”, prawidłowo akcentując cezury heksametru. Gdy sanitariuszka wyprowadziła ją, Nosilewska zwróciła się do Stefana:

— To doktor filozofii. Była jakiś czas w stadium katatonii. Umyślnie ją panu pokazałam, bo dość podręcznikowy przypadek: doskonale zachowana pamięć.

— Ale jej wygląd... — nie wytrzymał Stefan.

— Niech nam pan nie bierze tego za złe. Dałoby się jej czyste rzeczy, ale po paru godzinach przybrałaby identyczny wygląd. Trudno nad każdym koprofagiem postawić sanitariuszkę, zwłaszcza obecnie... Teraz pójdę do apteki, a pan zechce wypełnić historię chorób, wie pan, potem numery i daty wpisać do książki. To taka administracyjna formalność, którą musimy niestety sami załatwiać.

Stefanowi paliło wargi pytanie, czy takich obrzydliwości, jakie opowiadała pierwsza chora, wysłuchuje się częściej — ale wykazałoby to jego całkowitą ignorancję, zamilczał więc. Zaczął szeleścić papierami. Lekarka wyszła. Gdy skończył, musiał porządnie wziąć się w garść, by wyjść na salę. Tutaj przechadzały się kobiety. Kilka nieustannie stroiło się w papierki, strzępki szmatek, sznurki, chichocząc bez wytchnienia. W kącie stało łóżko z bocznymi siatkami i górną, także zamkniętą sznurkami. Było puste. Gdy przechodził pod ścianą (instynktownie usiłował nie nadstawiać choremu pleców), rozległ się z boku przeciągły, płaczliwy skowyt. Za bardzo grubą szybą, wprawioną w niskie drzwi, widniała oświetlona lampką izolatka, w której biegała uderzając całym ciałem, jak workiem, o tapicerowane ściany, naga kobieta. Gdy oczy jej spotkały twarz Stefana, znieruchomiała. Przez krótką chwilę była normalnym człowiekiem, zawstydzonym wstrętną sytuacją i własną, nagością. Potem zamruczała coś i zaczęła podchodzić coraz bliżej. Wreszcie, gdy ich twarze oddzielała tylko szyba, na której rozsypały się jej wielkie, rudawe włosy, rozdziawiła sine usta i zaczęła lizać szkło pokrajanym językiem, który zostawiał smugi różowo zabarwionej śliny.

Stefan uciekł, nie opanowując nawet kroku. Następna sala przyjęła go krzykiem. W łazience sanitariuszka usiłowała wtrącić do wanny chorą, która wyla broniąc się ze wszech sił. Łydki jej były silnie zaczerwienione. Okazało się, że woda jest za gorąca. Stefan kazał dodać zimnej. Był dla sanitariuszki zbyt grzeczny, wiedział o tym, ale nie mógł krzyknąć. Tłumaczył sobie, że na to za wcześnie.

Na trzeciej sali panowało chrapanie, rżenia i świsty. Przykryte ciemnymi kocami leżały na łóżkach kobiety po szokach insulinowych. Czasem jakieś bladoniebieskie oko wyłaziło spod przykrycia i szło za nim jak pusty wzrok owada. To znowu któraś musnęła jego chałat palcami, tak sobie. Na korytarzu spotkał Staszka. Musiał mieć zmienioną twarz, bo przyjaciel poklepał go po ramieniu i zagadnął szybko:

— No, co tam? Bój się Boga, nie bierz tego tak serio... — spostrzegł, że biały płaszcz Stefana zwilgotniał pod pachami.

— Takeś się spocił? No no...

Stefan z ulgą wyrzucił z siebie opowiadanie pierwszej chorej i wygląd innych. Ohyda!

— Jesteś dzieckiem. To nie są wypowiedzi ani sądy, lecz objawy. Objawy chorobowe, rozumiesz?

— Nie chcę tu dłużej być.

— Kobięcy jest zawsze trochę gorszy. Nie gadaj głupstw. Zresztą mówiłem już z Pajpakiem — Stefan z zadowoleniem stwierdził, że Staszek robił trochę ważnego. — Przeczuwałem to, ale Nosilewska naprawdę jest sama i potrzebna jej pomoc. Tak dla formy zostań u niej z tydzień, potem przetransportują cię do Rygiera, a może wolisz, czekaj, to jest myśl. Ty przecież byłeś narkotyzерem u Włostowskiego?

Istotnie, Stefan dość dobrze dawał narkozę.

— Bo widzisz, właśnie Kauters skarży się, że nie ma nikogo, Orybald, wiesz.

— Co?

— Doktor Orybald Kauters — wyskandował Staszek. — Ciekawe imię, prawda? On wygląda jak Egipcjanin, a pochodzi podobno ze szlachty kurlandzkiej. Neurochirurg. Niezły operator!

— Tak, to byłoby najlepsze... nauczyłbym się czegoś przy tym. Bo tu... — Stefan machnął ręką.

— Chciałem ci to jeszcze przedtem powiedzieć, ale nie było okazji. Otóż nasz personel pielęgniarski jest zasadniczo zupełnie niewykwalfikowany. Więc postępuje trochę wsiowo, trochę brutalnie. Nawet grubsze świństwa się zdarzają.

Stefan wtrącił, że pielęgniarka omal nie poparzyła chorej wrzącą kąpielą.

— Tak, to bywa. Trzeba uważać, ale zasadniczo... sam rozumiesz, jak trudno o ludzi. Trzeba być amatorem szczególniejszych wzruszeń, żeby...

— To margines ciekawego problemu — rzekł Stefan, który odczuł chęć pogadania i zarazem znalazł pretekst, by nie wrócić na salę. Stali pod szybą korytarza.

— Wolny wybór rodzaju pracy jest niby rzeczą dobrą — ciągnął — ale właściwie tylko prawo wielkiej liczby gwarantuje, że wszystkie ważne społecznie fuchy zostaną obsadzone. Teoretycznie przynajmniej jest możliwe, że przez parę lat nikt nie będzie chciał zostać, powiedzmy, kanalarzem... i co wtedy? Przymuszać, czy jak?

— Jak dotychczas jakoś to działało i taki automatyczny rozrzut społeczny nie zawodzi. Wiesz, że zresztą potraciłeś o jeden z ulubionych tematów Pajpaka? Muszę mu to powiedzieć. On lubi czasem urządzać dla nas wykłady. Bo my tu doksztalcamy się i czasem nawet bawimy — Staszek pokazał w uśmiechu ożółcone nikotyną zęby. — Powiada, że to całe S2::zćście, iż ludzie są tak mało inteligentni... „Sami profesorowie uniwersytetu — to byłby koszmar, proszę ko... kolegów, kto byłby zamiataczem ulic?!” — zaintonował nagle Staszek, dość dobrze imitując falujący głos staruszka.

Stefanowi i to się znudziło.

— Przejdiesz się ze mną na salę? Chcę wziąć historie choroby do siebie. Zdaje się, że można, a nie potrafię tam pisać, za plecami mam drzwi...

— To co?

Stefan musiał powiedzieć wszystko.

— Mam uczucie, że wtykają mi wprost w plecy wzrok przez dziurkę od klucza.

— Zawieś drzwi ręcznikiem — tak serio i szybko rzekł Staszek, że Stefan, przeczuwając, iż tamten przechodził to samo co on, poczuł się trochę pewniej.

— Nie, wolę tak.

Wrócili przeto do dyżurki, przy czym trzeba było przejść przez trzy sale kobiece. Wysoka blondynka o zniszczonej, zalęknionej twarzy odwołała Stefana na stronę nie jak lekarza, lecz jak obcego na ulicy, prosząc o pomoc.

— Widzę, że pan doktor jest nowy — szepnęła rzucając wokoło trwożne spojrzenie. — Niech mi pan daruje pięć minut... no to dwie... — powiedziała błagalnie. Trzyniecki

poszukał wzrokiem Staszka, który z leniwym uśmiechem bawił się gumowym młoteczkim neurologicznym.

— Panie doktorze... jestem zupełnie normalna! Ponieważ Stefan wiedział z teorii, że dysymulacja to też dość klasyczny objaw niektórych szaleństw, bynajmniej się tym nie przejął.

— Pogadamy, proszę pani, jak tu będę na wizycie.

— To na pewno, co? — ucieszyła się. — Widzę, że pan doktor mnie rozumie...

Tu przybliżyła usta do jego ucha.

— Przecież tu są sami wariaci. S a m i — podkreśliła.

To oraz porozumiewawcze mruganie zdziwiło go, bo któż inny miał być w takim szpitalu? Nagle, gdy już szedł ze Staszkiem, zrozumiał: ona miała na myśli wszystkich, lekarzy też! Więc i Nosilewską? Spróbował bardzo delikatnie spytać Staszka, czy nie uważa lekarki za „dziwną”, lecz ten parsknął mu w twarz.

— Ona?! Ta śliczna dziewczyna?! — tu zaczął gorliwie tłumaczyć, co to za umysł, a rodzina jaka — piał z zachwytu. — Wsiąkł — pomyślał Stefan, zaraz spojrzął na przyjaciela inaczej; dostrzegł trochę nie dogolonych, jak wykluwające się robaczki, włosów na ruchliwej grdyce, brzydkie zęby, pryszcz w fazie wschodu i włosy, które przerzedziły się nad czołem tworząc ledwo ciemną mgiełkę tam, gdzie niedawno jeszcze świeciła syta czerń.

Nie ma szans — zdyskwalifikował go.

Sam nie odczuwał żadnego zainteresowania. Ładna, bardzo ładna, oczy niezwykle, ale coś odpychającego.

Po drodze Staszek przypomniał sobie Sekułowskiego i postanowił sprezentować go Stefanowi.

— Fantastycznie inteligentny gość, ale narwany, wiesz. Można z nim świetnie rozmawiać, bylebyś czego nie palnął. Zachowuj się tak, jakbyście byli w towarzystwie, rozumiesz? On jest czuły na takie rzeczy.

— Będę uważał — przyrzekł Stefan.

Idąc do pawilonu ozdowieńców, wyszli z galerii. Zaciągnięte niebo rozpogadzało się, wiatr wyrwał w szarym watowaniu chmur wielkie dziury. Duże kłaki mgły łążyły nisko nad drzewami.

Przed pawilonem jakiś człowiek w krótkiej kurtce woził taczkami ziemię. Był to Żyd o cerze ciemnej nie od opalenizny, silnie, po oczy niemal zarośnięty.

— Dzień dobry, panie konsyliarzu — powiedział do Stefana ignorując Staszka. — Pan konsyliariusz mnie sobie nie przypomina? Tak, ja widzę, że pan sobie mnie zapomniał.

— Nie wiem... — zaczął Stefan zatrzymując się i lekko odpowiadając na ukłon. Staszek czekał z nieznacznym uśmieszkiem, trącając końcem bucika taplające się w błocie badyle.

— Ja jestem Nagiel, Salomon Nagiel. Ja dla pańskiego taty robiłem zawsze blacharską robotę, pan wie?

Teraz Stefanowi coś zaświtało. Istotnie ojciec miał rodzaj totumfackiego, z którym zamykał się niekiedy w pracowni, budując swoje modele.

— Pan wie, co ja tu jestem? — kontynuował tamten. — Ja jestem, proszę pan konsyliariusza, pierwszy anioł.

Stefanowi zrobiło się bardzo głupio. Nagiel podszedł doń całkiem blisko i szepnął paląca:

— Za tydzień to ja będę na wielkim posiedzeniu. Sam Pambóg będzie i Dawid, i wszystkie Proroki, Archangieli i kto pan chce. Ja tam mam wielki głos, to może panu doktorowi czegoś potrzeba? Niech pan powi, ja załatwię.

— Nie, niczego mi nie trzeba...

Stefan złapał Staszka za rękę i gwałtownie pociągnął go w kierunku drzwi. Żyd oparty o łopatę stał jeszcze, patrząc w ślad za nimi.

— Dla laików sanatorium to Bóg wie co — perorował Krzeczotek, gdy skręcili w długi,

wykładany żółtymi kafelkami korytarz. Za podestem schodów droga rozdwajała się. W lewo szedł korytarz bez okien, z rzadka oświetlony małymi lampkami, mający w (sobie coś z lasu. Ciemność rytmicznie powracała w czasie marszu.

— Tymczasem objawy są ogromnie stereotypowe. Widzenia, halucynacje, siaka faza, taka faza, pobudzenie motoryczne, demencja, katatonja, mania i po krzyku. Ale teraz uważaj!

Z tymi słowami zatrzymał się przed zwykłymi, na klamkę zamykającymi się drzwiami, nad którymi połykiwała mleczna lampka.

Weszli do pokoju niedużego, lecz powietrznego, z posłanym przy ścianie łóżkiem, kilkoma białymi krzesłami i stołem, na którym leżał stos porządnie ułożonych, grubych książek. Na podłodze wały się liczne, zmięte w kule arkusze papieru. Człowiek w fiołkowej pidżamie w srebrne pasy siedział — plecami do wchodzących. Gdy się odwrócił, Stefan przypomniał sobie jakąś widzianą w ilustrowanym piśmie fotografię. Był to rosły, prawie piękny mężczyzna, choć podskórny napływ tłuszczu poczynił już rozmywać regularne, czyste rysy. Pod brwiami, wydatnymi i oproszonymi siwizną jak skronie, świeciły oczy tęgie, umiejące patrzeć bez drgnienia a żywo, trochę jakby rozleniwione pustką. Bez własnej barwy, przybierały kolor otoczenia. Teraz były jasne. Cera poety, wydelikaccona długim przebywaniem w zamknięciu, posiadała nadmierną przejrzystość, a pod oczami skóra obłuźniła się w ledwo dostrzegalne woreczki.

— Przedstawiam panu. kolegę, doktora Trzynieckiego. Przyjechał popracować u nas. Doskonały partner do dyskusji. —

— Jeżeli nawet, to tylko uniwersalny dyletant — rzekł Stefan czując z przyjemnością ciepły, krótki uścisk dłoni Sekułowskiego. Siedli. Mogło to wyglądać nieco dziwnie: dwóch ludzi w białych płaszczach, z których kieszeni wyzierały niedyskretnie słuchawki i młoteczki, i starszy pan w fantazyjnej pidżamie. Chwilę mówili o niczym, wreszcie Sekułowski zauważył:

— Medycyna może być niezłym oknem na nieskończoność. Czasem żałuję, że nie studiowałem jej systematycznie.

— Masz przed sobą wybitnego znawcę psychopatologii — zwrócił się Krzczotek do Stefana, który zauważył, że przyjaciel jest bardziej powściągliwy i sztywny niż zazwyczaj. — Stara się — pomyślał.

Powiedział, że nikt dotąd nie napisał powieści o ich zawodzie, która stanowiłaby rzeczywisty przekrój środowiska, obraz zupełnie wierny.

— To rzecz kopistów — uśmiechnął się lekceważąco, choć grzecznie poeta. — Zwierciadło na gościńcu? Cóż to ma wspólnego z literaturą? W tym ujęciu, panie doktorze, powieść to — w przeciwieństwie do poglądu Witkacego — sztuka, ale sztuka podglądania. — Miałem na myśli całą złożoność zjawiska... przemianę człowieka, który wchodzi w mury uniwersytetu, znając ludzi tylko od strony ich skóry i ewentualnie błon śluzowych — uśmiechnął się, bo to miał być dwuznacznik — a wychodzi... lekarzem.

To zabrzmiało idiotycznie. Stefan spostrzegł z przykrością i zdziwieniem, że nie może dość szybko formułować myśli, dobierać słów, miesza się trochę jak uczeń przed profesorem, choć ani śladu szacunku nie czuł dla Sekułowskiego.

— Zdaje się, że o naszym ciele wiemy nie więcej niż o najdalszej z gwiazd — rzekł niegłęboko poeta.

— Poznajemy prawa, które nim rządzą...

— Kiedy większość tez biologicznych ma swoje antytezy. Teorie naukowe to psychiczna guma do żucia.

— Ależ pozwól pan — rzekł już trochę zniecierpliwiony Stefan — i cóż pan robił zazwyczaj, zachorowawszy?

— Szukałem lekarza — uśmiechnął się Sekułowski. Uśmiech miał jasny jak dziecko. — Ale miałem z osiemnaście lat, kiedy zorientowałem się, jak wielu matolów zostaje lekarzami.

Od tego czasu panicznie lękałem się choroby, jakże bowiem można spowiadać się ze swoich wstydlivych słabości przed jakimś głupszym od siebie?

— Czasem to najlepsze. Czy nigdy nie miał pan ochoty zwierzyć się pierwszemu lepszemu obcemu z czegoś, co by pan zataił przed najbliższymi?

— Któż według pana może być „bliski”?

— No, choćby rodzice.

— Kto ty jesteś? Polak mały — rzekł Sekułowksi. — Rodzice mają być najbliżsi? Dlaczego nie ryby pancerne? Oni byli przecież tylko ostatnim ogniwem ewolucji, jak tego uczy wasza biologia, więc czułość powinna ogarniać całą rodzinę wraz z jaszczurami. A może pan zna kogoś, kto poczynił dziecko z czułą myślą o jego przyszłym życiu psychicznym?

— No, a kobiety?

— Pan żartuje chyba? Płci służą sobie nawzajem z powodów dość zawiłych, prawdopodobnie jest to konsekwencja tego, że kiedyś jakieś białko wykrzywiło się trochę, tu czegoś zabrakło, tam się coś uwypukliło, no i powstały pewne wklęsłości, i podporządkowane im wzniesienia, ale żeby stąd wiodła droga do bliskości? Oczywiście duchowej... Czy bliska jest panu pańska noga?

— Co to ma... — spróbował oponować Stefan. Widział już, że nie może nadażyć; Sekułowksi przebijał rozmowę jak kula rakietę.

— Wszystko ma. Noga jest oczywiście bliższa, bo może ją pan przeżywać dwojako: raz z zamkniętymi oczami jako „czucie świadome posiadania nogi”, a drugi raz, kiedy pan na nią spojrzy, dotknie jej, innymi słowy: jako rzecz. Niestety, każdy inny człowiek jest zawsze rzeczą.

— Pan bawi się absurdami. Nie chce pan przecież powiedzieć, że nigdy nie miał pan przyjaciela, że pan nigdy nie kochał?

— Jesteśmy nareszcie w domu! — zawołał Sekułowksi. — Ma się rozumieć, że miałem. Ale co to ma wspólnego z bliskością? Nikt nie może być mi bliższy ode mnie, a ja, ja jestem sobie czasem taki daleki...

Opuścił powieki, czyniąc to tak ciężko, jakby rezygnował ze świata. Rozmowa przypominała błądzenie w labiryncie. Stefan postanowił ująć jej wodze i wyłożyć, co miał najlepszego. Można się będzie ubawić.

— Mówiliśmy o literaturze. Pan zbyt jednostronnie wychwytuje słowa i przerysowuje szczegóły...

— Wał pan śmiało — zachęcał poeta.

— Tymczasem utwór jest funkcją konwencji, a talent to umiejętność łamania jej. Zgadza się nie tylko z realizmem, dobry jest każdy gatunek literacki, pod warunkiem, że autor przestrzega wewnętrznej logiki dzieła: kto raz przeprowadził bohatera przez ścianę, musi to czynić nadal...

— Przepraszam, ale... po co jest literatura, według pana...? — spytał Sekułowksi cicho, jakby z drzemki.

Ponieważ Stefan nie skończył, to wtrącenie tak pomieszało mu szyki, że zgubił wątek.

— Literatura uczy...

— Taak? — przeciągnął poeta. — A czego uczy Beethoven?

— A czego Einstein?

Stefana ogarniało zniecierpliwienie graniczące ze złością. Sekułowksi był stanowczo przereklamowany. Dlaczego ma go oszczędzać?

Sekułowksi śmiał się cicho, bardzo zadowolony.

— Naturalnie, że niczego — rzekł. — Bawi się, kochany panie. Tylko nie wszyscy o tym wiedzą. Kiedy dawać psu kielbasę zapalając lampkę, po jakimś czasie pies będzie wydzieliał ślinę na sam widok światła. A kiedy człowiekowi pokazywać atramentowe bezgroty na papierze, po jakimś czasie powie, że to wzór na nieskończoność wszechświata. Wszystko to

fizjologia mózgu, tresura, nic więcej.

— A co jest dla człowieka kielbasą? — spytał szybko Stefan z uczuciem szermierza, który wsadził celny sztych w ciało przeciwnika. Ale Sekułowski nie zwlekał z ripostą.

— Einstein jest kielbasą albo inny godny autorytet. Czy matematyka to nie jest rodzaj umysłowego berka? A logistyka, te szachy z najsurowszymi regułami? To jest jak ta dziecinna zabawa ze sznurkiem, który dwie osoby zdejmują sobie kunsztownie z palców, przeinaczając go coraz inaczej, aż w końcu wraca się do punktu wyjścia. Czy pan zna dowód Peana i Russella na to, że dwa a dwa jest cztery? Zajmuje bitą stronę znaków algebraicznych. Wszyscy bawią się, i ja się bawię. Widział pan może moją sztukę „Ogród kwiecisty”? Nazwałem ją dramatem chemicznym. Kwiatami są bakterie, bo to rośliny, a ogrodem — ciało ludzkie, w którym się pieni. Toczy się tam zacięta walka między pałeczkami gruźlicy a leukocytami. Zdobywszy pancerze z lipidów, coś w rodzaju czapki–niewidymki, bakterie jednoczą się pod przewodnictwem Nadmikroba, zwyciężają armię leukocytów i właśnie ma się przed nimi otworzyć błoga i świetna przyszłość, gdy wtem ogród umiera im pod nogami. jifo znaczy człowiek ginie i biedne roślinki muszą umrzeć z nim razem... Stefan nie znał tego dramatu.

— Przepraszam, że mówię o sobie. Ale ostatecznie każdy z nas jest jakimś projektem na środek świata. tyle że nie zawsze dobrze wykończonym. Wiele, wiele jest partactwa w człekoróbstwie. No, a świat — tu uśmiechnął się patrząc poniżej okna, jakby Widział tam coś zabawnego — to przecież zbiorowisko najfantastyczniejszych dziwności, których powszechność niczego nie tłumaczy... Oczywiście najłatwiej udawać, że niczego się nie widzi i że to, co jest, jest i koniec. Na co dzień i ja tak robię. Ale to tak mało. Nie pamiętam dokładnie cyfr (pamięć zawodzi mnie ostatnio), ale czytałem, jak nieprawdopodobne jest powstanie żywej komórki ze zbiorowiska atomów... coś jak jedna szansa na trylion. Potem, żeby się te komórki w liczbie iluś tam bilionów odpowiednio zebrały, konstytuując olało żywego człowieka! Każdy z nas jest losem, na który padła główna wygrana: parędziesiąt lat życia, wspaniałej zabawy. W świecie gazów rozpalonych, wirujących do białości mgławic, twardego mrozu kosmicznego pojawił się wyskok białka, galaretowatej mazi, usiłującej natychmiast rozleść się w wyziewy bakteryjne i gnicie... Sto tysięcy kruczków utrzymuje ten dziwaczny podskok energii, który jak błyskawica rozdziera materię na trwanie i ład: węzeł przestrzeni pełzający w pustym krajobrazie, i po co? Po to, aby niebo znalazło potwierdzenie w czyimś oku? W oku, rozumie pan? Czy nigdy nie zastanawiał się pan nad tym, dlaczego chmury i drzewa, złotogniade jesienią, bure zimą, ten pejzaż deklinowany przez pory roku, dlaczego wszystko wali w mas pięknem jak młotem, jakim prawem się tak dzieje? Przecież powinniśmy być czarnym prochem międzygwiezdny, strzępami mgławicy Psów Gończych, przecież normą jest huczenie gwiazd, potop meteorów, próżnia, ciemność, śmierć... Wyczerpany oparł się o poduszki i głosem niskim, ciężkim powiedział:

Only the dead know the tunes  
the live world dances to...

— A więc czym jest dla pana literatura? — odważył się po dłuższej chwili spytać Stefan.

— Dla czytających jest próbą zapomnienia. A dla twórcy — próbą ratunku... jak wszystko.

— Pański mistycyzm...

Stefan nie miał w rozmowie szczęścia: nie mógł wyłożyć najcelniejszych atutów, bo Sekułowski aż parsknął i zlął z nieskończoności.

— Ja mistyk? Kto to panu powiedział? U nas, ledwo ktoś wydrukuje cztery razy, natychmiast doczepiają mu karteczkę o konsekwencji wręcz nagrobkowej: „subtelny liryk”, „stylista”, „witalista”. Krytycy, których nazywałem niekiedy krytynami, to lekarze literatury, bo tak samo jak wy stawiają fałszywe diagnozy, tak samo wiedzą, jak być powinno i tak samo

nie umięją w żaden sposób pomóc... Zmistycyli mnie siłą, kto? — pluskwiaki, chamy, jełopy, i to jeszcze jedna dziwność do miliona innych: że, mając mózg rzekomo podobny do mego, można myśleć jakby kiszka.

— Nasza rozmowa jest trochę wichrowata — nie dialog, lecz podwójny monolog z przewagą pana — odezwał się Stefan. Postanowił się skupić i zwartym frontem pokonać Sekułowskiego. W tej chwili zupełnie zapomniał o swej medycynie.

— Znam przecież pana utwory. Otóż pan sugeruje istnienie jawy odmiennej niż „Jawa Istnienia”. Opisuje pan światy nie istniejące Riemanna... ale przecież i ten świat, który nas otacza, jak sam pan twierdzi, jest dość ciekawy. Czemuż tak mało pan o nim pisze? — świat, który nas otacza? Ach, to pan sądzi, że ja „zmyślam światy”? A więc pan nie ma żadnej wątpliwości co do identyczności świata, który otacza mnie i pana, tego, w którego środku pan siedzi na tym białym malowanym stołku?

Stefan pomyślał, że ten pierwszy jest „tracony”, ale powiedział oczywiście:

— Do pewnego stopnia — tak.

Sekułowski usłyszał tylko to „tak”, bo mu było potrzebne.

— Ja widzę inaczej. Niedawno pan doktor Krzeczotek pozwolił mi zajrzeć do mikroskopu. On widział tam, jak mi potem powiedział, różowo zabarwione nabłonki wyścielające, wśród których znajdowały się palisadowe ułożone ciemne maczugowce dyfteryczne o charakterystycznym kolbkowatym kształcie, dobrze powtarzam, prawda?

Staszek przytwierdził.

— A ja widziałem archipelag brunatnych wysp, jakby koralowych atoli w błękitnym morzu, w którym pływały różowe tafle kry, unoszone przez drżące, długie prądy...

— Te „atole” to właśnie były bakterie — zauważył Staszek.

— Tak, ale ja tego nie widziałem. Więc gdzież wspólny świat? Czy książka jest tym samym dla introligatora, co dla pana?

— Czy pan wątpi nawet w możliwość porozumienia się z drugim?

— Nasza rozmowa jest zbyt akademicka. Mogą się przyznać tylko do tego, że istotnie przedłużam pewne linie rysunku świata, że dążę zawsze do ostatecznej konsekwencji, która w wyniku może się okazać niekonsekwencją. Nic więcej.

— A więc ulogiczniony absurd? To jedna z możliwości i nie wiem, dlaczego...

— Każdy z nas jest jedną z możliwości, która przeszła w konieczność — przerwał Sekułowski, a Stefanowi przypomniała się myśl, którą spłodził raz w samotności. Zaprodukował ją, bo mogła zaimponować.

— Czy pomyślał pan kiedy — „ja, który byłem plemnikiem i jajem”?

— To ciekawe. Czy pozwoli pan, że zanotuje? Oczywiście, jeśli nie gromadzi pan materiałów literackich... — spytał Sekułowski, a gdy Stefan zmilczał, czując, że jest obrabowywany, choć formalnie nie może zaprotestować, nakreślił wielkim, skośnym charakterem kilka słów na kartce, którą wy dostał z książki. Był to „Ulisses” Joyce’a.

— Mówiliście, panowie, o konsekwencjach i ich przedłużaniu — odezwał się milczący dotąd Staszek, — A co powiecie o Niemcach? Konsekwencją ich światopoglądu byłoby zniszczenie biologiczne naszego narodu po pełnym wyeksploatowaniu jego siły żywej.

— Politycy są ludźmi nazbyt głupimi, aby można przewidywać ich postęпки rozumowaniem — odparł Sekułowski, pieczołowicie zakręcając zielonkawobursztynowego pelikana. — Ale w tym wypadku to, co pan mówi, nie jest wykluczone.

— A więc cóż trzeba robić?

— Grać na flecie, zbierać motyle — odparł Sekułowski, który wydawał się znudzony rozmową. — Zdobywamy sobie wolność w różny sposób. Jedni na cudzy koszt, to bardzo nieładnie, choć praktycznie. Drudzy — szukając w sytuacji szczeliny, którą by mogli umknąć. Nie bójmy się słowa „obłąd”. Powiadam, że mogę wykonać czynność z pozoru szaleńczą, aby zadokumentować wolność mego postępowania.



— Na przykład? — spytał Stefan, choć zdawało mu się, że Staszek, którego widział tylko kątem oka, robi jakiś gest ostrzegawczy.

— Na przykład — rzekł mile Sekułowksi, zmarszczył się, wybałuszył oczy i zaryczał pełnymi ustami jak krowa. Stefan zaczerwienił się jak burak. Staszek patrzył w bok z grymasem, który był śladem po uśmiechu.

— Quod erat demonstrandum — rzekł poeta. — Byłem za leniwy, żeby uciec się do czegoś bardziej wymownego.

Stefanowi nagle żal się zrobiło wysiłków. Przed kim sypie tu perły?

— To nie ma nic wspólnego z rzeczywistym obłędem — rzekł Sekułowksi. — To tylko mały dowód. Rozszerzajmy nasze możliwości nie tylko w stronę normy, znajdujmy wyjścia z sytuacji, których nikt nie dostrzega.

— A pod murem straceń? — oschle, choć z wewnętrznym zacietrzewieniem rzucił Stefan.

— Tam można odróżnić się od zwierząt chociażby sposobem umierania. A cóż pan zrobiłby w takiej sytuacji, doktorze?

— Ja... ja... — Stefan nie wiedział, co powiedzieć.

Czuł, że gdy dotąd słowa ześlizgiwały mu się samowolnie z języka, teraz napęczniała pustka. Ponieważ przestraszył się kompromitacji, pustka ustaliła się w pewność. Zamilkł na dobre... Po długiej chwili bąknął:

— Mnie się zdaje, że my w ogóle jesteśmy marginesem. Ten szpital cały — to przecież zjawisko nietypowe. Utypowana atypowość — rzekł pocieszając się nieco tym sformułowaniem. — Niemcy, wojna, klęska, to wszystko odbija się tu tak bardzo pośrednio, że można mówić najwyżej o jakimś dalekim echu...

— Składnica wraków, co? A całe okręty pływają po morzach — rzekł Sekułowksi, który zapatrzył się naraz w sufit. — Wy zaś, panowie, usiłujecie poprawić stwórcę, który spartaczył niejedną duszę nieśmiertelną...

Wstał z łóżka, przeszedł się po pokoju i chrząknął dźwięcznie kilka razy, jakby stroił głos.

— I cóż ja wam, słuchawki łaskacze, mogę jeszcze zademonstrować? — spytał stając na środku z rękami skrzyżowanymi na piersiach. Potem jego twarz powlokła się światłem. — Nadchodzi — szepnął. Stał nieco pochylony, tak intensywnie patrząc wyżej nich, że, wciągnięci w krąg dziwnego czekania, znieruchomieli. Gdy naprężenie stało się nieznośne, poeta zaczął mówić:

A na grobie mym buńczuk rozwiany zawieście  
Glist pierścienno-perłowych. Ich ruch robaczkowy  
Będzie grał w mojej czaszce, jak w skrwawionym mieście  
Biały balet ptomain — dalszy ciąg tej mowy.

Potem skłonił się i odwrócił ku oknu, jakby ich nie spostrzegał.

— Prosiłem cię... — zaczął Staszek, zaledwie wyszli.

— Przecież ja nic...

— Prowokowałeś go. Trzeba było gadać z tłumikiem, a ty od razu na cały regulator. Więcej ci szło o to, żeby mieć rację, niż żeby go wysłuchać.

— Podobał ci się ten wiersz?

— Wiesz, mimo wszystko — tak. Diabeł wie, ile nienormalności siedzi czasem w geniuszu i na odwrot.

— No wiesz, Sekułowksi geniusz! — rzekł Stefan tak dotknięty, jakby w grę wchodził sam.

— Dam ci jego książkę. Na pewno nie czytałeś „Krwi bez twarzy”?

— Nie.

— Będziesz zwyciężony!

Z tymi słowami Staszek pożegnał się z Trzynieckim, który spostrzegł, że stoi przed swym pokojem. Wszedł, żeby poszukać w szufladzie piramidonu. Skronie pękały mu od ołowianego ucisku.

W czasie przedwieczornej wizyty Stefan daremnie próbował umknąć przed ową zwiędłą blondynką. Dopadła go. Wziął ją więc do gabinetu Nosilewskiej.

— Panie doktorze, powiem wszystko od początku — trzepała, nerwowo splatając chude palce. — Złapali mnie na przewożeniu słoniny. Więc udawałam, że jestem wariatka, bo się bałam, że zamkną mnie do obozu. Ale tu gorzej jak w obozie. Ja się boję tych wariatów.

— Jak się pani nazywa?

— Jaka jest różnica między księdzem a zakonnikiem?

— Do czego służy okno?

— Co się robi w kościele?

Po serii pytań okazało się, że kobiecina rzeczywiście jest wcale normalna.

— A jak pani udawała?

— No... mam szwagierkę, co jest u Jana Bożego, to widziałam, słyszałam niejedno... że niby gadam, do kogoś, kogo nie ma, a ja go niby widzę i takie tam i hece.

— Co ja mam z panią zrobić?

— Niech mnie pan stąd wypuści — złożyła ręce.

— To nie idzie tak prosto, moja pani. Musi pani być jakiś czas na obserwacji.

— A długo, panie doktorze? Oj, po co mi to było.

— W obozie nie byłoby lepiej.

— Ale ja nie mogę być z tą, co robi pod siebie, panie doktorze, ja pana błagam. Mój mąż będzie się umiał odwdziaczyć.

— No no, tylko bez tego — rzekł z zawodowym oburzeniem Stefan. Już odnajdywał właściwy ton. — Przeniesie się panią na drugą salę, tam są spokojne. Niech pani już idzie.

— Oj, już mi wszystko jedno. Kwiczą, śpiewają, oczy przewracają, po prostu się boję, żebym sama nie sfiksowała.

W ciągu paru następnych dni Stefan nauczył się pisać historie choroby „na niewidzianego”, przy pomocy paru oklepanych zwrotów, gdyż tak robili prawie wszyscy. Najszybciej zorientował się w mentalności doktora Rygiera: psychiatra był człowiekiem niewątpliwie wykształconym, ale inteligencję miał jak ogródek japoński — niby mostki, dróżki, wszystko piękne, ale bardzo ograniczone i do niczego. Rozumował koleinami. Elementy jego wiadomości tak były ze sobą scementowane, że używał ich w sposób wyłącznie podręcznikowy.

Po tygodniu oddział nie sprawiał już na Stefanie tak przykrego wrażenia. — W gruncie rzeczy biedne kobiety — myślał, choć niektóre, zwłaszcza maniaczki, chwaliły sobie obcowanie ze świętymi nie tylko w myśl dogmatów.

W niedzielę przypadły imieniny Pajaczkowskiego, który zjawił się w świeżo wyprasowanym płaszczu, z dokładnie na mokro rozczesanymi sopelkami swojej rzadkiej bródki. Mrugał potakująco za okularami jak stary ptaszek, gdy schizofreniczka z oddziału ozdowieńców deklamowała wierszyk. Potem jedna alkoholiczka śpiewała, a na koniec był chór psychopatów, ale nagle rozłamano program uroczystości: wszyscy rzucili się na staruszka, który zaczął wlatywać z chmury rąk pod sufit. Zrobił się wrzask, sapanie, znalazła się nawet kobieta-czajnik, prawie jak u Poego. Z trudem wyrwano staruszka z rąk chorych. Orszak lekarzy uformowany nieco na podobieństwo klasztorne — z przodu opat, za nim braciszkanie — udał się następnie na sale męskie, gdzie hipochondryk wmawiający w siebie raka zadeklamował, ale przerwało mu trzech paralityków, którzy zaczęli chórem śpiewać „Zmarł biedaczysko w szpitalu wojskowym” i nie dali się w żaden sposób powstrzymać. Potem była skromna uczta pod dachem budynku lekarskiego, na zakończenie zaś Pajdak spróbował wygłosić mowę patriotyczną, ale mu nie wyszła. Malutki staruszek z przeczącą

drygawką rozłzawił się nad swoim kieliszkiem, rozlał kminkówkę na stół i wreszcie usiadł ku powszechnemu zadowoleniu.

## DOCTOR ANGELICUS

Szpital przenikały sieci intryg. Rozpinane dyskretnie, oczekiwały tylko niezręcznego kroku debiutanta. Ktoś usiłował wygryźć Pajączkowskiego, rozpuszczał plotki o rychłej zmianie kierownika, radował się każdym potknięciem w pracy, ale Stefan, jak przed szybą akwarium wpatrzony w krajobrazy karłowatych psychik, zbyt był pochłonięty widowiskiem, aby śledzić te sprawy ludzkie.

Odczuwał pociąg do towarzystwa Sekułowskiego. Rozstawali się zadowoleni z siebie, choć Stefana drażniło, że poeta tak doskonale czuje się ze swoją koncepcją otchłani upiorów, na którą jest skazany, a Sekułowski traktował go tylko jako partnera do „sparringu”, uważając, że jego własny umysł jest absolutnym miernikiem wszechrzeczy.

Przyszły pierwsze wieści o warszawskich łapankach, pogłoski o rychłym utworzeniu gett, lecz, przefiltrowane przez mury szpitalne, jakoś mgliste były, i nieprawdopodobne. Wielu eks-żołnierzy kampanii wrześnieowej, którzy postradali równowagę duchową w czasie działań wojennych, opuszczało zakład. Dzięki temu zrobiło się luźniej; do tej pory na niektórych oddziałach chorzy spali po dwóch i trzech w jednym łóżku.

Wzmagaly się natomiast trudności aprowizacyjne, rósł głód lekarstw. Po długim namyśle Pajpak sporządził i wydał instrukcję, nakazującą jak najdalej posuniętą oszczędność. Skopolamina, morfina, barbituraty, nawet brom znalazły się pod kluczem. Insulinę, przeznaczoną na szoki, zastępowano kardiazolem, a resztki jej wydawano skąpo i z rozwagą. Statystyka zakładowa zachwiała się; z jej cyfr oscylujących jeszcze się nie wyłoniło odmienne oblicze społeczności obłąkanych; niektóre kolumny rubryk topniały, inne wahały się lub stawały, był to okres niezdecydowania.

Kwiecień przybierał z dnia na dzień. Zmieniały się kolejno dni opryskane jasnym deszczem i zielenią, i pełne śniegowej szarugi, niby zapożyczone z grudnia. W niedzielę Stefan wstał wcześniej, zbudzony natarczywym słońcem, które przez zamknięte powieki zabarwiło jego sen mroczną purpurą. Wyjrzał przez okno. Roztaczał się widok, jakby wielki malarz kreślił szerokimi pędzlami szkice tego samego obrazu, a każdy następny szkic wzbogacał nową farbą i nowym szczegółem. W długie kotliny między pagórami, spokojnymi jak grzbiety śpiących zwierząt, wpływała wełnista mgła; czarne krechy gałęzi roztopiały się w jej przyborze. Tu i ówdzie, jakby pędzel potknął się w ruchu, ciemniały za mgłą nieregularne, kanciaste plamy. Potem w biel przesączyło się z góry nieco złota; nastąpił niepokój, potworzyły się perłowe wiry, aż tuman rozciągnął się po horyzont, ścięczał, opadł, a z pękających chmur łysnął dzień, lśniący jak nagi owoc kasztanu.

Stefan wyszedł ze szpitala na przechadzkę. Rychło opuścił drogę. Zieleń pokryła każdy skrawek gruntu, burzyła się w rowach, wytryskiwała spod kamieni, rozklejały się pąki, delikatne seledynowe chmurki okrywały dalekie drzewa. Przemierzył na przełaj zbocze oddane na szeroki ciepły wiatr, minął jego czub szeleszczący zeszlą, zeszlóroczną trawą. Wokół biegły kręgami pola jak przybrudzony pasiak łowicki. Na wszystkich źdźbłach świeciły krople wody, błękitne i białe, ze schowanymi we wnętrzu okruszynami obrazków świata. Daleki las, skosem leżący pod horyzontem, wyglądał jak rzeźbiony w podwodnym srebrze. Na stoku niżej stały trzy drzewa zanurzone do połowy w nieboskłon, brunatne gwiazdozbiory lepkich pąków. Skierował się w tę stronę. W dół schodził masyw krzaków; mijając go usłyszał zdyszany oddech.

Zbliżył się do pogmatwanych gałęzi. Wewnątrz krzaków klęczał Sekułowski i śmiał się ledwo słyszalnie, ale tak, że Stefanowi ciarki poszły po plecach. Nie oglądając się poeta powiedział:

— Chodź pan tu, doktorze...

Stefan odgarnął gałęzie. Była tam kolistą przestrzeń. Sekułowski patrzył na kopczyk,

wokół którego pulsowały, przewijając się między rudawymi źdźbłami, nikłe pasemka mrówek.

Stefan stał milcząc, a Sekułowski pociągnął po nim pełnym zastanowienia spojrzeniem i podnosząc się z klęcezek zauważył:

— To tylko model...

Wziął Stefana pod rękę. Wyszli na wolną przestrzeń. Szpital szarzał stąd mały i niski. Jak pąsowy klocek, przez pomyłkę rzucony w budowę dziecka, świecił pawilon operacyjny. Sekułowski przysiadł na trawie i bazgrał pospiesznie w notesie.

— Lubi pan obserwować mrówki? — spytał Stefan.

— Nie lubię, ale muszę czasem. Gdyby nie my, owady byłyby najprzeróżliwszym tworem przyrody. Bo życie jest zaprzeczeniem mechanizmu, a mechanizm — życia, owady zaś — to ożywione mechanizmy, kpina, szyderstwo natury... Muszki, liszki, żuczki... a tu drzeć by przed tym! Groza, groza na wysokościach...

Pochylił głowę i pisał dalej. Stefan zajął mu przez ramię i odczytał ostatnie słowa: „... świat — walka Boga z nicością”. Spytał poetę, czy z tego będzie wiersz.

— Cóż mogę wiedzieć?

— A kto?

— I pan chce być psychiatrą, psychologiem?

— Poezja zajmuje postawę wobec dwu światów: widzialnego i przeżywanego — zaczął wahając się Stefan. — Mickiewicz, kiedy mówił „nasz naród jak lawa...”

— Nie jesteśmy w klasie, daj pan spokój — przerwał mu Sekułowski mrugając. — Mickiewiczowi było wolno, bo romantyk, a nasz naród jest jak placek krowi: z wierzchu suchy i plugawy, a w środku wiadomo. Zresztą nie tylko nasz. A o zajmowaniu postawy proszę przy mnie nie mówić, bo mi się niedobrze robi.

Długą chwilę wodził wzrokiem po słonecznej okolicy.

— Co to jest — wiersz? Odetchnął ciężko.

— Wiersz ukazuje mi się jak kawałki polichromii spod odłupanego tynku: pojedynczymi, błyszczącymi fragmentami. Między nimi zieje pustka. Potem usiłuję łączyć te łuki rąk i horyzontów, spojrzenia i rzeczy na ich uwięzi... Tak jest w dzień. W nocy — bo czasem zdarza się to w nocy — to są jakby wijące się dzwona, które zrastają się same w całość. Najtrudniej wywieść je przez obudzenie na jawę.

— Ten wiersz, który pan mówił za naszym pierwszym spotkaniem, jest dzienny czy nocny?

— Raczej dzienny.

Stefan próbował go pochwalić, lecz dostał ostrą odprawę.

— Nonsens. Pan nie wie, co to mogło być. Co pan w ogóle może wiedzieć o wierszach? Pisanie to przeklęty mus. Jeżeli ktoś, stojąc przy agonii najdroższej osoby, wychwytuje mimo woli z jej ostatnich drgawek wszystko, co da się opisać — to jest prawdziwy pisarz. Filister zaraz krzyczy „podłość”. Nie podłość, panie, tylko męka. To nie jest zawód, tego się nie wybiera jak posady biurowej. Spokój mogą mieć tylko ci pisarze, którzy nic nie piszą. A są tacy. Pławią się w oceanie możliwości, rozumie pan? Żeby wyrazić myśl, trzeba ją pierwiej ograniczyć, a to znaczy zabić. Każde wypowiedziane słowo obrabowuje mnie z tysiąca innych, każda strofa to góra rezygnacji. Muszę stwarzać sztuczną pewność. Kiedy odpadają te płaty tynku, czuję, że głębiej, tam, za złotymi fragmentami toczy się niewypowiedziana otchłań. Ona jest tam, jest na pewno, ale każda próba dokopania się kończy się fiaskiem. I mój lęk... Zamilkł i odetchnął.

— Za każdym razem zdaje mi się, że to ostatnie słowo. Że nie będę mógł dalej... Pan oczywiście nie rozumie. Nie może pan rozumieć. Strach, że to ostatnie słowo, jak mam to wyjaśnić? Przecież to wywala się ze mnie jak w czas powodzi woda spod progu drzwi. Nie wiem, co jest za nimi. Nie wiem, czy to nie ostatnia fala. Nie panuję nad siłą źródeł. One są

tak bardzo we mnie, że poza mną. I pan chce, żebym ja „zajmował postawę”... Jestem zawsze skrępowany w sobie. Wolny mogę być tylko w ludziach, o których piszę, a i to jest złudzenie.

Dla kogo mam pisać? Minał jaskiniowiec, który żarł gorące mózgi z czaszek bliźnich, a ich krwią rysował w pieczarach dzieła sztuki, którym nic jeszcze nie dorównało. Minał czas renesansu, genialnych uniwersalistów i stosów ze skwierczącymi heretykami. Minały hordy ujeżdżające oceany i wiatr. Zbliża się epoka skoszarowanych karłów, muzyki w konserwach, hełmów, spod których nie można patrzeć w gwiazdy. Potem, mówią, ma przyjść równość i braterstwo. Dlaczego równość, dlaczego wolność? Kiedy brak równości stwarza wizjonerskie sceny i pożar rozpacz, kiedy groza może wycisnąć z człowieka coś, co warto jest więcej od wyczesanego dosytu. Ja nie chcę rezygnować z tej kolosalnej różnicy napięć. Gdyby to ode mnie zależało, zostałyby i pałace, i rudery, i warownie!

— Opowiadano mi — rzekł Stefan — o księciu rosyjskim, który miał bardzo rzewną duszę. Z okien jego pałacu na wysokim wzgórzu nad wsią malował się przepiękny widok. Jedynie kilka najbliższych, słońca krytych chałup psuło mu kolorystycznie całość. Kazał więc je spalić: plamy zwęglonych krokwi były właściwym, szukanym akcentem. Obraz stał się smaczny.

— Na to mnie pan nie weźmie — rzekł Sekułowki. — Pracujemy dla mas, co? Ja nie jestem Mefisto, panie doktorze, ale lubię każdą rzecz przemyśleć do końca. Filantropia? Na dobroczynność skazane są dyplomowane dziewice o wysychających hormonach, a jeżeli chodzi o teorie rewolucyjne, nędzarze nie mają czasu na takie rzeczy. Tym się zawsze zajmowali renegaci pasibrzuchów. Ludziom jest zresztą zawsze źle. Kto szuka spokoju, ciszy, łagodności, znajdzie to wszystko na cmentarzu, ale nie w życiu. Zresztą po co abstrakcja? Ja sam wyrosłem z nędzy, której pan sobie nie wyobrazi, doktorze. Wie pan, że pierwszą posadę dostałem mając trzy miesiące? Matka wypożyczała mnie żebracze, bo kobieta z dzieckiem dostaje większą jałmużnę. Mając osiem lat, kręciłem się wieczorami przed wyjściem z lokalu nocnego i wybierałem sobie w wykwintnym tłumie najpiękniejszą parę. Szedłem za nią krok w krok i plułem na te foki, bobry, piżmaki, opluwałem ze wszech sił futra pachnące perfumami i kobietą, aż mi w gębie zasychało... A to, do czego doszedłem, wywalczyłem sobie sam. Kto ma rzeczywiste zdolności, wybije się zawsze.

— A reszta ma być mierzwą dla geniusza? Stefan myślał czasem podobnie i było to, jakby dyskutował z samym sobą.

Zapomniał o ostrożności: poeta, podrażniony, umiał być ordynarny.

— Ach, tak... — Sekułowki oparł się łokciami o trawę i patrząc w płomienne chmury, zaśmiał się wzgardliwie.

— To pan woli być mierzwą dla przyszłych pokoleń? Kłaść kości pod szklane domy? Doktorze, daj pan spokój: najbardziej ze wszystkiego nie znoszę nudy.

Stefan uczył się dotknięty.

— A więc na przykład masowe łapanki w Warszawie, wywóz ludzi do Niemiec nic pana nie obchodzą? Czy zamierza pan wrócić tam po opuszczeniu nas?

— Dlaczego łapanki mają mnie obchodzić bardziej niż najazd Tatarów w XIII wieku? Z powodu przypadkowej zbieżności w czasie?

— Niech się pan nie spiera z historią — ona zawsze ma rację. Pan chyba nie zamierza uprawiać strusiej polityki?

— Historia wygrywa: to prawo silniejszego — rzekł poeta — pewno, że będąc dla siebie światem, w lawinie wypadków jestem pyłkiem. Ale nic nigdy nie zmusi mnie — do tego, bym rozumował jak pyłek!

— A czy pan wie, że Niemcy głoszą dziś tezę likwidacji wszystkich chorych umysłowo?

— Wariatów jest, zdaje się, koło dwudziestu milionów na świecie. Trzeba rzucić hasło zjednoczenia: będzie święta wojna — rzekł Sekułowki i położył się na wznak. Słońce grzało coraz mocniej. Widząc, że poeta umyka, Stefan spróbował go przygwoździć.

— Nie rozumiem pana. W naszej pierwszej rozmowie mówił pan o sztuce umierania. Sekułowski najwyraźniej tracił humor.

— Gdzież tu sprzeczność? Nie obchodzi mnie niepodległość państwa. Ważna jest niepodległość wewnętrzna.

— Więc pan uważa, że ‘los innych ludzi nic... Sekułowski zerwał się z drgającą twarzą.

— Ty bydlaku — zawołał — ty chamie!

Pognał wielkimi krokami na dół. Stefan, zmieszany w najwyższym stopniu, czując bijące na twarz rumieńce pobiegł za nim. Poeta wyrwał mu się i wrzasnął:

— Błazen!

Gdy już dochodzili do sanatorium, Sekułowski uspokoił się i patrząc na mur zauważył:

— Jest pan, doktorze, źle wychowany, powiedziałbym: ordynarny, starając się w rozmowie nieustannie mnie dotknąć.

Stefan, wściekły, udął lekarza wybaczącego wybryk choremu.

Po trzech tygodniach Trzyniecki przeniósł się na oddział Kautersa. Przed rozpoczęciem pracy złożył nowemu przełożonemu wizytę. Otworzył mu chirurg w zbyt przestronnej, granatowej bonzurce ze srebrnymi naszywkami. Stefan przeprosił go i niósł jeszcze swoje przemówienie przez ciemny przedpokój do mieszkania, gdzie umilkł, osłupiały.

Pierwsze było wrażenie brązu przełamanego czernią i drgającym fioletem. Z sufitu zwieszały się jakby różańce wyschłych, blado zabarwionych łusek, podłogę zaścielała czarno-pomarańczowa smyrna w wypełzłe gondole? płomienie? salamandry? Ściany znikwały pod sztychami, obrazami w czarnych ramach i wąskimi jak kapliczki szafkami, tęczującymi szkłem, o nóżkach z rogów bawolich. Z najbliższej ściany, jak nóż z pochwy, wysuwał się wyszczerzony żółtymi kłami pysk krokodyla, rzębyś: zdrewniała, drapieżna roślina. Stół bardzo niski, kryty dziewięciokątną płytą szlifowanego szkła, pod nią intarsja bursztynowych i brunatnych, nigdzie nie istniejących kwiatów. Po obu stronach drzwi wznosiły się szafy biblioteczne, pełne książek niedbale rzuconych na półki, dzieł w skórą oprawnych, omszałych starością wydań o złoconych brzeżkach kart. Ogromne atlanty, szare albumy, krwiste i papuzie grzbiety wyzierały pomieszane z bibelotów, zajmujących przednie brzegi półek.

Kauters usadził gościa, którego wzrok mimowiednie błędził wśród japońskich drzeworytów, staro-indyjskich figurek i świecących cacek z porcelany, powiedział, że się cieszy i prosił, by Stefan opowiedział mu coś o sobie: powinni się poznać. Na tym pustkowiu trudno o kogoś inteligentnego. Czy chce się specjalizować?

Stefan odpowiedział półgębkiem, z przyjemnością dotykając sutych frędzli surowego jedwabiu, który osłaniał poręcz fotela, aerodynamicznego kolosa, opiętego chrzęszczącą skórą. Zaczynał się powoli orientować: przyokienna część pokoju służyła najwidoczniej za pracownię. Nad ogromnym biurkiem wisiały reprodukcje i maski gipsowe. Niektóre znał. Była tam ikonografia krety: na ślimaczo wiotkim ciałku głowa bez szyi, o żabio rozkrojonych oczach i ustach wpółotwartych, wypełnionych glistowatym językiem. Za szkłem ciemniało kilka obrzydłych twarzy Leonarda da Vinci: jedna, o brodzie wywiniętej do przodu jak czub starego chodaka, z oczodołami na kształt pomarszczonych gniazdek, patrzyła na niego. Były tam czaszki o deformacji spiralnej i stwory Goi o uszach niczym stulone skrzydełka nietoperzy, ze skośnie zaciętymi szczękami. Między oknami wisiała wielka maska gipsowa z kościoła Santa Maria Formosa: prawa połowa twarzy należała do plugawo uśmiechniętego opoja, lewą wybrzuszała puchlina, w której pływało rozdęte oko i rzadkie, łopatkowate zęby.

Widząc zainteresowanie Stefana, Kauters zaczął mu z przyjemnością pokazywać to i owo. Okazał się namiętym zbieraczem. Miał olbrzymi album sztychów Meuniera, ilustrujących dawne sposoby leczenia obłąkanych: wirowanie w wielkich drewnianych bębnach, kajdany o wymyślnie torturujących kolcach, doły z grzechotnikami, w których pobyt miał oddziaływać

uzdrawiająco na przyćmione umysły, gruszki żelazne, wsadzone do ust i spinane łańcuszkiem na potylicy, by chory nie mógł krzyknąć.

Wracając od biurka do fotela, Stefan zauważył na wierzchu szaf szereg wysokich słoików. Mętniały w nich kształty fioletowe i szarosine.

— Ach, to moja kolekcja — rzekł Kauters wskazując po kolei czarną trzcinką — to jest oephalotho-racopagus, dalej craniopagus parietalis, bardzo ładny okaz potworniaka, i jeden bardzo rzadki epigastrius. Ostatni płód to prześliczny diprosopus, któremu z podniebienia wyrasta coś w rodzaju nogi — niestety, trochę się uszkodził przy porodzie. Jest i kilka mniej interesujących...

Przeprosił i uchylił drzwi. Dobiegł stamtąd delikatny dźwięk porcelany i weszła pani Kauters niosąc czarną łąkową tacę, na której dymił paşowy ze srebrnymi obwódkami serwis. Stefan zdumiał się znowu.

Pani Amelia miała miękkie, duże usta i twarde oczy, podobne nieco do mężowskich. Uśmiechając się ukazywała zęby wypukłe i odrobinę matowe. Trudno ją było nazwać ładną, ale przyciągała wzrok. Czarne włosy splatała niżej uszu w ciężkie bisiory chwiejące się przy każdym ruchu, a wiedząc, że ma piękne ramiona, nosiła bluzkę z krótkimi rękawami, spiętą w dekolcie trójkątnym ametystem.

— Podobają się panu nasze figurki? — mówił chirurg podsuwając Stefanowi rzeźbioną w kształcie łodzi wikingów cukiernicę. — No cóż, człowiek, który zrezygnował z tak wielu rzeczy jak my, ma prawo do oryginalności.

— Mamy miękko wyścielone gniazdko — powiedziała patii Amelia i dotknęła końcami palców puszystego kota, który wspinał się bezszelestnie na fotel. Linia jej uda, pełna i powolna, gubiła się w czarnej spirali sukni.

Stefan już się nie dziwił, ale chłonał. Kawa była wyborna, od lat nie pił tak wonnej. Fragmenty urzędnika sąsiadowały o krok z pomysłem reżysera hollywoodzkiego, który chce ukazać „salon księcia węgierskiego”, nie wiedząc, co to Węgry. Drzwi mieszkania Kautersa uciwały jak nożem rozpościerającą się wszędzie atmosferę szpitalnych ścian, wymytej do połysku bieli kafla i kaloryferów.

Wpatrując się w żółtawą twarz chirurga, w której jak niecierpliwe motyle trzepotały za szklami powieki, Stefan pomyślał, że ten pokój jest jakby wnętrzem wyobraźni Kautersa. Pomyślał to w chwili, gdy rozmowa potrafiła o Sekułowskiego.

— Sekułowski? — chirurg wzruszył ramionami. — Jaki Sekułowski? On się nazywa Sekuła.

— Zmienił nazwisko?

— Nie, po co? Przybrał pseudonim, jak była ta historia, no, z tą książką — zwrócił się do żony. Pani Amelia uśmiechnęła się.

— „Rozważania państwotwórcze”. O, pan doktor nie czytał? Doprawdy? Nie, nie mamy tego. To było takie głośne... Co tam było? No... taki ogólny... takie rozważania. Niby o wszystkim, ale najwięcej o komunizmie. Lewica się na niego rzuciła... to mu zrobiło wielką reklamę. Zaczął wszędzie bywać.

Stefan, pochyliwszy głowę, wpatrywał się we własne paznokcie.

Nagle pani Amelia połapała się.

— Sama tego nie pamiętam, skąd. Byłam dzieckiem. Tak tylko później słyszałam. Lubiłam jego poezję.

Pokazała Stefanowi tomik wierszy. Strąciła przy tym z półki drugą książkę, cieniutką, w bardzo giętkiej, jasnej oprawie. Stefan skoczył z pomocą. Kiedy podniósł tomik, Kauters wskazał nań palcem.

— Ładna oprawa, prawda? Rzadkość — rzekł. — Skórka wewnętrznej powierzchni ud kobiecych.

Gdy Stefan cofnął rękę gwałtowniej, niżby należało, chirurg odebrał mu tomik.



— Dziwak mój mąż — powiedziała pani Amelia — ale to mięcusięńkie: niech pan dotknie.

Stefan bąknął coś i wrócił spocony na fotel. Pomyślał, że to nagromadzenie dziwności jest jakby parafrazą stanów ludzkich, zamkniętych w pawilonach. Niby mutacje kwiatów trzymany w niezwykłych warunkach, w człowieku, nie rosnącym na grządce zwykłej miejskiej kamienicy, pączkuje niezwykłość. Ale potem poprawił się: może właśnie dlatego, że odmienny, uniknął Kauters miasta i stworzył to mroczne, fioletowe wnętrze.

Pani Amelia rozmawiając (głos miała niski) delikatnie podnosiła dużą rękę do twarzy i gibkim, ukradkowym ruchem dotykała kąta oka lub ust, jakby tego nie widząc.

Już przy pożegnaniu zauważył Stefan stojące za małym parawanikiem akwarium, szklaną banię, grającą wtopioną w szkło tęczę. Na powierzchni wody pływała mała złota rybka zielonkawym brzuszkiem do góry, najoczywiściej martwa. Obraz ten wyniósł pod powiekami, czując się jak po ciężkiej pracy umysłowej. Zrazu nie chciał pójść na kolację, ale bał się, że to dopiero zwróci uwagę, więc się przymusił. Nosilewska była przy stole taka jak zawsze: troszkę senna, grzeczna, z rzadko zjawiającym się tym cenniejszym uśmiechem. Staszek pożerał ją oczami; głupiec — myślał, że nikt tego nie dostrzega.

W nocy Stefan męczył się do późna, wreszcie wziął luminal. Śniła mu się potem pani Kauters niosąca w koszu śnięte ryby. Podawała je stojącym lekarzom. Gdy podeszła do niego, zbudził się z tłukącym sercem i nie zasnął do rana.

Sekułowski wcale nie był obrażony: prosił przez Staszka, żeby Trzyniecki zajrzał do niego przed południem. Stefan poszedł zaraz po śniadaniu. Traktował poetę inaczej niż na początku: nie poklepywał, nie uważał za niższego. Próbował go jeszcze czasem osądzać, krytykował jego pomysły, ale potrzebował ich jak oparcia. Pisarz siedział przy oknie nad dużą fotografią, przedstawiającą salę wypełnioną swobodnie rozprawiającymi ludźmi. ‘

— Niech pan spojrzy na twarze — powiedział — i na te typowo amerykańskie gęby. Jakie to wszystko zadowolone z siebie, jakie to rozdzielone między obiad, kolację, łóżko i subway. Ani chwili na metafizykę, na zrozumienie okrucieństwa Pieczy. Doprawdy, stary kraj jest widać szczególnie predestynowany: musimy wiecznie wybierać między mniej i bardziej honorowymi rodzajami mąk.

Stefan opowiedział o wizycie u Kautersa. Zdawał sobie sprawę z tego, że wykracza przeciw niepisanyemu prawom szpitalnym mówiąc z Sekułowskim o koledze, ale usprawiedliwił się w duchu: oni obaj są ponad tym. To, co Kauters mówił o Sekułowskim, zostało oczywiście przemilczane.

— Niech pan nie plecie — rzekł dobrodusznie poeta. — Co za brzydota? W sztuce może być coś dobrze zrobione albo źle, nic więcej. Van Gogh namaluje panu stary nocnik tak, że tylko klękać. Tymczasem partacz z najpiękniejszej kobiety zrobi kicz. O co chodzi? Żeby to człowieka trochę wybebeszyło. Odblask świata, utrwalone przemijanie, katharsis i kropka.

Stefan zauważył, że to jednak przesada — żyć w takim muzeum.

— Pan to lekceważy? Niesłusznie. Może mi pan zamknie okno? — poprosił.

W mocnym świetle wyglądał szczególnie blade. Wiatr niósł ze dworu natarczywą woń kwitnącej magnolii.

— Niech pan pamięta — ciągnął Sekułowski — że wszystko jest we wszystkim. Najdalsze gwiazdy wpływają na obwolutę kielicha kwiatowego. W rosie dzisiejszego poranka jest wczorajszy obłok. Wszystko splata wszechobecna zależność. Żadna rzecz nie może wyjść spod władzy innych. A tym bardziej rzecz myśląca, człowiek Kamienie i twarze odbijają się w pańskim śnie. Zapachy kwiatów zakrzywiają drogą naszych myśli. Dlaczego więc nie modelować dowolnie tego, co kształtowane jest przypadkowo? Otczając się tymi zabawkami i sztuczkami ze złota i kości słoniowej, jakbyśmy włączyli akumulator. Posążek wielkości palca — to odlew fantazji artysty, która destylowała się w całych latach. I oto setki godzin nie stracone: można się przy nich ogrzać... Zatrzymał się i dodał ze westchnieniem:

— „A niekiedy wystarczy mi patrzeć na kamień”... To nie ja — zauważył — to Chang Kiti-Lin. Wielki poeta.

— Dawny?

— Ósmy wiek.

— Powiedział pan „rzecz myśląca” — rzeki Stefan. — Pan jest materialistą, prawda?

— Czy jestem materialistą? O, magio klasyfikatorska! Uważam, że człowiek i świat zrobieni są z tej samej substancji, choć nie wiem, czym ona jest — poza granicą słów. Ale to są dwa wspierające się łuki. Żaden nie może istnieć samodzielnie. Powie pan, że po naszej śmierci ten stół będzie istniał dalej. Ale dla kogo? Bo dla muchy nie będzie to przecież „nasz stół”. „Byt w ogóle” nie istnieje, bo od razu przedmiot rozpada się: stół „istnieje bezludnie” jako co? Jako politurowana decha na czterech kołkach? Jako kupą zmumifikowanych komórek drewna? Jako chaos chemicznych łańcuszków celulozy czy wreszcie jako wirowisko mgielek elektronowych? Tak więc zawsze jest coś dla kogoś. Oto drzewo za oknem jest i dla mnie, i dla mikroba, który żywi się jego sokami. Dla mnie — to szumiąca cząstka lasu, gałęzie na tle nieba, dla niego zaś jeden liść — to zielony ocean, a gałąź — cały wszechświat — wyspa. Czy my — ja i mikroba — mamy jakieś wspólne drzewo? Nonsens. Więc dlaczego wybrać właśnie nasz punkt widzenia, a nie mikroba?

— Bo nie jesteśmy mikrobami — rzekł Stefan.

— Na razie nie jesteśmy, ale będziemy. Rozmienimy się na stadia bakterii azotowych w ziemi, wstąpimy w korzenie drzew, zwiążemy się w jabłuszka, które będzie ktoś jadł, filozofując jak my teraz i ciesząc oko zaróżowionymi obłokami, w których będzie woda naszych ciał. Tak w koło. Liczba permutacji jest nieskończona.

I zadowolony Sekułowski zapalił papierosa.

— Więc jest pan ateistą.

— Tak, ale mimo to posiadam kapliczkę. — Kapliczkę?

— Czytał pan może „Litanię do mego ciała”? Stefan istotnie przypomniał sobie ten hymn do płuc, wątroby i nerek.

— Oryginalne bóstwa...

— No, to wiersz. Rozgraniczam moje poglądy filozoficzne od twórczości i nie dam się nikomu sadić po rzeczach już napisanych — rzekł z nagłym zacięciem Sekułowski i rzuciwszy papierosa pud stół, ciągnął:

— Czasem modłę się jednak. Dawniej mówili »vi „Boże, którego nie ma”. Jakiś czas nieźle mi to brzmiało. Ale ostatnio... do Ślepych Sił.

— Jak pan mówi?

— Modłę się do Ślepych Sił. Bo właściwie to cne rządzą i ciałem naszym, i światem, i słowami, które wypowiadam w tej chwili. Ja wiem, że one modlitw nie słuchają — uśmiechnął się — ale... cóż to szkodzi?

Zbliżała się jedenasta. Stefan, chcąc nie chcąc, ruszył na codzienną wizytę. W ósmej separacie przebywał od kilku tygodni ksiądz Niezgłoba, niski, kościsty mężczyzna o rękach pokrytych gałązkami liliowych żył. Musiał kiedyś pracować fizycznie.

— Jak się ksiądz miewa? — zagadnął łagodnie Stefan wchodząc.

Księdzu w drodze przywileju pozostawiono sutannę, tworzącą nieregularną czarną plamę na białym tle szpitalnego pokoiku. Stefan chciał być delikatny, bo wiedział, że prowadzący oddział Marglewski w chwilach dobrego humoru nazywa księdza „ambasadorem królestwa niebieskiego” i traktuje go anegdotkami z życia dostojników Kościoła. Chudy doktor posiadał poważne wiadomości w tej dziedzinie.

— Męczy mnie to, panie doktorze.

Głos księdza był miły, może trochę zbyt miękki. Miał on halucynacje o niezmiennej treści: podpiwszy na jakichś chrzcinach, usłyszał głos kobiety przemawiający zza jego pleców. Daremnie się rozglądał: niewidzialny głos płynął z przestrzeni, której nie mógł doścignąć

wzrokiem.

— Ciągłe jeszcze ta perska księżniczka?

— Tak.

— Ale ksiądz zdaje sobie przecież sprawę z tego, że to tylko przywidzenie, halucynacja?

Ksiądz wzruszył ramionami. Oczy miał zapadnięte z bezsenności, ciemne powieki w drobniutkich żyłkach.

— Tak samo nierzeczywista może być moja rozmowa z panem doktorem, ten głos słyszę tak samo wyraźnie jak pański.

— No no, proszę się nie martwić, to minie. Ale alkoholu nie będzie mógł ksiądz wziąć do ust.

— Nigdy bym tego nie robił — rzekł skruszony ksiądz patrząc w podłogę — ale moi parafianie to niepoprawni ludziska.

Westchnął.

— Obrażają się, gniewają, a natarczywi tacy, że aby nie urazić...

— Mhm — Stefan machinalnie zbadał odruchy ścięgniaste i chowając młoteczek do kieszeni fartucha, spytał na odchodnym:

— A co ksiądz robi cały dzień? Nie cknij się tu księdzu? Może książki jakieś?

— Mam... książkę.

Istotnie, leżał przed nim pękaty tom w czarnej okładce.

— Tak? A co ksiądz czyta?

— Modłę się.

Stefan wspomniał nagle „Ślepe Siły” i stał chwilą przy drzwiach. Potem, może zbyt raptownie, wyszedł.

Na oddziale Nosilewskiej nie bywał już wcale. Indywidualne losy chorych, które przyciągały go początkowo — jak w dzieciństwie atlas anatomiczny stryja Ksawerego, pełen krwawych obrazków — stały mu się obojętne. Czasem zamienił parę słów ze starym Pajpakiem, czasem asystował mu z dobrej woli przy porannej wizycie.

Pracując u Kautersa zetknął się bliżej z jego siostrą oddziałową. Nazywała się Gonzaga. Gruba, wielospodnicowa, szerokokoścista, była pozornie groźna. Groźna tylko potencjalnie, bo nikt jej w gniewie nie widział. Działała na wyobraźnię ludzką jak strach wróbla na ptasiu. Policzki jej zbiegały się ku sieniej linijce ust suto marszczonymi fałdkami. W ogromnych rękach zawsze dzierżyła to klucze w skórzanym zapiętku, to książkę zleceń, to znowu pęk kompresów. Tacy ze strzykawką nie nosiła: od tego były sanitariuszki. Zdolna narzędziarka, milcząca i samotna, zdawała się nie posiadać wcale życia prywatnego. Do niej jednej Kauters odnosił się z respektem. Raz Stefan spostrzegł, jak składając obie dłonie na piersi, wysoki chirurg jakby się przed nią usprawiedliwiał poruszając nerwowo ramionami, przekonywał o czymś czy prosił. Siostra Gonzaga stała wielka, nieruchoma, z twarzą rozdzieloną cieniem odokiennym na dwie części, nie mrugając bezręcznymi oczami. Scena ta była tak niezwykła, że zapadła mu w pamięć. Nie wytłumaczyła jej żadna następna. Siostrę oddziałową można było zastać na korytarzach w dzień czy w nocy, sunącą równym, niewidzialnym przez spódnice krokiem, trochę jak księżyc, zwłaszcza z tyłu — rozjaśniała kornetem półmroczne galerie.

Stefan rozmawiał z nią tylko o przepisanych chorym zabiegach i lekarstwach. Raz, gdy wrócił właśnie od Sekułowskiego i szukał w szafce dyżurki jakiegoś słoiczka, siostra, zapisująca coś do księgi, rzekła nagle:

— Sekułowski jest gorszy niż wariat: on jest komediant.

— Za pozwoleniem — odwrócił się, zdumiony ta bezgramatyczną apostrofą — czy siostra mówi do mnie?

— Nie. Ja w ogóle — odparła i zesznurowała usta. Stefan nie ośmielił się oczywiście opowiedzieć tego incydentu, ale spytał poetę, czy zna siostrę Genzagę.

Sekułowski nie interesował się jednak personelem pomocniczym. O Kautersie jego sąd był

związły:

- Nie uważa pan, jaką on ma ornamentacyjną inteligencję?
- ?
- Taka płaska.

W kącie, utworzonym przez zbieg dwóch zewnętrznych murów, znajdował się zapuszczony jakby zapomniany, oplatany powojami, teraz jeszcze szkieletowato bezlistnymi, pawilon katatoników. Stefan chodził tam rzadko. Początkowo chciał oczyścić te stajnię Augiasza, ponure, niskookienne izby przytłoczone sinawym sufitem, w których stali, leżeli i klęczeli w zastygłych pozach chorzy, ale niebawem opuściły go te reformatorskie zapędy.

Obłąkani leżeli na siatkach bez materaców. Ich ciała, obrastające brudem, pokrywały się wrzodami. odpowiadającymi rysunkowi drutów i prętów podścieliska. Powietrze przenikał gryzący odór amoniaku i odchodów. Ten najniższy krąg piekła, jak raz powiedział Stefan, był rzadko odwiedzany i przez pielęgniarzy. Zdawało się, że jakieś nieznanne siły utrzymują przy życiu tych ludzi o zanikających zmysłach. Uwagę Stefana zwrócili dwaj młodzi chłopcy. Pierwszy, Żyd z małego miasteczka, o baloniastej głowie pokrytej suchym włosiem koloru marchwi, zawsze nagi, okryty kocem, który naciągał na głowę, ilekroć ktoś wchodził do jego klitki, siedział w kuczki na łóżku. Powtarzał jęklwym głosem dwa słowa w żargonie, bez zmęczenia, całymi dniami. Gdy się do niego zbliżało, podnosił głos do modlitewnej skargi i drżał. Niebieskie spojrzenie oparł raz na zawsze o żelazną ramę łóżka. Drugi, blondyn o żytnich włosach, chodził w przejściu między salą ogólną i pokojem Żyda, od narożnego łóżka do muru i z powrotem. Na tej golgocie ośmiu kroków uderzał zawsze ciałem o poręcz łóżka, ale tego nie spostrzegał. Powyżej biodra miał szerniałą, opuchłą ranę. Rękami skrzyżowanymi na piersi zakrywał twarz, ilekroć usłyszał obcego, ale nie przestawał chodzić. Wtedy też. wydawał słaby, dziecinny pojęk, dziwny w gardle mężczyzny, bo stawał się nim właśnie w tym czasie. Jego ciało, wyswobodzone spod władzy umysłu, wiodło zwierzęcy żywot i przez otwartą koszulę jaśniały łuki mięśni, kreujących smukłą posągowość torsu. Twarz jego blada jak mur, o który się obijał, z sinawymi gałkami oczu, zacięła się na wyrazie pytania czy prośby.

Stefan przyszedł tam raz w niezwykłej porze, po obiedzie, chcąc sprawdzić pewne przypuszczenie: podejrzewał, że sanitariuszka Ewa robi chłopcom coś niegodziwego, gdyż po jej ukazaniu się byli zawsze bardzo niespokojni. Żyd dygotał tak, aż drucianym rezonansem odpowiadało łóżko, a smukły chłopiec prawie biegiem mijał korytarzyk, uderzał biodrem o poręcz, cofał się skokiem i obijał się o mur.

Izby wypełniał półmrok mglistego, zapadającego zmierzchu. Wiatr pukał w szyby gałązkami powoju. Stefan zatrzymał się w korytarzyku: Nosilewska, stojąc przy łóżku Żyda, powoli zesunęła mu z głowy koc. który przez chwilę usiłowały na powrót zaciągnąć jego czerwone, grube palce, i ruchem nieskończenie lekkim i łagodnym gładziła jego szorstkie, twarde włosy. Twarz miała przy tym zwróconą w okno i zapatrzoną w wielkie dale, choć cztery kroki za szybą światło zasklepiął mur o nieregularnym rysunku pęknięć.

Spojrzał w bok: w smudze cienia dostrzegł drugiego katatonika, który, przerwawszy wieczną wędrówkę, stał przyciśnięty do framugi, zapatrzony w ciemną na tle okna sylwetkę kobiety. Trzyniecki chciał wejść tam, prosić o wyjaśnienie, pytać, ale cofnął się i odszedł, jak mógł najciszej.

## ADVOCATUS DIABOLI

Był maj. Płaskorzeźba lasów, dalekimi półksiężycami obchodzących wzgórze sanatoryjne, płonęła coraz ofiarniejszą zielenią. W głębi każdej nocy otwierały się nowe kwiaty, liście, wczoraj zwisające mokrymi, zwiniętymi skrzydełkami, wstawały do lotu. Brzozy już nie kolumnami łagodnego srebra, ale buszującym białym płomieniem podchodziły do okien. Sercowate listki topól naciągały słonecznym ciepłem, barwiąc się w jasnomiodowych odcieniach. Zwoje dalekiej drogi, rozsypane wśród wzgórz, omijały czarny i prosty krzyż, zagubiony w rozwianych horyzontach. Gdziekolwiek wydmy ukazywały swoje gliniaste wnętrza niby plastry miodu porzucone w radosnym pejzażu.

Kauters polecił Stefanowi zbadać inżyniera Rabiewskiego, którego przywieziono samochodem z pobliskiego miasteczka. Żona chorego opowiedziała o dziwnej przemianie męża w ciągu ostatnich miesięcy. Był on dobrym fachowcem, jednak od przybycia Niemców i zniszczenia przez bomby fabryki, w której dawniej pracował, zarabkował wykładając na kursach technicznych. Zrównoważony, flegmatyczny, świecący łysinką, łowił z zapalem ryby, zbierał książki i nie jadał mięsa. Znany był jako poczciwina, który muchy nie skrzywdzi. Od Nowego Roku cechowała go wzrastająca senność. Dochodziło do tego, że podrzemywał przy obiedzie, budząc się nagle jak chrząszczyk wytracony z martwoty. Stał się leniwy, nie chciał mu się chodzić na lekcje, a jednocześnie zmienił się do niepoznania w życiu domowym: o byle co wybuchał gniewem i równie raptownie cichł. Zасыпiał wtedy na parę godzin i budził się z szarpającym skronie bólem. Począł też dowcipkować w dziwny sposób: rozśmieszały go zdarzenia dla nikogo prócz niego nie śmieszne.

Pielęgniarski, zwany Józefem młodszym, wielkie chłopisko, zdolny chwytem zrogowaciałych dłoni złamać siłę każdej rozpacz, wprowadził go do pokoju badań. Otyły mężczyzna o łysej głowie, z wianuszkami szpakowatych włosów, w wiśniowym szlafroku szpitalnym, powoli dokuszył do krzesła, na które zwał się niezdarnie, aż mu szczęknęły zęby. Na pytania odpowiadał po długiej chwili, trzeba było powtarzać je kilkakrotnie i formułować najprościej. Nagle zauważył stojący na biurku stetoskop i zaczął cichutko chichotać.

Założywszy sumiennie historię choroby, Trzyniecki zabrał się do badania odruchów. Ułożył inżyniera na ceratowej kanapie. Dzień buchał słońcem, wszystkie nikłowe uchwyty w gabinecie siałły odłamkami tęczy. Gdy ostukiwał młoteczką ścięgna, zjawił się Kauters.

— No, jak tam, kolego? — był ożywiony i zamaszty. Przysłuchiwał się z zadowoleniem wywodom Stefana.

— To zastanawiające — powiedział. — Tak. Więc napiszemy sobie: *suspectio quoad tumorem*. Na razie. Zrobi się, powiedzmy, wziernikowanie dna oka. I punkcję. No i tego...

Wziął młotek i opukał chude nogi Rabiewskiego.

— Aha? co? A niech pan lewą piętą dotknie prawego kolana. Nie, nie tak. Wytłumaczcie mu, kolego — podszedł do okna. Stefan zaczął głośno wyjaśniać. Kauters wrócił mnąc w palcach liście, które zerwał z przytulonej do ramy okiennej gałązki. Wąchając chude, ścięgniaste dłonie, powiedział z zadowoleniem:

— Doskonale. Mamy więc i ataksję.

— Pan doktor myśli o cerebellarnej?

— Chyba nie. No, tak to się nie da stwierdzić. Ale te zaburzenia w myśleniu. Abulia. Zaraz zobaczymy. — Wyrwał z notesu kartkę, narysował od ręki koło i pokazał Rabiewskiemu.

— Co to jest?

— Taka część... — po dłuższym namyśle odparł inżynier. Głos miał obolały.

— Jaka część?

— Zwojnicy.

— No, proszę!

Stefan opowiedział o incydencie ze stetoskopem, Kauters zatarł ręce.

— Doskonale? Witzelsucht. Jak w książce, prawda? Jestem przekonany, że mamy tumorek w płacie czołowym. Oczywiście to się okaże. Proszę was, kolego, spisujcie dokładnie obserwacje.

Chory leżał na wznak na ceratowej kanapce, wlepiwszy w sufit trochę wytrzeszczone oczy. Przy głośnym oddechu wzdymała mu się warga i błyskały żółte, długie zęby.

Tego dnia Stefan dostał wieczorem gorączki z bólem głowy i łamaniem w kościach. Zażył dwie aspiryny, a Staszek, który wyjątkowo zajął do niego, przyniósł na dodatek ćwiartkę spirytusu: na pewno pomoże. Jednakże osłabienie, dreszcze i wieczorne gorączki utrzymywały się przez cztery dni. Na piąty dopiero wstał. Po śniadaniu poszedł zaraz do separatki Rabiewskiego, ciekawy, co się z nim dzieje. Został tu duże zmiany. Zwykle, niskie łóżko szpitalne ustąpiło specjalnemu, z górną i bocznymi siatkami sznurowymi. W utworzonej przez ich zesunięcie klatce, zaciśniętej do wysokości czterdziestu centymetrów, leżał jak w sieci inżynier, jakby napuchły na całym ciełe. Pochylony nad łóżkiem Kauters wpatrywał się w niego z ogromną uwagą, odchylając głowę w bok, gdyż uwieczony usiłował napluć mu w twarz i grube liny nad jego ustami ociekały białą pianą. Chirurg zdjął okulary i Stefan po raz pierwszy zobaczył jego oczy bez szkieł. Wypukłe, bez blasku, ciemne, podobne były do oglądanych przez lupę oczu owadu.

— Guz się rozrasta — szepnął na poły pytająco Stefan. Chirurg nie zwrócił na to uwagi. Cofnął się znowu, bo leżący zdołał zwrócić w jego kierunku głowę i bryzgał śliną. Charczał napinając mięśnie unieruchomionego ciała.

— Ucisk stref motorycznych — mruknął Kauters.

— Pan doktor myśli o operacji?

— Co...? Zrobimy dziś punkcję.

Pod wieczór mózg biczący ciało Rabiewskiego zdawał się dochodzić do szczytu podrażnienia. Mięśnie chorego kurczyły się i pędziły pod świecą potę skórą. Siatka łóżka grała jak instrument strunowy. Stefan przychodził dwa razy z zastrzykiem, ale dużo to nie pomogło: dopiero narkoza chloralowa na jakiś czas uspokoiła furiata. Budząc się z uśpienia inżynier po raz pierwszy od wielu godzin zareagował na światło i wymruczał chrapliwie:

— Wiem... to ja... ratujcie.

Stefan zadrzał. Po punkcji i odpuszczeniu płynu mózgowo-rdzeniowego nastąpiła nieznaczna poprawa. Kauters przesiadywał w izolacie całymi dniami, a gdy zjawiał się Stefan, udawał, że tylko co przyszedł i bada odruchy. Trzyniecki najpierw tylko się dziwił, czemu chirurg zwleka, potem zaczęło go to gnębić: każdy dzień zmniejszał szansę operacji.

Potem stan pobudzenia znikł. Inżynier mógł już siedzieć na fotelu, bledy, zarośnięty, niepodobny do tęgiego mężczyzny, który przyszedł tu przed trzema tygodniami. Powoli zaniewidział. Stefan nie śmiał już pytać o termin operacji: Kauters, wyraźnie zdenerwowany jakby czegoś oczekiwał — Rabiewski stał się jego ulubieńcem — przynosił mu kostki cukru i długo obserwował, jak tamten mlaska chrupiąc, jak usilnie się zorientować w położeniu własnego ciała, dotykając dłonią kolejno uda, łydki, stopy. Zmysły stopniowo zamykały się, odpadał odeń świat. Gdy mu się krzychało prosto w ucho, drganie powieki znamionowało, że jeszcze słyszy.

Dziesiątego czerwca Kauters, wychylający się z separatki, zawołał przechodzącego Stefana. Pokój był prawie pusty: żadnych krzesel ani stolika. Rabiewski znów wisiał w swej siatce, nagi, opuchły, ogromny.

— Niech pan patrzy a uważa, kolego — przykazał rozpromieniony Kauters.

Ujęte w sznury ciało drgnęło. Jego ręka łaziła po siatce jak nieprzytomne zwierzę. Potem korpus zaczął się miotać w górę i w dół, w górę i w dół. Sieć skrzypiała, żelazne nóżki waliły o podłogę. Łóżko groziło wywróceniem się. Obaj lekarze musieli przycisnąć je do ściany.

Równie nagle jak przyszedł, atak zgasł. Wyprężone deskowało ciało zwisło w sieci. Niekiedy rękę czy nogę przebiegał febryczny dreszcz. Potem i on ustąpił.

— Co to jest? Wiecie? — zagadnął chirurg jakby egzaminując Stefana.

— Podrażnienie strefy motorycznej, spowodowane uciskiem guza...

Kauters zaprzeczył.

— Nie, kolego. Kora mózgowa zaczyna już obumierać. Powstaje „człowiek bezkorowy”! Wyzwolone spod jego hamującego wpływu przychodzą do głosu głębsze, starsze rozwojowo odcinki mózgu, jeszcze nie naruszone. Ten atak to był Bewegungsturm, burza ruchowa, odruch, występujący u wszystkich zwierząt od wymoczka do ptaka. Miotając się bezładnie pod wpływem zagrażającego życiu bodźca, zwierzę usiłuje uciec. A to późniejsze odrętwienie, to drugie przełączenie tego samego aparatu reaktywnego. To tak zwany Totstellreflex, odruch udawania śmierci. Ten sam co u żuczków. Widzicie, jak to wygląda? O, teraz pięknie wychodzi! — krzyknął podniecony, bo inżynier, skręcając grzbiet w łuk, rzucił sobą o napiętą siatkę, ciskany kurczami.

— Tak... to idzie przez wzgórki czworacze. Klasyczny wypadek! Mechanizm, którym posługiwały się jeszcze płazy przed milionami lat, teraz wykluwa się u homo sapiens, gdy odpadają później narosłe masy mózgowe...

— Czy... czy przygotować wszystko do operacji? — spytał Stefan, który nie mógł patrzeć ani na szarpane konwulsjami ciała, ani na radość chirurga,

— Co? Nie, nie. Dam wam znać.

Po obchodzie reszty sal Stefan zajął do Sekułowskiego. Ich stosunek wyszedł z okresu niezdecydowania i ustalił się wyraźnie: mistrz i uczeń, który musi znosić połajanki. Stefan nie opowiadał mu na ogół o chorych, lecz w wypadku Rabiewskiego uczynił wyjątek, bo, zdesperowany wytworzona sytuacją, pragnął rozumnej rady. Sam nie ważył się działać, nie wiedział zresztą, co może zrobić. Pójść do Pajączkowskiego? Ale to oznaczałoby skargę na Kautersa, bądź co bądź jego przełożonego, doświadczonego praktyka. Więc tylko opisywał pocie stan inżyniera, licząc choćby na wybuch pasji, oburzenia Sekułowskiego, lecz ten, czując się ostatnio źle, chętnie słuchał o tym, że ktoś ma się gorzej, a słowa Stefana skwitował dłuższym wywodem. Ubijając sobie poduszki pod plecami (pisał w łóżku) rzekł:

— Powiedziałem gdzieś (chyba w „Wieży Babel”), że człowiek nasuwa mi taki obraz: jakby ktoś w ciągu wieluset wieków żmudnej pracy wyrzeźbił najpiękniejszą złotą figurę, każdy centymetr jej powierzchni obdarzając odmienną formą. Milczące melodie, miniaturowe freski, piękno całego świata ujęte w jedną całość, podporządkowane tysiącowi magicznych praw. I tę wysmukłą rzeźbę wmontowano w głąb maszyny, mieszającej gnojówkę. Takie jest mniej więcej miejsce człowieka na świecie. Co za geniusz, co za precyzja wykonania! Piękno narządów. Uparta zmyślność, która z żelazną konsekwencją skupiła rwące atomy, wolne mgły elektronowe, dzikie pierwiastki i, uwięzione w kształt ciała, zmusza do wypełniania obcego im zadania. Z nieskończoną cierpliwością wymodelowane maszyny proste stawów, gotyk kości, labirynty krążącej krwi, cudowne systemy optyczne, architektura włókien nerwowych, tysiące i tysiące kielzających się wzajem aparatów, przewyższających wszystko, co możemy pomyśleć. I wszystko to zupełnie niepotrzebnie!

Stefan, zaskoczony, nie śmiał się odezwać. Poeta tymczasem uderzył ręką w otwartą wielką księgę, którą zakrywały dotąd rozrzucone na pościeli papiery: atlas anatomiczny, pożyczony mu przez Stefana. — Jaka niewspółmierność środków i celu. Ten pański inżynierek wegetował sobie, nieświadomy tego, co w nim tkwiło spętane, aż nagle komórki puściły z łańcucha swoje siły, skierowane dotąd na wewnątrz, na potrzeby nerek i kiszek. To nagle wyzwolenie] Wybuch tysiąca zamurowanych możliwości. Dusza, dotychczas zapoczwarzona, ukazuje się naga w powiększeniu: zegarek ze zbuntowanymi kółkami.

— Pan ma na myśli nowotwór?

— Tak wy to nazywacie. Ale cóż jest nazwa? Widzi pan, doktorze: wasze myśli są po

prostu wymacerowane w formalinie. Na miły Bóg, trochę fantazji. Rak? To po prostu „boczna furтка”, taki „Seitensprung” organizmu... Te moje Ślepe Siły, zabezpieczywszy żywą tkankę na sto tysięcy sposobów przed wypadkami, jednego wylotu nie zamknęły widać dość szczelnie. Funkcjonuje to sprawnie, właśnie jak zegarek, i nagle — nieprzewidziany wybieg! Widział pan czasem, jak dziecko bawiąc się wyłamie z zegarka kółko sekundnika? Jak to zaczyna wirować, huczeć jak bąk, jak wskazówki, zamiast odmierzać z pożytkiem godziny, szaleją pożerając fikcyjny czas! Taki guzek, mała roślinka wychodząca z jednej zbuntowanej komórki. Wolnej, pan rozumie? Wolnej... Jak się to rozwija w mózgu, nawożone krwią, jak oplata myśli, jak przeżera i niszczy te uporządkowane grządki, zasadzone ludzkim mętlikiem...

— Może pan ma rację... — rzekł Stefan. — Ale dlaczego on nie chce operować...?

Poeta nie usłyszał go, pisząc gorliwie, aż ostrze pióra zadzierało chwilami papier. Dłuższą chwilę panowała cisza. Za oknem w głąb liściastej korony wpłynął rudawy promień, przebiwszy się przez chmurę. Pokój wchłonął światło i zaraz zgasł. Nie wiedzieć czemu Stefanowi serce ścisnęło się coraz mocniej. Choć się to wcale nie łączyło z tematem, spytał naraz:

— Proszę pana... dlaczego pan napisał „Rozważania państwowotwórcze”?

Sekułowski, leżący dotąd bokiem, skręcił się nagle i popatrzał mu w oczy. Stefanowi, choć widział jego ciemniejącą od krwi twarz, zrobiło się lekko, że odważył się zadać to pytanie.

— Co to pana obchodzi? — grubym, nieznanym zupełnie głosem odezwał się Sekułowski. — Proszę mnie nie nudzić! Muszę pisać!

I odwrócił się do Stefana tyłem.

Stefan poszedł do Krzczotka. Może on? Przyjaciel skończył swą pracę doktorską i schował ją, przewiązawszy wstążką, do szuflady. Z tą chwilą otwarła się przed nim niebezpieczna pustka. Szpital nie zajmował go, chorzy nudzili: przez każdą godzinę przedzierał się z największym trudem. Nie mógł siedzieć, chodzić, leżeć. Obraz Nosilewskiej kwitł mu pod powiekami.

— Musisz się zdecydować — rzekł Stefan, ogarnięty nagłą litością. — Chcesz, to ją zaproszę dziś i ty przyjdź, a potem powiem, że muszę przygotować wszystko do operacji i zostawię was samych.

Uważał się w tej chwili za wzór przyjaciela.

Nosilewska nie przyjęła zaproszenia. Zajęta była wypisywaniem danych z dużej, niemieckiej anatomii patologicznej. Z czubkami palców powalany zielonym atramentem wyglądała dziewczynkowato. Powiedziała, że wybiera się zaraz do Rygiera. Właściwie sama się do niego wprosiła, bo był przez jakiś czas asystentem na katedrze anatomii patologicznej i może udzielić jej pewnych informacji. Zaczęła mówić o ciekawych rodzajach degeneracji tkanki mózgowej.

Staszek, który czekał na wyniki owych zabiegów w pokoju Stefana, odkrył w sobie naraz zasoby nie napoczętego jeszcze cierpienia, przekonany, że Rygier zaprosił dziewczynę w celach pozanaukowych.

— No tak... — zastanawiał się Stefan. Ostatnio czytał amerykański podręcznik zawierający testy psychotechniczne. O miłości nie było tam wprawdzie nic, ale próbował wykoncypować coś sam w oparciu o metodę Amerykanów:

— Kochasz ją, powiedz?

Krzczonek wzruszył ramionami. Siedział bokiem na fotelu, nogi przewiesił przez poręcz i bimbał nimi nerwowo.

— Nie odpowiadam na głupie pytania. Nie mogę pracować ani czytać; nie śpię, nie mam władzy nad myślami, wiem, że mnie diabli biorą i już.

Stefan pokiwał głową.

— Banalniejsz, to chyba miłość. Zadam ci parę krzyżowych pytań. Po pierwsze, czy



mógłbyś sobie wyczyścić zęby jej szczoteczką?

— Cóż za idiotyzm? — Odpowiedz. Staszek zawahał się.

— No... może tak.

— A czujesz takie rozdzieranie i pęknięcie w piersi, taki „ogień boski”?

— Czasami.

— Phi! A teraz wściekasz się, że ona idzie do Rygiera? Amor fulminans progrediens in stadio valde periculoso. Diagnoza murowana. Nie czas na profilaksę, tu leczyć trzeba.

Staszek popatrzył na niego ponuro.

— Nie wygłupiaj się.

Ponieważ Stefanowi przemknęło w tym momencie, że gdyby tylko sam zechciał z Nosilewską, poszłoby to jak z płatka, zamaskował zmieszanie uśmiechem.

— Nie gniewaj się. Zaproszę ją jutro albo jeszcze lepiej po operacji. Będę miał wolną głowę.

— Nie rozumiem, po co ci wolna głowa?

— Ach, i o mnie jesteś zazdrosny? — roześmiał się. — Dam ci bromuralu, chcesz?

— Dziękuję, mam własny.

Staszek przerzucał leżące na półce książki: „Górę Czarodziejską” przekartkował, ale odłożył, ostatecznie zdecydował się na „Zieloną Panterę”.

— To kryminał, w dodatku beznadziejny — ostrzegł Stefan.

— Tym lepiej, odpowiada mi nastrojowo. Skierował się do drzwi. Stefana opadło nagle współczucie.

— Słuchaj — spytał naraz — czy wolałbyś, żeby ona cię zdradziła, czy żeby jej się przytrafiło coś złego?

— Po pierwsze, nie może mnie zdradzić, bo nic jej ze mną nie łączy, a po drugie, cóż to za alternatywa!?

— To taka próba psychologiczna. Odpowiadaj. Krzeczotek nacisnął mocno klamkę, pochylił głowę i raptownie wyszedł zatrzasnąwszy za sobą drzwi. Stefan położył się w ubraniu na rozesłanym łóżku. Dopiero teraz zorientował się, że przez cały czas miał żal do Staszka, iż nie może mu zawierzyć sprawy inżyniera. Zerwał się, przysiadł przed półką z książkami i zaczął szukać podręcznika neurochirurgii. Może jednak Kauters postępuje właściwie? Ale to mu się w głowie nie mogło pomieścić. W podręczniku nie znalazł niczego rozstrzygającego. W otwartym oknie falowała wolno firaneczka z gazy. Wtem ktoś zapukał do drzwi. Był to Kauters.

— Panie kolego, proszę zaraz na salę operacyjną!

— Co, co? — zerwał się Stefan na równe nogi, ale chirurga już nie było.

Łopocąc połamami nie dopiętego płaszcza zniknął w ciemnym korytarzu. Stefan, podniecony, zbiegł po schodach zostawiając przez zapomnienie światło w pokoju.

Na dworze panowała noc wilgotna i ciepła. Wiatr niósł mocny, łaskoczący zapach kwitnienia zbóż. Stefan skrócił sobie drogę przechodząc przez trawnik, aż mu buty zaświeciły od rosy, i żelaznymi schodkami dostał się na piętro pawilonu operacyjnego. Za matową szybą krzątała się biała postać.

Operacyjna służyła pierwotnie małej chirurgii, zabiegom takim jak nacięcie ropnia, żeby nie trzeba było odwozić w tym celu chorych aż do miasta. Jednakże zbudowano ją „na wyrost”. Kauters wyzyskał to. Uniwersalny stół służyć mógł każdej operacji, prócz niego znalazły się: butla z tlenem, przymocowana do ściany elektryczna wiertarka kostna i podobny nieco do wielkiego radia aparat diatermiczny. Małe przejście, bez drzwi, wyłożone jak całe pomieszczenie drobno ciętą, cytrynową kafelką, wiodło do drugiego pokoju, w którym na stołach obitych blachą stały rzędy słoików z chemikaliami, leżały pęki rurek gumowych i bielizna pod szklanym kloszem. W dwu szerokich szafkach mieściły się porządnie ułożone na dziurkowanych tacach narzędzia. Nawet gdy w operacyjnej panowała ciemność, w tym kącie

znalazło się zawsze trochę blasku, rozsypanego po ostrzach skalpeli, haków i pincet. Na osobnym stoliku znajdowały się płaskie naczynia z płynem Lugola, w których mokły kłębki ketgutu przybierając bursztynową barwę, a wyżej na półeczce świeciły rzędami szklane rurki z białym jedwabiem do szwów.

Siostra Gonzaga przytoczyła stół instrumentacyjny do pochylonego na trzech grubych nogach stołu operacyjnego i przysuwała wielkie nikłowe sterylizatory, wyglądające jak ule na swych wysokich nóżkach. Stefan, zdezorientowany, rozejrzał się bezradnie. Nie chciał się poniżyć do pytania siostry, kogo będą operować. Ponieważ Gonzaga zaczęła się myć, narzucił długi fartuch gumowy, puścił huczący wodospad na ręce i jął je mydlić. Woda szumiała, delikatne krople nieustannie zbiegały po lustrze, przecierając mgłą rtęciowo opalizującymi drózkami. Białe płyty piany ochlapały dużym kręgiem parujące umywalnie.

Nagle z zewnątrz dobiegł głos Kautersa:

— No, powoli, powoli — mówił, potem rozległo się zduszone westchnienie, jakby ktoś dźwigał ciężar. W wahadłowych drzwiach ukazała się zaczerwieniona łysina starszego pielęgniarza, który niósł bezwładnie zwieszoną przez plecy Rabiewskiego. Zwalił go z łomotem na stół, a Kauters, wciskając stopy w białe gumowe kalosze, pytał siostry:

— Jest drugi i trzeci komplet?

— Tak, panie doktorze.

Związawszy na karku tasiemkę fartucha, chirurg nacisnął pedał kranów i mył się automatycznymi ruchami.

— A strzykawki są?

— Tak, panie doktorze.

— Igły trzeba naostrzyć.

Mówił to machinalnie, nie zważając na odpowiedzi. Ani razu nie spojrzał w stronę stołu. Józef rozebrał Rabiewskiego, ułożył na wznak i przywiązał jego ręce i nogi białymi pasami do klamrowych uchwytów, wreszcie zaczął mu skrobać głowę brzytwą. Stefan nie mógł ścierpieć tego tępego chrobotu.

— Niechże Józef na miłość boską namydli! Józef mruknął coś — w zasięgu Kautersa nie słuchał nikogo innego — ale wreszcie zdecydował się zważyć głowę nieprzytomnego, który powoli, płytko rzeził. Zebrawszy trochę siwych kłaków w garść, sanitariusz przywiązał do uda Rabiewskiego dużą płytę anody i cofnął się w bok. Siostra Gonzaga skończyła się myć trzecią szczotką, rzuciła ją do worka i z podniesionymi rękami podeszła do sterylizatorów. Józef pomógł jej nałożyć na twarz żółtawą maskę, potem płaszcz, wreszcie cienkie nicjane rękawiczki. Podchodząc do wysokiego pulpitu z instrumentami, na którym stały trzy owinięte kompresami tace, tak jak je wydobyto z autoklawu, rozpięła zaciskające płótno szczypczyki i manewrowała błyszczącymi pręcikami stali, układając je sobie wedle ważności i potrzeb.

Teraz skończyli jednocześnie mycie Stefan i Kauters. Trzyniecki czekał, aż chirurg natrze sobie ręce bezwodnym alkoholem, i z kolei puścił cieniutki jego strumyk na palce. Strzepując piekący płyn, oglądał zatroskanym wzrokiem ręce.

— Marn zadzierkę — powiedział dotykając gniewnie różka obrzękłej skóry nad paznokciem. Kauters naciągał gumowe rękawiczki, co szło kiepsko, bo wysypał cały talk, a ręce miał mokre.

— Nie martwcie się. On na pewno nie ma PP. Zresztą przy mózgowych takie rzeczy się nie zdarzają.

Józef, jako nieczysty, stał z dala od stołu.

— Światło! — zakomenderował chirurg. Sanitariusz nacisnął przełącznik, transformator zahuczał i wielki płaski jupiter, zawieszony skośnie nad stołem, błękitnawym kręgiem oświetlił stojących.

Kauters na chwilę zwrócił się ku oknu. Jego twarz, do oczu zasłonięta maską, wydawała się ciemniejsza niż zwykle. Obaj lekarze z dwu stron przystąpili do nieprzytomnego. Józef

oparł się obojętnie o umywalnię; z lustra wyjrzała jego ogromna jak słońce, ciemna i świecąca łysina.

Rozpoczęło się okrywanie Rabiewskiego kompresami. Gonzaga rzucała je niemal, błyskawicznymi ruchami długich szczypiec zonglując między sterylizatorem i rękami chirurga. Wielkie kwadraty sterylnego płótna układali jedno na drugim, od torsu ku twarzy, Stefan z drugiej strony spinał je szczypczykami.

— Cóż wy robicie, w skórę go, w skórę! — zawołał niegłośnie, lecz ostro chirurg i sam poprzez serwety złapał ostrymi szczypczykami bladą skórę leżącego. Stefan, choć dawno przywykł do widoku rozcinanego nożami ciała, nie mógł nigdy oprzeć się dreszczowi, kiedy serwety wokół pola operacyjnego przypinano do skóry, choć wiedział, że chory jest pod narkozą. Jednakże inżynier był tylko nieprzytomny. Naraz okryta płótnem postać leżącego drgnęła; zazgrzytał zębami tak ostro, jakby ktoś krzemieniem ciągnął po szkłe. Stefan mimo woli spojrzął pytająco na Kautersa. Ten zawahał się, wreszcie skinął ręką: no, klujcie już, jeżeli wam to sprawi przyjemność.

Pomalowawszy jodyną nagą czaszkę wypuklającą się spośród opiętych ciasno serwet, Trzyniecki wstrzyknął w kilku miejscach nowokainę i rozmasował lekko powstałe w skórze wzniesienia. Gdy odrzucił brunatny od jodyny maczak, chirurg wyciągnął rękę w tył nie patrząc: siostra wetknęła w nią pierwszy skalpel. Brzusiec płytkiej stali dotknął leciutko czoła i naciśnięty, wykroił owalny płat. Kauters podpreparował pincetką anatomiczną powięź aż do kości, która zgrzytnęła głucho. Wtedy rzucił narzędzia na piersi chorego i wyciągnął dłoń po trepan. Maszynka, zgrabny jajowaty motorek, połączony stalowym węzłem z wiertłem, stała za nim. Siostra zamarła bez ruchu, trzymając w każdej wzniesionej dłoni kilka narzędzi. Stefan zdążył jeszcze szybko przeciągnąć białym maczakiem po nabiegającej jasną krwią Unii cięcia, gdy Kauters puścił w ruch trepan. Świderek wgryzł się w kość i, trzymany jak pióro, rozrzucił drobne opiłki, zostawiając wzdłuż brzegów drózkę krwawego ciasta.

Brzęczenie umilkło. Chirurg odrzucił niepotrzebny świder i zażądał raspatora. Jednakże płyta kostna nie puszczała, widocznie gdzieś jeszcze trzymało. Kauters pocisnął ją delikatnie trzema palcami, jakby chciał wgnieść w głąb czaszki. — Dłuto!

Przyłożył je skosem, uderzając miarowo drewnianym młotkiem. Posypały się wiórki, krew oplotła strużkami skórę, serwety wciągały powoli paśowe plamy. Nagle cały płat kości i skóry drgnął. Kauters podważył go rączką raspatora, nacisnął i rozległ się krótki trzask jakby łupanego orzecha: płytka odwróciła się i opadła w bok.

W błękitnym świetle błyszcziała opona twarda, wzdęta baloniasto, z ciemniejszą siatką nabrzęknięch w głębi żył. Kauters wyciągnął rękę, wróciła z długą igłą. Nakłuł w kilku kierunkach raz, drugi, trzeci.

— Tak jak myślałem — mruknął. Okulary błyskały mu nad maską pomniejszonym odbiciem reflektora. Stefan, który do tej pory nic nie robił, tyle że sterylnym woskiem pozatykał krwawiące dziurki gąbczastej rany kostnej, pochylił głowę, aż ich osłonięte gazą czoła zetknęły się.

Kauters widocznie się wahał. Lewą ręką objął brzeg rany, prawą delikatnie zaczął dotykać opony, pod którą coraz wyraźniej tętnił mózg przeświecający szara i różowo. Wzniósł głowę, jakby oczekując znaku z góry. W jego wielkich czarnych oczach pojawiło się odrętwienie, którego Stefan niemal się przeląkł. Palce w cienkiej gumie dwa razy w krąg obeszy obnażoną oponę. — Skapel!

Był to mały, specjalny nożyk. Opona zrazu nie chciała się poddać — nagle rozdziawiła się jak pękający pęcherz i z głębi wytrysnął mózg. Wybrzuszyła się drgająca pulsem, czerwono brzęknąca przepuklina, z której ściekały śluzowe nitki krwi.

— Nóż!

Znowu zahuczało, tym razem dźwięk inny, basowy: aparatu diatermicznego. Siostra odwinęła gazę okrywającą nóż elektryczny i wcisnęła go w wyciągniętą do tyłu dłoń. Obaj

lekarze pochylili się. Krew płynęła dotąd nieznacznie, żadne większe naczynie nie ziało, ale obraz był niejasny., Kauters powoli, milimetr za milimetrem, rozszerzał ranę opony. Nareszcie wszystko stało się zrozumiałe: obrzękła, wypadła część stanowiła przedni biegun płata czołowego. Gdy chirurg odsunął go palcem, w głębi szczeliny między półkulami mózgu ukazał się brudnożółty twór, do którego trudno się było dostać. Palec wskazujący ślizgał się po ciastowato napuchłych zwojach kory. Wreszcie przy pomocy trzonka pincety część narośli dała się osiągnąć. Z dna jamy czaszkowej, które, nim się wypełniło ściekającą krwią, na krótko zabłysło perłowym błękitem jak wnętrze muszli, wyrastał w obie strony kalafiorowaty guz, dołem zbity, górą pulchniejący, pokryty brunatną papką.

— Łyżka!

Zaczęło się wygartywanie mazi, flaków, strzępów, przepojonych coraz mocniej krwią. Wtem Kauters porwał się wstecz; Stefan nie zrozumiał, znieruchomiał: z dna rany, spośród obu rozepchniętych części mózgu (palec chirurga wciąż tkwił między nimi), strzykał pionowy, cienki jak igła strumyk jasnej krwi — tętnica. Kauters mrugał: kilka kropeł wpadło mu do oka.

— Psiakrew! — powiedział. — Gaza!

Krew przepoiła tampony, część nowotworu została w głębi, tymczasem nie widziało się nic. Kauters, odsunawszy brzuch od stołu, wbił oczy w sufit i poruszał palcem w ranie. Trwało to dość długo, serwety jakiś czas wsysały krew, która potem zalała stare skrzepy z początku operacji, wreszcie trzeba było narzucić nowe kompresy, bo ręce i narzędzia zaczęły się ślizgać. Stefan stał bezradny patrząc z niepokojem na Kautersa. Czuł, że maska mu się przekrzywiła i ciśnie w nos, ale nie mógł jej dotknąć.

Chirurg włączył nogą diatermię i przyłożył nóż.

Krew biła widocznie z rozpadających się tkanek nowotworu, gdyż ledwo uniosły się pierwsze sinawe dymki spalonego białka i charakterystyczny swąd zakręcił przez gazę w nosie, krwotok ustał. Tylko po tkwiących w ranie szczypczykach spelzały jak mrówki czerwone krople.

— Łyżka!

Operacja szła dalej. Chirurg ścinał termokoagulatorem powierzchowną część guza, potem, gdy zmartwiała i stygła, łyżeczkował ją, dobywając resztki zgiętym palcem. Ale im dłużej to trwało, tym gorzej szło. Guz nie tylko wypychał płaty w górę, ale w nie wrastał. Chirurg pracował coraz żywiej, w pewnej chwili sięgnął w głąb rany, trzasło: wyciągnął dłoń z pękniętą rękawiczką. Żółta gumka zlaźła z palca, przecięta ostrym brzegiem kości.

— K... m...! — powiedział Kauters głuchym, wibrującym głosem. — Proszę mi to ściągnąć.

— Nową parę, panie doktorze? — spytała siostra i zarazem płynnym ruchem długich szczypiec chwyciła ze sterylizatora umączoną talkiem paczuszkę.

— Na cholere!

Kauters cisnął strzępy gumy na podłogę. Złość gromadziła mu się w zmarszczkach skóry wokół oczu, rzęsy pot występował na jego chude, sklepione czoło, pobłyskując niebiesko. Mięśnie skroni pęczniały co chwila: zaciskał w pasji szczęki. Manewrował palcem w ranie coraz brutalniej, wyrywał sflaczałe strzępki, nekrotyczne włókna, pęczki naczyń jakichś i chlapał nimi w bok. Podłogę pokryły całe gamy krwawych przecinków i wykrzykników.

Na elektrycznym zegarze była dziesiąta: operacja trwała już godzinę.

— Zobacz pan źrenicę.

Stefan skwapliwie podniósł z boku płachtę, ciężką i sztywną od skrzepów, namokłą rudymi jęzorami. Dostał się do bladej jak papier, świecącej twarzy Rabiewskiego i pociągnął pincetą powiekę. Źrenica była wąska. Nagle oczy leżącego zatańczyły dziko, jakby targane w obie strony sznurkiem.

— Jak tam? — spytał Kauters.

— Oczopląs — rzekł zdumiony Stefan.

— Tak, tak.

W głosie chirurga brzmiało szyderstwo. Stefan spojrział — Kauters trzymaną igłą przeciągał po korze płatów. A więc to była przyczyna oczopląsu. Mózg ział głęboko rozkrojony. Końca nie było martwiczym masom rozpadowym. Stapiały się w jedno ze zwojami i zakrętami. Stefan widział rozchylone jak usta brzegi rany, białą masę nerwową przeświecającą niczym wyłuskany orzech i substancję szarą, właściwie brunatną z lekka, wąziutką na przecięciu smużkę. Gdzieś tam jak rubinowe oczko pokazywała się kropla krwi.

Chirurg, zdenerwowany, odsunął w bok rozciągające się jak guma zwoje i warknął:

— Kończymy!

Oznaczało to rezygnację. Teraz palce operatora szybko, składnie manewrowały popychając wybrzuszoną półkulę i wprowadzając ją do jamy czaszki, ile się dało. Znowu zaczęło gdzieś krwawić. Kauters dotknął naczynia ciemnym końcem elektrycznego noża i zatamował krwotok. Przygotowywał już sobie drenik z jednego palca rękawiczki, gdy naraz znieruchomiał.

Stefan, który nie zważał na ostatnie zabiegi, wpatrzywszy się w owiniętą jak mumia postać na stole, pojął: jej poruszająca się dotąd pierś stanęła. Chirurg, nie bacząc na to, że infekuje ręce, od dołu chwycił płachtę okrywającą twarz i pierś operowanego, odszarpnął ją, przez chwilę słuchał, a potem bez słowa odstąpił od stołu. Kopnięte pod ścianę poleciały jego gumowe, okrwawione kalosze. Siostra Gonzaga ujęła krawędź prześcieradła i sakramentalnie nakryła nią zakrzepłą twarz. Stefan podszedł do okna, by złapać tchu. Za jego plecami siostra Gonzaga ciskała narzędziami na metalowe tace, woda huczała w autoklawach, Józef wycierał krew z podłogi. Stefan przechylił się przez parapet. Przed nimi rozpościerała się wielka, milcząca ciemność. Na granicy nieba i ziemi — była ona niemal domysłem — gęstwiło się coś ciemniejszego od nocy. Jakby wysadzana żółtymi brylancikami kolia w aksamitnym futerale świeciły magazyny w Bierzyńcu. Wiatr przygasł w gałęziach, gwiazdy drżały. W zlewach bełkotała ostatnia woda.

## WERKMISTRZ WOCH

Czerwiec przechylał się w upały. Z okien łagodnie wzgórzysty teren ciemniał zielenią lasów, malachitową i jelenią, srebrną brzoź, podwodną wieczorów i kryształową świtów. Falami szedł miękki nieustanny szum, nakłuwany świergotem ptaków. Pręga pochodu słonecznego dzieliła czaszę nieba na dwie coraz bardziej zrównujące się z sobą części.

Którejś nocy nadeszła pierwsza letnia burza. Pejzaż ukazywał się w błyskawicach jak brylant: pojedynczymi łyśnięciami błękitu.

Stefan chodził na długie przechadzki polami w stronę lasu. Od słupów telegraficznych, jak od opitych wysokim śpiewem kamertonów, niosła się zająkliwa melodia. Ściana drzew była niebieska od sosen; gdzieniegdzie bieleły zygzaki brzoź.

Zmęczony się, przystawał pod ogromnymi drzewami lub siadał na ściółce osiwiąłego igliwia. Błąkając się tak odnalazł raz daleko od murów dobrze ukryte obrywem gliniastego zbocza miejsce, w którym rosły trzy wielkie buki. Wychodząc ze wspólnego odziomka rozchylały się łagodnie w strony. Niżej, jakby unosząc się na palce — płynący tu wiosną strumień wybrał mu glinę spomiędzy korzeni — stał dębczak o japońsko wyłamanej linii poziomych konarów. Kilkaset kroków dalej las urywał się. Zboczem szedł w górę rząd uli, pomalowanych zielono i ceglasto jak gliniane światełki. Miejsce to kryło w sobie echo; Stefan odważył się zbudzić je klaskaniem. Rozgrzane powietrze odpowiedziało kilkakrotnie, coraz słabiej i głuszej. Ciszę podszywał wielogłosy brzęk pszczół. Czasami któryś z uli poczynał śpiewać natarczywie. Wyglądały z dala jak niezdarne klawiatury wiejskiego instrumentu.

Poszedł przed siebie i po dobrej chwili zauważył ze zdziwieniem, że brzęk uli, które zostawił za sobą, nie ucicha, przeciwnie, wzmacnia się nawet. Coraz niższy, basowy, napępiał powietrze, aż, gdy dno parowu, którym szedł, zrównało się z trawiastymi brzegami, ujrzał niedaleko kwadratowy budynek z czerwonej cegły, podobny do pudła osadzonego na krótkich betonowych kostkach. Z trzech stron horyzontu ściągały tam szeregi drewnianych słupów z przewodami, a przez na oścież otwarte okna niosło się miarowe granie. Zbliżając się do tego osobliwego domku dojrzał Stefan dwu ludzi, siedzących na trawie w cieniu pod otwartym oknem. Drgnął, bo mu się wydało, że poznaje w jednym kuzyna Grzegorza, którego po raz ostatni widział na pogrzebie w Nieczawach. W następnej chwili zorientował się w pomyłce: wywołał ją żołnierski, bez odznak mundur obcego, jego jasne włosy i sposób trzymania głowy. Że jednak człowiek ów wzbudził jego ciekawość, niby mimochodem zeszedł ze ścieżki na trawę i kroczył patrząc gdzieś dalej, jak roztargniony spacerowicz. Tamci zauważyli go dopiero, gdy znalazł się całkiem blisko. Głowy ich uniosły się i Stefana trafił spokojny wzrok dwu par oczu. Zatrzymał się. Nastąpiło nieprzyjemne milczenie. Ten, którego wziął za Grzegorza, spoczywał bez ruchu z rękami opartymi na kolanach, skrzyżowawszy od niechcenia stopy w powalanych gliną buciorach; rozpięta mundurowa kurtka ukazywała trójkąt nagiego, brązowego torsu; włosy okrywały mu czaszkę lśniąco powłoką jak miedziany kask. Ze smukłej, twardej twarzy patrzyły na Stefana przymrużone od blasku oczy. Drugi mężczyzna, znacznie starszy, był wielki, ale nie gruby, z rękami i twarzą barwy sypkiego popiołu; na głowie nosił kaszkiet odwrócony do tyłu daszkiem, jedno ucho miał zarosłe i sterczał mu tylko maleńki, zwinięty płatek jak mięsisty różowy kwiat.

— To... elektrownia? — bąknął na koniec Stefan, żeby przerwać nieznośną ciszę, podszytą płynącym z okien graniami.

Nikt mu nie odpowiedział. Naraz dostrzegł, że za oknem stoi trzeci mężczyzna, wyblakły starzec z mgielką włosów na czaszce. W granatowym kombinezonie był prawie niewidoczny na tle ciemnego wnętrza. Młody błysnął oczami na tamtych, wrócił spojrzeniem do Stefana i tak je obniżając, żeby nie patrzeć mu w oczy, powiedział jakoś groźnie:

— Lepiej tu nie chodzić.

— Co? — bąknął odruchowo Stefan.  
— Lepiej nie chodzić, mówię. Banszuc się napatoczy albo co i będzie bieda.  
Ten starszy, bez ucha, wtrącił się naraz: — Czekaj, synu. Pan skąd będzie?  
— Ja? Z sanatorium. Jestem lekarzem. A co?  
— Aaa — przeciągnął bezuchy i dla wygodniejszego prowadzenia rozmowy oparł się ręką o trawę. — Pan jest doktor od tych...?  
Strzelił palcami przed czołem.  
— Tak.  
Bezuchy uśmiechnął się drobnym drgnieniem warg.  
— No, to nic — powiedział.  
— Czy tu nie można chodzić? — spytał Stefan.  
— Dlaczego? Można.  
— Jak to? — spytał Stefan, który nic nie rozumiał. — To nie jest elektrownia? — spróbował jeszcze raz.  
— Nie — odezwał się po raz pierwszy stary zza okna. Zza jego sylwety ciemne wnętrze błyskało miedzią przewodów. Wychylił ślą, żeby wypukać fajkę, wysuwając w tym ruchu z przykrótkich rękawów przedramiona o mięśniach zasuszonych w postronki.  
— To podstacja sześćdziesiąt kafau na pięć — dokończył zabierając się do nabijania fajki.  
Stefan i tego nie pojął, ale udając, że wie, o co chodzi, spytał:  
— To wy dajecie nam prąd elektryczny do szpitala?  
— Mhm — odparł stary ciągnąc fajkę, aż mu policzki całkiem zapadły.  
— Ale tędy można chodzić? — nie wiadomo po co jeszcze raz upewnił się Stefan.  
— Można.  
— No, bo pan mówił... — zwrócił się Stefan do młodego, który uśmiechał się tymczasem coraz szerzej, pokazując ostre zęby.  
— Ja tak — powiedział wreszcie.  
Ponieważ Stefan nie odchodził, ten starszy bez ucha uznał za właściwe wyjaśnić sytuację.  
— On nie wiedział, kto pan za jeden — rzekł błyskając na Trzynieckiego oczkami. — Młody, to pomylił się. A pan znów, za pozwoleniem, taki dosyć sobie z twarzy czarny. No i z tego.  
Widząc, że Stefan wciąż nic nie pojmuje, palcem tknął go przyjaźnie w kolano.  
— No, miarkował, że pan z Bierzyńca, z tych, co teraz zwożą z całej okolicy...  
Zrobił taki ruch ręką, jakby opasywał czymś prawe ramię i naraz Stefanowi zajaśniało w głowie: — Ostrzegają, bo mnie za Żyda wziął — pomyślał. To mu się; niekiedy trafiało.  
Bezuchy patrzył bystro, jak Stefan zareaguje, czy nie obrazi się — ale Stefan milczał, tylko się trochę zarumienił. Jako człowiek doświadczony, tamten ‘ chciał zagadać jakoś gafę.  
— Pan doktor pracuje w szpitalu? — powiedział. — A ja pracuję tutaj. Woch jestem, werkmistrz—elektryk. Ale ostatnio to nie, bo chorowałem. Szkoda, że nie wiedziałem o panu doktorze — dodał obłudnie. — Byłbym o radę prosił.  
— Chorował pan? — uprzejmie odrzekł Stefan. Wciąż stał nad nimi i nie potrafił odejść. To było takie jego nieszczęście, że nigdy nie wiedział, jak zacząć rozmowę z obcym i jak ją skończyć.  
— No, chorowałem. To mi się tak zrobiło, że najpierw widziałem jednym okiem tu, a drugim tam, potem wszystko zaczęło chodzić dookoła, jednym ciągiem, a węch to taki dostałem, że no!  
— I co? — spytał Stefan zbaraniały od tego opisu.  
— Nic. Samo przeszło.  
— Nie samo, nie samo — z wyrzutem włączył się do rozmowy stary zza okna.  
— No, nie samo — lojalnie sprostował Woch. — Grochówkę zjadłem tłustą, na wędzonce, że łyżka stała, spirytusu z majerankiem „mamkę” i odjęło od razu. To mi kum poradził — ten,

co tu stoi.

— To świetnie — powiedział Stefan, pospiesznie skinął wszystkim trzem głową i odszedł szybko, bo się bał, że Woch spyta go, co to była za choroba.

Dopiero ze szczytu pobliskiego wzgórze spojrzął za siebie. Tam, na dnie łagodnie zakłębionej kotliny stał czerwony domek, pozornie bezludny, tylko z szeroko otwartych okien płynęło nieustające, basowe granie, którego pogłos długo jeszcze towarzyszył mu w drodze do sanatorium, coraz słabszy, rozmywany podmuchami wiatru, aż na koniec nie sposób już było go odróżnić od brzęczenia owadów, wirujących w słońcu wśród rozgrzanych traw.

Ta przygoda przez dłuższy czas narzucała się pamięci Stefana, a jej błahy w gruncie rzeczy przebieg urzekł go, jakby posiadał jakieś skryte znaczenie, zarazem tak była wyrazista we wspomnieniu, że rozdzieliła miniony czas na dwie części i odwoływał się do niej chcąc w myśli ustalić porządek wydarzeń szpitalnych. Nie opowiedział jej nikomu, boby to było płonne. Być może Sekułowski odnalazłby jakiś f smaczek literacki w sposobie, jakim werkmistrz Woch opisał swą chorobę, lecz Stefanowi nie o to zupełnie chodziło. Więc o co? Nie wiedział.

Po rannej wizycie na salach chorych szedł na przechadzkę po okolicy, biorąc „Historię filozofii”, że jednak jej lektura szła jakoś martwo (zwał winę na upały, wstydząc się przyznać, że nic go nie obchodziły subtelności systemów ontologicznych), począł brać z sobą drugą książkę, „Bajki z tysiąca i jednej nocy”, gruby tom z biblioteki Kautersa, wspaniale oprawny w liliową skórę. Minąwszy granicę lasu, siadał w malowniczym miejscu pod grupą trzech wielkich buków o gładkiej, napiętej korze (wyobrażał sobie, że podobnie muszą wyglądać drzewa kuczukowe) i opuściwszy nogi w zarosły borówkami wykrot, mrużąc oczy od plamek słonecznych biegnących po żółtawych kartkach, czytał o przygodach przekupniów, balwierzy i czarnoksiężników Kaszmiru, a „Historia filozofii” spoczywała obok, porzucona na kępie wyschniętego mchu. Już nie próbował jej nawet otwierać, ale wciąż nosił z sobą, niczym wyrzut sumienia.

Jakiegoś skwarne nawet w głębi lasu przedpołudnia, w połowie opowieści kalifa Haruna al Raszyda, który przebrał się właśnie za ubogiego nosiwode, aby krążąc po targowiskach, z bliska poznawać swych poddanych, przyszła mu w nagłej śmiałości osamotnienia myśl, jak dobrze by było dostać się na podstację w charakterze robotnika. Porzucił ją zaraz z zawstydzonym uśmiechem, czując tylko odrobiną żalu, że i o niej nikomu nie może powiedzieć.

Pod wieczór, gdy słońce nie paliło już tak mocno, a między nagrzanymi zboczami pagórków i chłodniejszymi dolinkami krążyć poczynały turkoczące liśćmi powiewy, Stefan ponownie wychodził z sanatorium i z iskrą tajonego podniecenia zbaczał z dawnych dróg w pobliże podstacji, obchodząc tę okolicę wielkimi pętłami. Nie napotykał jednak nikogo.

Nigdy nie kierował się prosto do ceglanego domku; zadawała się z daleka widokiem jego czerwonych ścian i pustych, na przestrzał otwartych okien, z których ciągnęło granie, towarzyszące mu w powrocie. Wędrówki te wzbogaciły jego sny o nowy temat: raz i drugi zobaczył w nich elektryczny domek, odzywający się z dna trawiastej pochyłości wabiącym monotonnym graniem, niczym wschodnią muzyką. Pewnego ranka, wcześniej niż zwykle wyruszywszy do lasu, nałożył nieco drogi, aby przemierzając grzbiety wzgórz spojrzeć na podstację; zanim tam doszedł, ujrzał człowieka idącego mu naprzeciw. Był to ów młody, miedzianowłosy robotnik; w utyłanych wapnem spodniach, nagi do pasa, niósł dwa wiadra pełne gliny stąpając sprężysto pod ciężarem. Stefan sam nie wiedział, czy chce się z nim spotkać, lecz zwołnił nieco kroku. Tamten zbliżał się tą samą ścieżką, mięśnie drgały mu napięte pod nagą skórą, lecz twarz była obojętna, bez wyrazu. Minął Stefana nie dostrzegając go tak dokładnie, że Trzyniecki, pewien, że został poznany, poszedł w swoją stronę nie ważąc się nawet obejrzeć.

Jakiś tydzień potem Stefan wracał po obiedzie z miasteczka, dokąd chodził na zakupy. Był



duszający upał. Już od godzin odzywały się za horyzontem pomruki, lecz kłujący, zaogniony błękit był pusty. Po zalanym słońcem dnie gliniastego wąwozu szło się jak po rozprażonym betonie. Dochodząc tam, gdzie górny brzeg wąwozu zarastały świerki, Stefan ujrzał nad ich szczytami ścianę chmur. Krajobraz rudział w oczach; w tym złowieszczym świetle przyspieszał coraz bardziej kroku, aż łowiąc powietrze ustami, na ostatnim zakręcie ujrzał przed sobą werkmistrza Wocha. Tamten szedł w tym samym kierunku, ale wolniej; prowadził rower za kierownicę. Na odgłos kroków nieznacznie się obejrzał. Poznał Stefana od razu i pozdrowił go; jakiś czas szli obok siebie milcząc.

Woch był w powykręcanych butach, swetrze i narzuconej na ramiona ciemnej marynarce z wymiętymi klapami i rękawami. Gdy Stefan, tylko w koszuli i płóciennych spodniach, ociekał potem, na tamtym prawie nie znać było upału. Jego — twarz była jak zwyczajnie szarawa, bez wyrazu, czerwieniał tylko płatek zarosniętego ucha. Już przepływały nad nimi wijące się, żółtawe języki chmur. Stefan chętnie puściłby się biegiem, ale nie mógł tego jakoś zrobić przy Wochu, stąpającym wciąż jednakowo odmierzoną krokiem.

Wąwóz rozszerzał się, jego brzegi przypadły do ziemi i wyszli na boczną drogę, gdy piach u ich stóp zaczął się kurzyć pod pierwszymi, ogromnymi kroplami. Już widać było podstację.

— Może pan ze mną? Bo zleje — odezwał się naraz Woch. Stefan skwapliwie przyjął zaproszenie. Bez słów skierowali się ku podstacji. Ciężkie krople coraz częściej rozpryskiwały się o twarz i ręce Stefana cętkując mu koszule; i jasne spodnie.

Na zwirowanej ścieżce, kilka kroków przed wejściem, Woch przystanął i opierając się oburącz o kierownice roweru spojrzął za siebie. Stefan poszedł za jego przykładem. Czarniawa, dołem skotłowana żółta chmura szła prosto na nich ryglując cały horyzont ciemnymi ławicami, od których opuszczały się do ziemi sine macki.

— W moich okolicach powiadają na taką: chmura—samiec — rzekł Woch mierząc niebo zmrużonymi oczami. Stefan chciał się uśmiechnąć aprobując dowcip, lecz twarz tamtego była prawie ponura. Naraz z przeraźliwym szumem obruszyła się na nich ulewa.

Stefan dwoma susami dopadł sieni. Woch, cały ociekający wodą, jakby nie zważając na ten wybuch wściekłości natury podniósł najpierw przednie, a potem tylne koło roweru i wtoczył go do wąskiego korytarzyka. Dopiero oparłszy go o ścianę, wydobytą chustka otarł sumiennie oczy i policzki.

Przez uchylone drzwi widać było huczącą szarość deszczu, który topił całe otoczenie. Stefan wdychał z rozkoszą rozpylony w powietrzu chłód; przez chwilę był tylko bezmyślnie rad temu, że uszedł sucho potopowi i dopiero gdy Woch otworzył drugie, wewnętrzne drzwi, uświadomił sobie, że nadarza się jedyna w swoim rodzaju okazja.

Ruszył za Wochem. Wnętrze domku stanowiła jedna, niezbyt obszerna sala. Troje okien w głębi atakował teraz zaciekle deszcz i byłoby tu ciemno, gdyby nie płonące gęsto sufitowe lampy. W ich nieruchomym świetle widniały z jednej strony przyścienne pulpity i tablice z zegarami; przeciwległa ściana przypominała mu zwierzyńiec, bo tworzyły ją umieszczone obok siebie, sufitu sięgające klatki, zagrodzone pomalowaną na szaro siatką drucianą. Tego, co było w owych wysokich a wąskich klatkach, nie mógł Stefan dojrzeć, na pewno jednak nic żywego; panował w nich zupełny bezruch. Pośrodku stał nieduży kwadratowy stolik, dwa krzesła i kilka skrzynek. Kamienną podłogę wyścielał gumowy chodnik. — To tu nikogo nie ma? — spytał zdziwiony Stefan.

— Pościk jest, jego zmiana. Czekaj pan tu. A nic nie ruszać proszę!

Woch poszedł do drzwi w kącie sali, tam gdzie kończyły się szare druciane siatki, otworzył je, zajrzał do środka i powiedział coś. Rozległa się stłumiona odpowiedź. Woch wszedł tam zamykając za sobą drzwi. Może przez minutę Stefan był sam. W powietrzu, przesyconym wonią rozgrzanego oleju, niesło się głucho, nie wiadomo skąd biegnące granie; słyhać było, jak po blaszanym dachu z trzaskiem przelatują fale deszczu.

Rozglądając się Stefan zauważył coś błyszczącego za drucianymi siatkami. Podchodząc

bliżej dostrzegł biegnące w głębi pionowe szyny miedziane i porcelanowe grzyby izolatorów. Naraz zza ścianki dobiegły go głosy. Woch mówił:

— Czyś ty się upił, Wladek? Teraz chcesz to wyciągać?

— To na polu przeczekajmy — odezwał się drugi, cichszy głos.

— Na polu, nie na polu, jak nawali, tak czy tak pod trawę pójdziemy, masz pojęcie, wiele tego jest?! Chodź stąd zaraz!

— Już, Jasiu, już. Jasiu, a może do lasu...?

— Do lasu, akurat! Chodź, ja gościa tam przyprowadziłem...

— Jakże tak...?

Głosy przeszły w niewyraźny pomruk. Stefan cofnął się pośpiesznie na środek sali. Woch i stary Pościk weszli i od razu popatrzyli obaj w tę samą stronę — na zegary, a werkmistrz powiedział coś, lecz słowa utonęły w bliskim grzmocie. Woch, przeszedłszy parę kroków, zatrzymał się na lekko rozstawionych nogach i ponownie przeciągnął oczami po aparaturze.

— No jak? — pytał stary. Odpowiedzią był drobny ruch ręki, mówiący „nie przeszkadzaj!”

Woch pochylił głowę, rękami objął własne ramiona i stojąc tak, podobny w wyobrażeniu Stefana do kapitana okrętu walczącego z burzą, powoli okręcił się na piętach: wtedy zauważył Trzynieckiego i jakby się zdziwił. Wziął krzesło, wyniósł je do korytarzyka i postawił za progiem ze słowami:

— Niech pan tu siada. Całkiem pewnie będzie. Stefan usłuchał go. Drzwi na salę zostały otwarte i stała się ona jakby sceną osobliwego widowiska, on zaś, siedzący w ciemnym i wąskim korytarzyku, grał rolę jedyne go widza.

Tamci dwaj nic nie robili. Stary przysiadł na skrzynce, Woch dalej stał. Teraz nie zwracali już uwagi na aparaty, lecz jak gdyby czekali na coś. Ich twarze coraz mocniej błyszczały w żółtym świetle lamp; duszna woń oleju mdlila Stefana; na dworze z jednakim natężeniem łomotała i huczała burza. W pewnej chwili Woch poskoczył do czarnego pulpitu, przybliżył twarz do jednego, drugiego zegara, wrócił na miejsce i znów zamarł bez ruchu. Stefan zaczął nawet odczuwać coś w rodzaju rozczarowania, gdy ogarnęło go wrażenie, że zaszła jakaś zmiana, ale nie wiedział jaka. Niepokojące wrażenie potęgowało się; naraz odkrył jego źródło.

W głębi przyściennych klatek coś się ruszało. Dobiegał stamtąd ni to chrobot, ni syk; wzmógł się do natrętnego szurania, ścichł i znowu wrócił. Woch i Pościk musieli to słyszeć, gdyż jednocześnie obejrzel się, a potem stary spojrział krótko i, jak się Stefanowi zdawało, z trwogą na werkmistrza. Żaden z nich nie ruszył się jednak z miejsca.

Dalej płynęły minuty, dach szumiał od deszczu, w nieruchomym świetle basowo huczała elektryczność, ale odgłos, zrodzony we wnętrzu klatek, nie ustawał. Coś tam szeleściło, szurało, bzykało, niczym żywe uwięzione stworzenie, które polatywało jakby i ciskało się na wszystkie strony, bo osobliwe odgłosy rozlegały się raz w bliższych, raz w dalszych sekcjach klatek, to nisko, to znów pod samym sufitem i Stefan czuł, że owo zagadkowe „coś” miota się coraz gwałtowniej za siatką stalowych drutów. Naraz błękitny brzask wypełnił wnętrze dwu klatek, spotęźniał, rzucił na przeciwległą ścianę zniekształcone cienie obu mężczyzn i zgasł — gryząca, przenikliwa woń sparzyła nozdrza Stefana. Znowu ostry syk, świszczący płomień śmignął w głębi innej klatki; równocześnie z żelaznego pręta, wystającego spod jej drzwiczek, strzeliła mietlasta iskra.

Stary Pościk wstał, wetknął fajkę do kieszeni fartucha i jakoś przesadnie wyprostowany popatrzał milcząc na Wocha. Ten wziął go mocno za ramię i z twarzą wykrzywioną jak od gniewu krzyknął coś, co pochłonął łoskot bliskiego pioruna. W trzech klatkach naraz zapaliły się strome pochodnie blasku, który w okamgnieniu zaćmił światło lamp, zdawało się, że pożar obejmuje całą ścianę. Woch pchnął starego w stronę Stefana, a sam pochylony, z podkurczonymi rękami cofał się powoli ku czarnym pulpitom. Za drutami klatek rozlegały się takie odgłosy, jakby ktoś strzelał z rewolweru, białe-rude płomienie oblewały oka siatki, woń

ozonu dławiła, Stefan zerwał się na równe nogi i mimowiednie odstał w głąb korytarzyka, pod same wyjściowe drzwi. Tuż przed nim garbił się stary, a Woch, po raz ostatni pochyliwszy się nad jednym z aparatów, skoczył ku nim takim susem, jakby naraz odmłodniał. Wszyscy trzej stali teraz w korytarzyku. Za siatkami gasło, jeszcze po kątach, pykały błękitne ogniki, pioruny huczały coraz dalej, tylko deszcz łomotał z jednaką siłą w blachę.

— Przeszło — odezwał się w końcu stary wyciągając fajkę z kieszeni. Stefanowi wydało się, że ręka mu drży, ale nie był tego pewny w półmroku.

— No, to żyjemy dalej — zakonkludował Woch. Wyszedł na środek sali, przeciągnął się jak po dobrym śnie, klepnął się rękami po biodrach i z rozmachem usiadł na zydłu.

— Chodź pan, już można — skinał na Stefana. Potem, gdy grzmoty całkiem ustały, a deszcz lał tak, jakby miał padać odtąd całymi tygodniami, stary przeczłapał się po sali, zapisał coś na pokratkowanym arkuszu papieru, po czym, otworzywszy nie zauważone dotąd przez Stefana małe drzwi w kącie, znikł tam i szperał z wielkim blaszanym hałasem. Wrócił z patelnią, prymusem, garnkiem pełnym obranych ziemniaków i rozstawiwszy to częściowo na skrzyniach, a częściowo na podłodze, jął się krzątać przyrządzając posiłek. Mruczał przy tym „co by ci tu dać, co by ci tu dać...” i kręcił się dreptając, zniknął, wracał, pichcił, otoczony obłokiem spalonego tłuszczu, roztlukując i wachając jaja z nabożnie skupioną twarzą. Tymczasem Woch, pełniący jakby honory domu, zaproponował, żeby Stefan przeczekał silny deszcz na podstacji. Trzyniecki próbował pytać o znaczenie tego, co się przedtem działo, a Woch, nie bawiąc się w milczka, szeroko tłumaczył, że ochroniły ich odgromniki piorunowe, o wyłącznikach nadmiarowych i nadmiarowo-prądowych, ale Stefan, choć nic z tego nie pojął, odniósł wrażenie, że w gruncie rzeczy szło o coś całkiem innego i Woch z sobie tylko wiadomych przyczyn bagatelizuje minione niebezpieczeństwo, bo o tym, że ono było, nie wątpił, pamiętając nazbyt dobrze zachowanie obu elektryków. Na koniec Woch oprowadził go po sali, nazywając kolejno urządzenia i aparaty, a nawet pozwolił mu zajrzeć do owego odgrozonego ścianką korytarzyka, gdzie przedtem rozmawiał z Pościkiem. Był tam na ścianie rodzaj żelaznego kotła z dochodzącymi miedzianymi szynami, pod nim zaś w podłodze spory dół wypełniony żwirem, a to, jak wyjaśnił Woch, żeby zapobiec pożarowi na wypadek, gdyby się ów kocioł (będący wyłącznikiem) rozleciał wyrzucając płonący olej. — A co jest pod tym żwirem? — spytał Stefan, który usiłował zadawać rozsądne, rzeczowe pytania. Woch zmierzył go zimno oczami.

— Co ma być? Nic nie ma.

— Ach, tak.

Wrócili na salę. Na stoliku pojawiła się tymczasem nieduża flaszka czterdziestoprocentowej wódki i rozkrojony ogórek. Woch nalał do małych szklaneczek, przypił do Stefana, a potem zakorkował zaraz flaszkę i schował ją za filarek ze słowami:

— Nam wódka szkodzi.

Do sceny z burzy nie wracał już, robił się za to coraz serdeczniejszy. Na starego nie zwracał najmniejszej uwagi, jakby go w ogóle nie było; obaj ze Stefanem siedzieli przy stoliku, Woch rozwiesił na oparciu krzesła zdjętą marynarkę i został w brym swetrze, który opinał jego beczułkowatą pierś. Wyjął z kieszeni blaszane pudełko z tytoniem i bibułkami, i podsunął Stefanowi ostrzegając równocześnie:

— Mój mocny.

Stefan wziął się do kręcenia, ale długo nic z tego nie wychodziło, nareszcie sporządził pękate, a ku końcom strzępiaste wiechetko i tak do niemożliwości zaślinił papierek, że mu się wszystko rozsypało. Na to Woch, który niby nie patrzył, wziął sporą szczyptę kruchego i twardego jak wióry tytoniu, złożył grubymi palcami jednej ręki, uderzył kciukiem z góry i w mig podsunął Stefanowi brzeżek gotowego papierosa do poślinienia. Trzyniecki podziękował, pochylił się nad płomykiem zapalniczki, którą Woch w tym momencie szczęknął, omal sobie

przy tym brwi nie opalił, ale werkmistrz usunął zręcznie płomień w bok. W pierwszej chwili dym aż zatknął Stefana; lzy zakręciły mu się w oczach, lecz starał się, jak mógł, nie dać tego po sobie znać. Woch z uprzejmości udawał, że niczego nie dostrzega. Z taką samą wprawą skręcił drugiego papierosa, zapalił, zaciągnął się i milczeli obaj, aż dym nad ich głowami mieszać się jął w jeden siny pod światło kłęb.

— Pan dawno pracuje w swoim zawodzie? — zagaił Stefan trochę niepewny, czy Woch nie zbędzie tego naiwnego pytania byle czym, lecz nic innego nie przyszło mu do głowy. Werkmistrz, jak gdyby nie słyszał, palił chwilę dalej, aż naraz wyciągnął rękę i zdecydowanym ruchem umieścił ją nad podłogą.

— Tylim chłopcem poszedłem robić. Nie — tylim — sprostował obniżając rękę. — W Małachowicach. Prądu jeszcze nie było, Francuzi przyjechali turbiny łożyskować. Majster mój był człowiek rzetelny. Jak głos w kotłowni podniósł, na rampie było słyhać. Ale nie na próżno: robota nasza jest z wyrozumieniem. Na młodziaków nie krzyczał, cierpliwość okazywał i kształcił. Kto pierwszy szedł na wysokie napięcie odłączniki odkurzać, bo od tego się zaczyna, to mu zawsze pokazał przedtem pędzel z odciskami nieboszczyka, na mocną pamiętkę.

— Co to było? — nie zrozumiał Stefan.

— No, zwyczajny pędzel jak do malowania, włosiany. Takim się odkurza. Ino przewody muszą być bez prądu i bez napięcia. Kto zapomni i przewodu prądowego się tknie, to ogniem plunie i gotów. Po takim jednym pędzel był. Po wsiowym. Nie znałem go, bo to było nie za mnie, wcześniej. Odciski od palców na trzonku majster pokazywał, czarne jak węgiel. Albowiem ponieważ tamten nieboszczyk do szcztu się zwęglił. Całkowicie — tłumaczył Woch zwalniając wyrozumiale tempo opowieści dla Stefana, któremu oczy się rozszerzyły.

— To pewny sposób. Żadnem gadaniem się człowieka do naszej roboty nie wdroży. Oko, ręka — to u nas wszystko. I ciągle uważanie. Polubiłem fach. I majster mnie polubił. Po słabym elektrykarstwie na poważniejsze poszedłem. Robiłem i na sieci, zdarzało się, ale bez przekonania. Sieć nie dla mnie. Od słupa do słupa kawał, żelaza tachać, włazić, złazić, przewód naciągać i tak w koło — każdemu się sprzykrzy, więc ludzie pociągają. Ino w tym fachu wódka — radość krótka. Jedna myłka, nie ten przewód — trach i światłość wiekuista — nie spiesząc się, spokojnie, prawie pogodnie kończył Woch.

Wypalonego do połowy papierosa wetknął do ust tak, że mu, się ustnik przylepił do wargi, oswobadzając w ten sposób z nawyku ręce, choć ich w tej chwili nie potrzebował.

— Miałem kolegę Fijałka Józefa. Nic nie miał w głowie, tylko tę flaszkę. Do pracy przychodził cały zasmarowany, nie mówił, a gęgał, ale jak długo stał, robotnikiem był dobrym. Jechał tak od wypłaty do płótna w kieszeni. Pierwszą połowę miesiąca chłop jak złoto, przez drugą zły jak cholera. Raz, akurat po wypłacie, przepadł. Szukali, szukali, aż na rozdzielni go znaleźli. Położył się spać między szynami zbiorczymi na wysokim napięciu, ale pijany był, temu się nic nie stało. Delikatnie za nogi się go stamtąd wybrało. No, a potem doigrał się. Na transformatorni go dostało. Poszedłem do niego, do szpitala, a on cały w bandażach. Prosi: — Podnieś mi rękę. — Podniosłem, a tu pod pachą nic, tylko kości. Mięso całkiem odpadło. I zaraz umarł.

Woch zamilkł wydmuchując dym z papierosa. Cały był już we władzy wspomnień.

— Pogrzeb mu związek urządził, ze wszystkim. I rodzinie skąpiec nie dali. Tak było dawniej — więcej życia niż umierania. A potem, w trzydziestym, to sio zaczęły redukcje. No! Zdusił z obrzydzeniem papierosa.

— Miałem pod sobą brygadę awaryjną. To jest takie .siedzenie do nocy i czekanie. Awarie — naturalna rzecz, tu ptaka prąd spali, tam gałąź na przewody ciemnota jakaś ciśnie, jeszcze gdzieś latawcem dziecko zwarcie zrobi. No, a w trzydziestym przyszła nowość. Pierwszego samobójcę, cośmy go znaleźli, do śmierci nie zapomnę. Wziął chłopak kamień z drutem, drugi koniec uwiązał sobie do ręki i zarzucił na przewody. Czarny był, ręka odpadła, a dokoła

pełno tłuszczu się z niego wytopiło. Żeby go chociaż nie znał, ale znałem, na przetokówce robił, aż go wyrzucili, bo kawalerem był. Kawalerów pierwszych zwalniali. Dziewczęta lubiły go, bo był chłopak jak szóstka. Tak, to ludzie nie wiedzą, że elektryczność — śmierć lekka, a do tego przyuczyli się, czy co. A to prosta rzecz, specjalnie że u nas Francuzi, co linie zakładali, puścili przewody obok mostu dla pieszych. Tak przewodu mniej wyszło. Oszczędni byli. No, to tylko kamień, drut, a rzucić niedaleko.

Woch wziął w pełną garść krawędź stołu, jakby go chciał podnieść.

— Potem, jak tylko telefon na dyżurce brzdynknął, to tak się koło serca nam robiło! Za trzecim razem już cholera człowieka brała — a tu jeszcze całe miasto wiedziało. Naprzeciw naszej elektrowni był urząd pośrednictwa pracy. Wyjeżdżamy raz, a tam narodu ćma — bezrobotnych znaczy. Ktoś krzyknął: — Łapiduchy elektryczne jada! — Mój monter Pieluch jak nie wrzaśnie z góry: — Idźcie do rzeki, to nie będziemy łapiduchy! — No, jak tamci usłyszeli o tej rzece, panie! Szczęście, że się szofer zmiarkował i takeśmy uciekli. Już kamienie leciały. A tego Pielucha sam do pracy przyjąłem i całkiem niedawno. Monter był z niego żaden, ale żonę miał chora. Na to miejsce mogłem mieć stu lepszych, to mnie złość wzięła. — To ty tam tygodniami gniesz — mówię — a teraz, jak robotę powąchałeś, już kolegów do rzeki posyłasz? — A on postawił mi się. W ogóle gorący był. Od słowa do słowa, wywaliłem go na łeb. Przychodził, sklamrzył, żeby się ulitował, że nie ma co jeść, żona mu umiera, no, com miał z nim robić? Ta żona faktycznie mu umarła. Pod jesień. Jak z pogrzebu wracał, wsadził głowę przez okno — akurat dyżur miałem — i tak całkiem cicho mówi: — A żebyś pomału konał. — Nie minął tydzień, wyjechaliśmy na awarię, znów na most. Patrę, a nieboszczyk to on, panie! Upiekł się jak gęś. Jak palcem w pierś zapukać, to jak skrzypce suchy, tak upieczony.

Stary postawił między nimi dwa blaszane talerze pełne gęstej zupy, a sam przykucnął obok stolika, na skrzynce, z dymiącym garem na kolanach. Zabrali się do jedzenia — tamci powoli, rozważnie, a Stefan pierwszą łyżką poparzył sobie język. Skrył to i tylko energicznie dmuchał na następne. Gdy zjedli, znów pojawiło się blaszane pudełko z krupkami. Zapalili. Stefan żywił nadzieję, że Woch dalej będzie opowiadał, lecz werkmistrz nie zdradzał po temu ochoty. Siedział szary, masywny, nasepiony, oddychał głośno, wydmuchując dym, i opędział się monosylabami od pytań Stefana. Dowiedziawszy się, że Woch parę lat pracował jako majster w elektrowni jego rodzinnego miasta, Stefan zauważył:

— Ach, to żeby tak powiedzieć, dzięki panu miałem światło w mieszkaniu? — Chciał to podkreślić jako wąż wprawdzie, ale zawsze łączącą ich nić. Woch nie odpowiedział, jakby w ogóle tego nie słyszał. Deszcz przestał już prawie padać, tylko samotna rynna cykała za oknem rzadkimi kroplami. Stefan zwlekł z odejściem, nijako mu było rozstawać się z Wochem w powstałym nagle nastroju obcości. Rozmowa wyszła całkiem; w poszukiwaniu nowych jej źródeł Stefan podjął ze stołu zapalniczkę Wocha, lśniąca niklowaną maszynkę z wygrawerowanymi na płaskich bokach ornamencikami. Z jednej strony widniał gotycki napis „Andenken aus Dresden”. Obracając ją w palcach dostrzegł wyryte na wieczku literki „Für gute Arbeit”.

— Jaką pan ma ładną zapalniczką — powiedział przypochlebnie — czy pan w Niemczech też pracował?

— Nie — odrzekł Woch, patrząc nieobecnyimi oczami przed siebie — to tu mi szef dał.

— Niemiec? — trochę nieprzyjemnie zdziwił się Stefan.

— Niemiec — przytaknął Woch i szczególnie jakoś spojrzął na Stefana.

— Za dobrą robotę — nie tyle pytając, co z ledwo uchwytnym przekąsem podjął Stefan, choć już czuł, że ten temat nastroju na pewno nie poprawi.

— Tak, za dobrą robotę — z naciskiem, prawie zjadliwie wpadł mu w ton Woch. Teraz Stefan już zupełnie stracił rezon: łamał sobie głowę szukając jakiegoś nowego „dojścia” do Wocha, wstał nawet i z udaną swobodą przeszedł się po sali zbliżając nos do aparatów, gotów

się był narazić i na surowe ostrzeżenie o niebezpieczeństwie, byle przełamać wrogie milczenie, w którym przestał po prostu istnieć. Wszystko na próżno. Stary zebrał z brzękiem puste naczynia i wyniósł je; wróciwszy, porozumiewał się z Wochem tak jakoś po swojemu, niewyraźnymi monosylabami, że Stefan nic nie rozumiał. Woch wciąż siedział, zgarbiony, napierając ciężko piersią na stolik, elektryczność grała, z okna, uchylonego przez Pościka, ciągnął świeży chłód, nocny. Naraz drzwi z korytarzyka otwały się i wszedł młody robotnik, którego Stefan widział już dwa razy. Barki okrywała mu ciemna od wilgoci, na wylot przemoknięta wojskowa kurtka, odwrócona na lewą stronę, miedziane włosy przylepiły się do czaszki, woda ściekała mu po twarzy. Gdy stanął w progu, u jego nóg natychmiast poczęła się tworzyć mała kałuża. Choć nikt się nie odezwał, od razu stało się jasne, że był oczekiwany. Tamci porozumieli się jednym spojrzeniem, stary poczłapał w kat, a Woch, do tej pory uosobienie nieruchomości, wstał bystro od stołu i zbliżył się do Stefana ze słowami:

— To ja pana doktora na świat wyprowadzę. Można już iść.

Było to powiedziane tak prosto, bez cienia grzecznościowej obłud, że wszystkie błyskawiczne a pełne chaosu wysiłki myślowe Stefana, żeby nadać swemu odejściu jakieś pozory własnowolności, runęły. Głęboko dotknięty, wprost wściekły, dał się wywieść na dwór. Tutaj Woch wskazał mu kierunek drogi do szpitala i na jedno mgnienie jakby się w sobie zatrzymał; Stefanowi wybiegły wtedy na usta nieposkromione słowa:

— Panie Woch, ja u was, czemu tak, pan rozumie przecież, ja...

Więcej nie wiedział.

Stali w takiej ciemności, że ledwo dostrzegali majaczenie swych twarzy. Woch odezwał się niegłęboko:

— Nic takiego. Nie dać człowiekowi zmknąć — naturalna rzecz. Ino specjalnie zachodzić nie ma co, Nie, żeby akurat coś, ale tak. Pan rozumie.

Z pierwszymi słowami położył dłoń na ramieniu Trzynieckiego, bardzo lekko, nie było w tym geście poufałości, a tylko chęć zastąpienia wzroku dotykiem, bo dzielił ich mrok. Woch mówił bez nacisku, ale jakoś znacząco. Stefan, nie rozumiejąc, wyrzucił pospiesznie:

— Tak, tak, no, to dziękuję i dobranoc — poczuł krótki uścisk ręki i zawróciwszy ruszył prosto przed siebie.

Brnął pod górę gliniastym zboczem, w porywach wiatru niosącego pojedyncze krople. Cały był gorący od przygody, która kilkoma godzinami zaćmiła w nim miesiąc szpitalnego bytowania. Gniew na Wocha, dotkliwy na podstacji, rozwiął się już przy pożegnaniu w ciemnościach, a teraz tlił w nim tylko żal do samego siebie, że się tak głupio zachowywał, choć cóż właściwie mógł robić innego, jak stawiać naiwne pytania? Był tam jak dziecko usiłujące poznać zagadkowe zajęcia dorosłych. Gdy łudził się, że dopuszczono go do pierwszego wtajemniczenia, został wyproszony za drzwi. Była chwila, w której zapragnął wrócić i podglądać tamtych trzech przez okno. Tego nie ważyłby się oczywiście zrobić, lecz sam pomysł świadczył o stanie jego ducha. Mówił sobie, że na podstacji nie dzieje się na pewno nic osobliwego, tamci pójdać spać, a Woch będzie siedział w ostrym świetle lamp między aparatami, czasem wstanie, spojrzy na jakiś zegar, zapisze coś na pokratkowanym arkuszu, znów usiądzie; było to jałowe i nieciekawe, dlaczego więc jego myśl wciąż wracała do tego kręgu milczącej, monotonnej pracy? Po omacku odnalazł wilgotny, zimny zamek wielkich drzwi wejściowych, długo chrobotał w nim kluczem, na oślep przeszedł ścieżką, bielejącą słabo wapiennym tłuczniem w czerni trawników, i po chwili znalazł się w swoim pokoju. Rozebrał się pospiesznie nie zapalając światła i szybko skoczył pod kołdrę; dotykając chłodnej pościeli wyziębłym ciałem, poczuł, że niełatwo uśnie. Nie omylił się.

Ze wszystkich ludzi, jacy zachodzili do pracowni-warsztatu ojca, najbardziej ciekawili go jako chłopca robotnicy — ślusarze, tokarze, monterzy, wykonujący na zamówienie różne części mechanizmów. Zarazem bał się ich trochę, tacy byli inni od wszystkich znajomych. Zawsze cierpliwi, wysłuchiwali ojca w skupionym milczeniu, rysunki techniczne brali do rąk

ostrożnie, prawie z szacunkiem, ale pod tą ich uważną grzecznością czuło się jakieś zamknięcie, jakąś twardość. Stefan zauważył, że ojciec, lubiący przy stole rozprawiać o ludziach, z którymi się stykał, o znajomych robotnikach nie wspominał zupełnie, jakby w przeciwieństwie do inżynierów, adwokatów czy kupców pozbawieni byli cech osobistych. ..Wysnuł stąd wniosek, że ich życie („prawdziwe życie” — jak je nazywał) okryte jest tajemnicą. Jakiś czas łamał sobie głowę nad zagadką tego „prawdziwego życia”, potem uznał ten pomysł za głupotę i zapomniał o nim. Teraz, gdy czuwał w nocy zapatrzony w ciemność zaokienną, wspomnienie to wychynęło naraz z niepamięci. A więc był w tym rojeniu chłopięcym sens, było, istniało to prawdziwe życie ludzi takich jak Woch!

Gdy stryj Ksawery propagował ateizm, Anzelm gniewał się, ojciec robił wynalazki, a on sam czytał filozofów i rozmawiał z Sekułowskim, czytał i gadał na przemian miesiącami, by poznać „prawdziwe życie” — ono utrzymywało cały ich świat, dźwigało go niczym Atlas, niezauważalnie jak grunt pod nogami... Pomyślał, że mitologizuje, bo istnieje przecież wymiana usług i wzajemna zależność społeczna; Anzelm zna się na rolnictwie, Sekułowski pisze, on i stryj Ksawery leczą... zaraz jednak uświadomił sobie, że gdyby oni wszyscy znikli, nic by się prawie nie zmieniło — natomiast bez Wocha i takich jak on świat nie mógł istnieć.

Odwrócił się na łóżku i z niejasnych dla samego siebie pobudek impulsywnym ruchem przekręcił kontakt. Lampa na nocnym stoliku zapłonęła — nic oczywistego, a jednak w tej chwili światło wydało mu się symbolem, był to jakby znak, mówiący, że Woch czuwa. W tym żółtym świetle, wypełniającym bezosobowo pokój, było coś uspokajającego, zapewniającego swobodę wszelakich zająć i rozmyślań; póki ono płonęło, można było bezpiecznie roić o wszystkich innych od istniejącego światach.

— Trzeba spać — uznał. — I tak niczego nie wymyślę. — Sięgając powtórnie do kontaktu dojrzał otwartą książką na stoliku, pierwszy tom „Lorda Jima”, który właśnie czytał. Dłoń, skierowana ku lampie, przekręciła wyłącznik i znów otoczyła go ciemność. Przez nagłe skojarzenie pomyślał, czy Woch przeczytałby tę książkę, ale to było takie niemożliwe, że uśmiechnął się w mrok skrzywieniem ust. Woch nie wzięłby takiej książki do ręki, za problemem „Lorda Jima” nie potrzebował wyprawiać się w oceany, wzgardziłby Conradowskim rozstrzygnięciem na papierze, bo jam rozstrzygał tak w rzeczywistości: O tym, wiele to go kosztowało, jakie cierpienia i troski towarzyszyły pilnowaniu prądów elektrycznych, nic nie było wiadomo. Bardzo to było szczęśliwe, że „prawdziwe życie” chroniąc światło lamp niczym nie mąciło go ani zakłócało. Lepiej też było nie sięgać do niego ani się nadmiernie nad nim zastanawiać, bo to utrudniało zasypianie.

Bieg myśli Stefana rozluźnił się. Pod zamkniętymi powiekami zamajaczyła podniebna przestrzeń z domkiem, do którego wdzierały się pioruny wszystkich burz; zobaczył posępną, szarą twarz Wocha, jego grube race gasnące jak w blasku wyładowań — a potem już nic więcej.

## POKAZ MARGLEWSKIEGO

W rozgrzanych dniach lipca sanatorium nasyciło się przybyszami czasu wojny i powstała równowaga między napływającymi a ozdowieńcami. Słońce stawało w południe pionowo, okalając krępy cieniem drzewa wewnętrznego ogrodu, w którym włóczyli się porozbierani do ostateczności chorzy. Wieczorami urządzano im prymitywny natrysk przy pomocy pompy. Kłaniał jej się sennie sanitariusz, zwany Józefem starszym, wielki chłop o starej twarzy i młodym ciele.

Stefan, siedząc w ambulatorium roziskrzonym okruciami słońca jak palnik lampy kwarcowej, zapisywał do książki przyjęć nowego przybysza, eks-więźnia obozu. Dziwnym trafem otworzyła się przed nim brama, odmykająca się ponoć tylko w jedną stronę. Marglewski, który przechodził korytarzem, zajrzał i zainteresował się przypadkiem.

— Fiu—fiu, ładna kacheksja — rzekł kładąc rękę na głowie kostropatego, maleńkiego człowieczka, który w łśniącym białym pokoju wyglądał jak kupa łachmanów. Siedział nieruchomo na obrotowym stoiku, od oczu ku brodzie nacinały policzki dwie skośne bruzdy, gubiąc się w zaroście.

— Debil, co? Idiota, co? — dopytywał się Marglewski, wciąż trzymając rękę na głowie nędzara. Stefan, oderwany od pisaniny, spojrział na niego nieprzytomnie i ocknął się.

Po odmrożonych do fioletu policzkach siedzącego spłynęły dwie grube, bardzo jasne łzy i zgubiły się w brodzie.

— Tak — powiedział — idiota.

Wstał, rzucił papiery w kąt biurka i poszedł do Sekułowskiego. Zaczął dość niezgrabnie, że zmienił pewne zapatrywania, że nadchodzi czas, w którym trzeba pozbyć się części zetlałego bagażu intelektualnego.

— Niektóre ujęcia są już przestarzałe — mówił starając się olukrować wyznanie; cynizmem. — Właśnie teraz przeżyłem małą katharsis...

— Woydziewicz częstował mnie w ubiegłym roku wiśniówką, która wywoływała prawdziwą dużą katharsis... podejrzewam, że dosypywał kokainy — rzeki Sekułowski, a widząc minę Stefana dodał:

— Ależ mów pan, doktorze, ja słuchani. Pan jest szukającym i doskonale pan trafił. Dom wariatów zawsze był wyciągiem duchowym epoki. Wszystkie skrzywienia, garby psychiczne i dziwactwa tak są rozpuszczone w normalnym społeczeństwie, że trudno je uchwycić. Dopiero tu, w koncentracji, ukazują jasno oblicze swoich czasów. Oto muzeum dusz...

— Ależ nie, nie o to chodzi — rzekł Stefan i raptem poczuł się straszliwie samotny. Przez chwilę szukał słów, ale nie znalazł ich.

— Nie, właściwie nic... — bąknął, cofnął się i spieszenie wyszedł, jakby się bał, że poeta zatrzyma — Sekułowskiego zaabsorbował jednak pajak wyłazący zza łóżka po ścianie; cisnął weń książką, jaka mu się nawinęła, a gdy spadła z trzaskiem na podłogę, długą chwilę patrzył na kleks trzepocący nitkowatą nogą.

Wracając galerią Stefan zetknął się z Marglewskim, który zaprosił go do siebie.

— Dostałem flaszeczkę „Extra Dry” — powiedział — może zajdziecie do mnie? Przepluczemy się.

Stefan odmówił, lecz Marglewski uważał to za grzecznościowe wzdrygnięcie.

— Ale, ale, chodźcie, nie ma o czym mówić.

Mieszkanie Marglewskiego znajdowało się na tym samym piętrze co Stefana, tylko na przeciwnym końcu korytarza. Pokój doktora zastawiały świecące meble: biurko ze szklaną płytą, z jednej strony opartą na graniastosłupie szuflad, z drugiej na wygiętych stalowych rurach, które stanowiły również konstrukcję fotelików. Przypominały Stefanowi poczekalnię dentyścianą. Parę obrazków na ścianach było w dętych ramach metalowych. Dwie ściany



zajmowały książki ustawione pedantycznie, każda z białym numerkiem na grzbiecie. Gdy Marglewski nakrywał niski stolik serwetą, Stefan, stojąc przy półkach, machinalnie wyciągnął jeden tomik i przerzucił go. Natrafił na „Prowincjałki” Pascala, nie rozcięte prócz dwu pierwszych kartek. Gospodarz wysunął szufladę z nowoczesnej komódki: ukazały się kanapki na białych talerzykach. Po trzeciej kolejce stał się rozmowny. Wódka podkreśliła zwykły Marglewskiemu sposób mówienia, ilustrowany gestami. Kiedy opowiadał, że splamił płaszcz, który trzeba wyprać, zacierał ręce ruchem praczki. Jakby dyrygując, pokazywał Stefanowi liczne skrzynki z kartotekami, ustawione wzdłuż parapetu. Kolorowe koniki spinały duże kartonowe arkusze. Jak się okazało, pracował naukowo. Niby od niechcenia przekładał pękate teczki z manuskryptami: analizował w nich działanie kamieni moczowych Napoleona na wynik bitwy pod Waterloo, dociekał, jaki wpływ miała fermentacja zapuszczonych hormonów na zbiorowe widzenia świętych — tu zakreślił sobie palcem kółko nad głową, co miało wyobrazić aureolę, i roześmiał się. Żał mu trochę było, że Stefan nie wierzy. Szukał naiwnych, czystych, pograżonych w dogmatyce. Potrzebował ich jak brudny ręcznika. Prawił:

— Kolega przesiaduje przecież u Sekułowskiego? Spytajcie go, dlaczego literatura tak buja? Kochany kolego, niejedna miłość rozbiła się tylko przez to, że facet potrzebował pisu, a wstydział się pannie powiedzieć, więc zasymulował nagłą tęsknicę samotności i odszedł hen, w krzaki. Sam znam taki jeden przypadek...

Stefan z nudów raczej niż z ciekawości sięgał do rozwartych kartotek. Między sztywnymi okładkami piętrzyły się równo ułożone sterty arkuszy zasypanych, maszynowym pismem. Tymczasem Marglewski wciąż mówił, ale jakoś chaotyczniej, jakby myślał o czymś innym. W pewnej chwili Stefan ułowił jego wyostrzone, zimne spojrzenie. Kiedy tak siedział zgarbiony, z wysuniętym, jakby wężącym czujnie nosem, wydał się Stefanowi podobny do starej panny, która ma ochotę zwierzyć się ze swego jedyne go upadku.

Rozpoczął wstępem tak bornbastycznie przetkanym łaciną, że Stefan nic nie rozumiał. Nerwowe, chude palce Marglewskiego pieściły niecierpliwie politurowane wieko skrzynki, zanim ją wreszcie otworzył. Trzyniecki, zaciekawiony, zerknął do środka: na wierzchu leżała długa lista, jakby spis rzeczy. Odczytał urywek: „Balzak — psychopata hipomaniakalny, Baudelaire — histeryk, Chopin — neurastenik Dante — schizoid, Goethe — alkoholik, Hölderlin — schizofrenik”...

Marglewski uchylił rąbka tajemnicy. Porwał się na wielkie dzieło o ludziach genialnych, miał nawet zamiar ogłosić je we fragmentach, niestety, wojna przeszkodziła...

Zaczął rozkładać wielkie karty z wyrysowanymi drzewami genealogicznymi. W miarę jak mówił, rozpalał się, na policzkach wystąpiły mu ciemniejsze plamy. Wyliczał zbrodnie, zamachy samobójcze, oszustwa i kompleksy psychoanalityczne wielkich ludzi z pasją, która nasunęła Stefanowi myśl, że być może sam cierpi na jakąś nienormalność i tym wątpliwym rodzajem powinowactwa pragnie się wkupić do rodziny geniuszów. Z największą skrupulatnością zbierał opisy wszelkich potknięć życiowych wielkich ludzi, badał i selekcionował ich niepowodzenia, tragedie, nieszczęścia, zawody życiowe. Odnaleziony w papierach pośmiertnych najlżejszy ślad jakiejś nieprawości czy nawet tylko jej domysł — napawał go nie ukrywaną radością. W pewnej chwili, kiedy rzucił się do najniższej szuflady biurka i latającymi rękami przerzucał skrypty, żeby pokazać jakąś najnowszą zdobycz, Stefan skorzystał z przerwy.

— Mnie się zdaje — powiedział — że wielkie dzieła powstają nie dzięki obłędowi, lecz mimo niego...

Pożałował tego, gdy spojrzał na Marglewskiego. Ten zadarł głowę znad papierów, patrząc oczami jak szparki.

— Pomimo...? — powiedział szyderczo. Z rozmachem zebrał rozsypane papiery, wyrwał niemal Stefanowi sprzed nosa rozpustarte plansze, nerwowo ciskał je do segregatorów. Zwrócił się do gościa, dopiero gdy Skończył.

— Drogi kolega jest jeszcze niedoświadczony — powiedział zaplatając ręce. — Ostatecznie nie żyjemy w czasach renesansu, zresztą i wtedy nie przemyślane działanie mogło pociągnąć za sobą fatalne skutki... Pan na pewno nie ogarnia... jednakże to, co subiektywnie może być usprawiedliwione, przestaje nim być wobec faktów.

— O czym pan mówi? — spytał Stefan sztywniejąc. Marglewski nie patrzył na niego. Pocierał o siebie duże, chude palce i spoglądał na nie uporczywie. Wreszcie rzekł:

— Pan chodzi dużo na spacer... ale ci elektrycy bierzynieccy... ten ich murowaniec... To może ściągnąć na szpital nie tylko odium złej sławy, ale Bóg wie co! Już nie chodzi o to, że oni tam chowają jakąś broń, ale ten młody, ten Pościk, to przecież bandyta, najzwyczajniejszy bandyta.

— Skąd... skąd pan wie...? — wyrwało się Stefanowi.

— Mniejsza o to.

— To nie może być!

— Nie może być? — sucha nienawiść patrzyła na Stefana z okrytych szklami oczu Marglewskiego. — A o Polsce podziemnej pan słyszał? o rządzie londyńskim?! — wypalił świszczącym szeptem, a jego wielkie ręce przy każdym słowie podrygiwały z lekka, chodząc po białym fartuchu. — Tu, w lasach, armia zostawiła we wrześniu broń. Zaopiekował się nią ten, ten... Pościk! Gdy zażądano, by wskazał miejsce, odmówił! Powiedział, że zaczeka na bolszewików!

— Tak powiedział...? Skąd pan to wie? — bezsilnie powtórzył Stefan ogłuszony nieoczekiwanym zwrotem rozmowy i podnieceniem Marglewskiego, który cały aż się trząsał.

— Nie wiem! Nic nie wiem! Nie mam z tym nic wspólnego! — wybuchnął tamten, wciąż w diapazonie palącego szeptu. — Wszyscy o tym wiedzą oprócz pana! oprócz k o l e g i !

— Więc pan mówi, żeby tam nie chodzić...? — Stefan wstał. — Prawda, że raz jeden przypadkowo, w czasie burzy...

— Nic nie mówię! — przeciął mu Marglewski także wstając, a raczej zrywając się z miejsca. — Najuprzejmiej proszę was, abyście o tym na zawsze zapomnieli! Ja tylko uważałem za swój koleżeński obowiązek — a wy zrobicie z tym, co uznacie za właściwe, ale podkreślam, wyłącznie w obrębie własnych myśli!

— Oczywiście... — rzekł powoli Stefan. — Jeżeli pan doktor sobie tego życzy... Nikomu nie powiem.

— Dajcie na to rękę!

Ociągając się, Stefan podał mu dłoń. Zdumiony był całym zdarzeniem, a w tej chwili najbardziej może trwogą, jawną trwogą Marglewskiego. Czyżby chudzielec wygadał się niechcący? A ten gniew? Czyżby miał coś wspólnego z podziemiem? Jakiś, jak się to mówiło — kontakt...?

Wyszedł w najgłębszym pomieszeniu i rozterce. Upał był taki, że krocząc korytarzem pawilonowym co chwila ocierał pot zbierający się na czole. Mijając klozet usłyszał za drzwiami gwałtowny wybuch śmiechu. Głos wydał mu się znajomy. W następnej chwili drzwi uchyliły się i zataczając się od chichotu, który wstrząsał nim jak czkawka, wytoczył się stamtąd Sekułowski w spodniach pidżamowych. Na jasnych włosach piersi drżały mu kropelki potu.

— Może mi pan zdradzi powód tak dobrego humoru? — spytał, Stefan mrużąc oczy od blasku, który przedostawał się przez szklany dach do korytarza i, rozłamany w tęczę, wielokrotni! się na ścianach.

Sekułowski, oparty o mur, łapał dech.

— Doktorze... — wykrztusił wreszcie. — Doktorze... to ta ku... ha ha ha... nie mogę... Bo mi się przypomniały nasze dysputy u... uczone... fenomeny... filozofia... Upaniszady... gwiazdy... duch i niebiosy, a kiedy popatrzę na kupę, to... nie mogę! — wybuchnął znowu śmiechem. — Co za duch? Kim jest człowiek? Kupa! Kupa! Kupa!

Wysiąkawszy swoje, bo wciąż chwytaly go drgawki z uciechy, poeta odszedł, wstrząsany nawracającym śmiechem. Stefan bez słowa poszedł do swego pokoju. Sekułowski przeklecie go zdenerwował. — Takie odkrycia robi, teraz! — myślał. Był w ciężkim kłopotcie. Wychodząc od Marglewskiego chciał pójść na podstacę i powiedzieć Wochowi, żeby się miał na baczności. Przyrzeczenie nic dlań nie znaczyło, jeśli jego dotrzymanie mogłoby narazić elektryków, od razu jednak zrozumiał, że nie pójdzie. Przed kim miał właściwie przestrzec Wocha? Przed Marglewskim? Nonsens. Więc co: powiedzieć mu, że ukrywa broń? Ale jeśli to prawda, Woch wie o tym lepiej od niego, Stefana.

Przez kilka dni łamał sobie głowę obmyślając coraz zawilsze sposoby powiadomienia Wocha, by się miał na baczności: jakieś anonimowe kartki, to znów wywabienie werkmistrza na nocną rozmowę, ale w tym wszystkim nie było za grosz sensu. W końcu nie zrobił nic. Na podstacę nie chodził, uważał, że zobowiązał się do tego wobec Wocha, ale teraz znów począł krążyć w jej okolicy. Niespodziewanie wczesnym rankiem któregoś dnia dostrzegł na szczycie jednego z najwyższych wzgórz starego Józefa. Sanitariusz siedział na trawie bez ruchu, jakby pochłonięty malowniczością widoku, ale nie był to w oczach Stefana człowiek zdolny do rozkoszowania się pięknem natury. Obserwował go ukradkiem czas jakiś, wreszcie, niczego się nie dowiedziawszy, odszedł. Dochodził już do sanatorium, gdy błysła mu myśl, że Józef mógł być informatorem Marglewskiego. Stykał się z chłopami, a na wsi nic się nie ukryje — zarazem pracował na oddziale Marglewskiego i chudy lekarz na swój zgryźliwy sposób dopuszczał go do pewnej konfidencji. Chociaż, co mógł mieć Józef wspólnego z rządem londyńskim? Wszystko to wyglądało bardzo niezrozumiale, szczegóły nie wiązały się w żadną całość, ale Stefan odczuł ponownie chęć ostrzeżenia Wocha. Za każdym jednak razem, gdy sobie wyobrażał konkretnie rozmowę z werkmistrzem, tracił odwagę.

W tych dniach zaszły w sanatorium nowe wydarzenia. Stefan z zainteresowaniem śledził to, co się działo w mieszkaniu przylegającym do jego pokoju. Dotąd puste, miało obecnie otrzymać nowego lokatora w postaci profesora Romualda Łądkowskiego, byłego rektora uniwersytetu. Uczony ten, znany z badań w dziedzinie elektroencefalografii daleko za granicami Polski, od osiemnastu lat kierownik kliniki psychiatrycznej, został usunięty przez Niemców ze swego stanowiska. Obecnie przybywał nieoficjalnie do sanatorium jako gość Pajączkowskiego. Adiunkt jechał sam kilka razy na dworzec, aby honorowo eskortować kolejno przybywający bagaż profesora. Łądkowski zjawił się nazajutrz. Zadyszany Józef latał na górę i na dół, przynosząc to drabinę, to drąg jakiś, to wytrzegane dywany.

Przez cały dzień zza ściany dobiegał Stefana stuk młotka, szuranie wielkich skrzyń i łomot ustawianych mebli. Lekarze przyjęli fakt wprowadzenia się Łądkowskiego dość obojętnie. W czasie obiadu panowało milczenie, akcentowane zaciekle bzykaniem much. Stefan zasłonił swoje okno płatem wilgotnej gazy, usiłując w ten sposób ochłodzić suchy żar powietrza, i rozwalony na łóżku kartkował podręcznik psychologii. Oglądając fotografie obcych ludzi jasno uświadamiał sobie, że są to warianty tego samego typu, obracające jego poczucie niepowtarzalnej jedyności swoim masowym istnieniem. Proste przesunięcie zasadniczych proporcji stanowiło o różnicach indywidualów: jedna twarz skupia się przy oczach, druga raczej w okolicy szczęk, w trzeciej dominują policzki. Przebywając w mieście Stefan lubił wyobrażać sobie twarze idących przed nim ludzi, najczęściej kobiet. Ulice, te ruchome zbiory twarzy, pozwalały kontynuować grę. Znienacka zjawił się Pajączkowski zakłócając te rozważania. Zainteresował się lekturą „szanownego kolegi”, potem przeszedł na swój ulubiony temat.

— No, pan tego już nie zobaczy — mówił z melancholią — niestety, takiego wielkiego, klasycznego ataku histerycznego z 1'arc de cercle już się teraz nie spotyka. Pamiętam, u Charcota w Paryżu...

Wzruszył się.

Widocznie dostrzegł nikły grymas warg Stefana, gdyż dodał:

— No, w pewnym sensie to niby dobrze, chociaż histerię mamy nadal. Myślę, że po prostu prądy psychiczne utorowały sobie nowe ko... ryto. Aha... co to chciałem powiedzieć?

Stefan czekał na to od początku, gdyż odwiedziny zapowiadały coś niezwykłego. Pajpak jął mu tłumaczyć, że Łądkowski — to sława, jego przyjaciółmi są Lashley i Goldschmidt w Ameryce, a teraz oto wyrzucili go Niemcy na bruk. — Na bruk... — powtórzył łamiącym się z przejścia głosem.

— Trzeba więc, abyśmy mu w zamian... nieprawdaż... co w naszej mocy...

Prosił, by Stefan złożył wizytę rektorowi, gdy przyjdzie jego kolej.

Obchodził tak wszystkich lekarzy sanatorium.

Pierwszego wieczoru udali się celem „złożenia listów akredytujących”, jak się wyraził Marglewski: on, Pajączkowski i Kauters, jako starsi. Na drugi dzień — Nosilewska z Rygierem. Wreszcie Staszek i Stefan na trzeci. Krzeczotek mrucał o dyluwialnych obyczajach: niby wszyscy równi, niby pracują razem, niby w obliczu wroga jedność, a jak przychodzi do głupiego składania wizyt, to trzeba się ustawiać według wieku i urzędu.

Stefan odkrył na dnie walizki jakiś okropnie czarny krawat, jego plamy zakrył marynarką i wyruszyli.

Łądkowski przypominał chudego lwa bez szyi. Guzowata głowa w srebrnych lokach, w nozdrzach pęczki włosów, nos jak załamany kartofel, twarz w gwałtownych i nierównych spadach, ze ściętym skośnie okapem brwi siwych i tak lekkich, że chygotały przy każdym ruchu. Od wygolonego gładko podbródka szły w dół zmarszczki, napięte jak struny. Profilem przypominał nieco Sokratesa.

Stefan, który widział już w obrębie budynku kilka lekarskich mieszkań, ciekaw był profesorskiego, co prawda urządzonego naprędce, ale przecież furmanka sześć razy jeździła na dworzec i z powrotem.

Od samych drzwi do ściany szły półki, środkiem zakłębnięte pod masą zwalistych tomów. Niemal wszystkie tomy oprawne czarno, ze złotymi wyciskami. Olbrzymie foliały pism fachowych zajmowały piętra najniższe. Gdzieniedzie jak niespodzianka świecił jakfś tomik żółty lub zielony. Skosem ku oknu stało biurko, którego przedni brzeg zastawiał murek podręczników. Surowość tej prawie pustelni łagodziły liczne dywany: jeden, trawiaste wysoki, leżał rombem pod stopami wchodzących, inny, rodzaj małego arrasu, stanowił tło sylwetki Łądkowskiego.

Przywitali się mamrocząc coś czołobitnie. Profesor umiał rozmawiać żywo, niby o wszystkim, w gruncie rzeczy o niczym. Wyszło na to, że przyszli do niego po radę ł światło. Przez cały czas wypytywał ich o prace, zainteresowania, oczywiście wyłącznie od strony fachowej, starannie omijając sprawy stosunków sanatoryjnych. W jego zachowaniu była prosta, szeroka równość. Właśnie przez to powstawał olbrzymi dystans. Jakaś łaskawość dałoby się sprowadzić do zera własną, wewnętrzną hardością. Stefan poczuł się jeszcze mniejszy, kiedy spojrzał na dwie głowy z brązu stojące na krańcach niskiej półki: Kant i człowiek neandertalski. Ze zdumieniem spostrzegł, że choć w bulwiastej czaszce i ogromnie sklepionych oczodołach neandertalczyka kryła się dzikość, nieobecna w drugiej głowie, obie cechowała wielka, umęczona samotność, jakby skupiały w sobie życie i śmierć całych generacji.

Na ścianach wisały portrety: Lister z bajronicznym smutkiem w opuszczonym wzroku, Pawłów — zamasyście do przodu podana broda, twarz o rysach okrutnie ciekawego dziecka, i Emil Roux — starzec zniszczony bezsennością.

Uznawszy, że młodzi odsiedzieli swoje, profesor z niesłychanym taktem zaaranżował wymianę ukłonów i krótki, lecz ciepły uścisk ręki, tak że trochę rozchwiani znaleźli się na korytarzu niemal wbrew sobie.

— Psiakrew! Wielki człowiek! — rzekł z zastanowieniem Stefan. Nabrał ochoty do wielkiej, zasadniczej rozmowy z gatunku tych, które podważają fundamenty świata, lecz

partner najzupełniej zawiódł. Sprężystość, którą Krzczotek okazywał wobec Łądkowskiego, znikła. Wyglądało, jakby na czas wizyty pozostawił swoje nieszczęście przed drzwiami profesora. Teraz wdziawał je z powrotem. Nosilewska doskwierała mu jak nigdy. Opalona, obojętnie grzeczna, odpowiadała na tragiczne pytania jego spojrzeń uśmiechem, który nic nie znaczył, zawsze była lekarzem, gotowa uznać zaczerwienie za napływ krwi do głowy, a bicie serca za objaw ucisku ze strony żołądka. Nabita jak akumulator kobiecością, męczyła go każdym ruchem. Nie śmiał się jednak odezwać: milczenie obdarzało go resztką nadziei, tkwiącej w niepewności. Stefan od dawna już był przy nim czynnym pocieszycielem z zasadami i pełnił tę służbę sumiennie, niekiedy delektując się nawet jej finezjami. Czasem wprowadzał dysonanse, wybuchając po jakimś zwierzeniu Staszka hałaśliwym śmiechem czy walać przyjaciela w łopatkę, lecz natychmiast się powściągał.

Lipiec sfrunął z kalendarza. Dni sierpnia jak gorące, złote renety wpadały w krótką, gwałtownie ugwieżdżoną ciemność. Po wieczornej burzy, gdy drzewa wstrząsane dreszczem grzmotów uspokoiły się i stały w zapadającym mroku ciężkie od wilgoci, zjawił się u Stefana uroczysty Marglewski: zorganizował zebranie naukowe z pokazem chorych.

— Bardzo będzie ciekawe — mówił. — Zresztą nie chcę uprzedzać faktów. Sam kolega zobaczy.

A właśnie tego wieczoru Stefan zaprosił do siebie Nosilewska — chciał przełamać niezdolne niezdecydowanie Staszka. Znów impreza spaliła na panewce.

W bibliotece ustawiono już rzędami czerwonym pluszem obite foteliki. Pierwszy przyszedł Rygier, po nim Kauters, Pajączkowski, Nosilewska, wreszcie Krzczotek. Kiedy się zdawało, że czas rozpocząć i wszyscy z oczekiwaniem patrzyli na Marglewskiego krzątającego się przy wysokim pulpicie z papierami, wszedł Łądkowski. Było to prawdziwą niespodzianką. Starzec skłonił się od progu, potem zapadł w wielki fotel, który Marglewski umyślnie przygotował dla niego najbliżej podium i, splótłszy ręce na piersiach, zamarł w bezruchu. Pragnąc wynagrodzić Staszкови zawód, Stefan manewrował fotelami póty, póki wziął Nosilewską między siebie i przyjaciela. Prelegent stanął za szafką pulpitu, odchrząknął i, posegregowawszy karteczki, ogarnął obecnych błyskiem stalowych okularów.

Odczyt jego — powiedział — jest właściwie doniesieniem tymczasowym, przeglądem niezupełnie jeszcze opracowanych materiałów, odnoszących się do specyficznego wpływu, jaki niektóre stany chorobowe psychiki wywierają na umysł ludzki. Chodzi o objaw, który można by nazwać tęsknotą ozdrowieńca za minionym obłędem; dotyczy to zwłaszcza ludzi prostych, nieinteligentnych, którym schizofrenia zsyła wzbogacające ich wewnętrzne życie stany ekstatyczne; tacy chorzy, wyleczeni, czują żal za chorobą...

Marglewski mówił z dyskretnym, sardonicznym uśmiechem zaplatając i rozplatając palce. W miarę jak wchodził w temat szeleszcząc karteczkami, unosił się. Połykał końcówki, sypał łaciną, budował ogromnie ryzykowne zdania, starając się nie zaglądać do notatek. Stefan obserwował z zaciekawieniem piękną linię łydki Nosilewskiej (założyła nogę na nogę). Od dobrej chwili nie śledził już wywodów Marglewskiego. Dawał się raczej kołysać falującej powierzchni jego głosu. Wtem prelegent cofnął się od pulpitu.

— Teraz zademonstruję kolegom ozdrowieńca przejawiającego ów, jak go nazywam, żal za obłędem. Proszę! — zwrócił się energicznie w stronę otwartych bocznych drzwi. Wyszedł stamtąd stary człowiek w wiśniowym płaszczu szpitalnym. W ciemności za uchylonymi drzwiami białawą plamą majaczył fartuch czekającego na korytarzu sanitariusza.

— Blżej proszę, bliżej! — powiedział ze źle udaną życzliwością Marglewski. — Jak się nazywacie?

— Łuka Wincenty.

— Jak dawno jesteście w szpitalu?

— Dawno... bardzo dawno. Może rok? Pewnie rok.

— Co wam było?

— Go było?

— Dlaczego przyszliście do szpitala? — powściągnąwszy zniecierpliwienie spytał Marglewski. Stefanowi przykro robiło się od oglądania tej sceny. Widać było, że Marglewskiego nic nie obchodzi ów człowiek; chciał tylko wydobyć z niego potrzebne zeznanie.

— Syn mnie przywiózł.

Nagle stary zmieszał się i opuścił oczy. Kiedy je podniósł, przemieniły się. Marglewski obliznął wargi i wyciągając łakomie szyję, z oczami utkwionymi w żółtej twarzy chorego, równocześnie dał ręką krótki oznajmiający znak widzom, niczym dyrygent, który wydobywając czyste solo z instrumentu nie zapomina o reszcie orkiestry.

— Syn mnie przywiózł — pewniejszym głosem powiedział stary — bo... widziałem...

— Coście widzieli?

Człowiek zamachał rękami. Potem grdyka dwa razy ruszyła mu się w wyschłej szyi. Widać było, jak stara się mówić. Kilka razy zaczynał podnosić obie ręce dla zilustrowania słów, ale nie zostały wypowiedziane i nie dokończył ruchu.

— Widziałem — powtórzył wreszcie bezradnie. — Widziałem.

— Piękne to było?

— Piękne.

— No więc coście takiego widzieli? aniołów? Pana Boga? Matkę Boską? — szybko, rzeczowo pytał Marglewski.

— Nie... nie... — kolejno przeczył człowiek. Potem obejrzał własne, blade ręce. Patrząc na nie odezwał się cicho i powoli:

— Ja nieuczony... nie umiem. Zaczęło się, jak szedłem z sianokosów, gdzie jest obejście Rusiaków. Tam to przyszło na mnie. Te wszystkie drzewa tam w sadzie... wiecie, panie, i stodoła... jakosi przemieniły się.

— Powiedzcie wyraźniej, co to było?

— Tam się przemieniło, koło Rusiakowego obejścia. Niby tak samo, a inaczej.

Marglewski zwrócił się błyskawicznie w stronę sali. Szybko i wyraźnie, jak aktor mówiący na stronie, rzucił:

— To schizofrenik z rozpadem funkcji psychicznych, całkowicie wyleczony...

Chciał jeszcze coś powiedzieć, lecz stary przerwał mu:

— Widziałem... tyle... tyle widziałem...

Zająknął się. Krople potu występowały mu na czoło. Tarł uporczywie kciukiem nasadę włosów na skroni.

— No, dobrze, dobrze. Już wiemy. A teraz nic już nie widzicie, co?

Ten opuścił głowę.

— Jesteście zdrowy? No, mówcie!

— Nie, nie widzę — przyświadczył pokornie i jakby się trochę zmniejszył.

— Proszę uważać! — rzucił Marglewski w stronę widzów i podchodząc całkiem blisko do starego mówił do niego powoli, z naciskiem, umyślnie rozdzielając słowa:

— Nie będziecie już widzieli. Jesteście zdrowy, pójdziecie wnet do domu, bo nic wam nie brakuje, nie dolega. Rozumiecie? Wróćcie do syna, do rodziny...

— To ja już nie będę widział...? — powtórzył stary stojąc bez ruchu.

— Nie. Jesteście zdrowy!

Starzec w wiśniowym płaszczu okazywał strapienie, więcej — rozpacz tak widomą, że Marglewski cały zajaśniał. Cofnął się o krok nie chcąc własną osobą tłumić wywołanego wrażenia i tylko drobnym ruchem przyciągniętej do piersi dłoni wskazywał stojącego przed nim człowieka.

Ten załamał nagle dłonie, aż chrupnęło i ciężkim krokiem podszedł do pulpitu. Oparł on

duże kwadratowe ręce, z których choroba zmyła opaleniznę i wżarty w zgrubiałą skórę brud. Tylko papierowo-żółte modzele jak sęki w drzewie świeciły na garściach.

— Panowie... — powiedział jakimś zająkliwym, cienkim głosem — a nie można to zrobić... Czemuście to, panowie, ze mną robili? Już ja tam... że to tak mną ciepło na wszystkie strony, ten lektryk czy jak... ale żeby to ja mógł — zostać... Toż w chałupie bieda aż piszczy, syn na cztery gęby robić nie wystarczy, jakże mnie tam? Żeby to robić mógł — tak, ale ręce, nogi nie słuchają. Jaki ze mnie pożytek? Niedługo mi już, byle czym się pożywię, ino ostawcie mnie tu, ostawcie...

W miarę tego przemówienia twarz Marglewskiego zdradzała coraz silniejsze uczucia: radość przeszła w zaskoczenie, niepokój, na koniec niepowstrzymany gniew. Dał znak pielęgniarzowi, który wszedł szybko i ujął starego z tyłu za łokcie. Ten szarpnął się odruchowo jak człowiek wolny, ale zaraz oklapł i bez oporu dał się wyprowadzić.

Na sali panowała drętwa cisza. Marglewski, blady jak papier, obiema rękami wciskając na nos okulary ruszył do pulpitu z przeraźliwym skrzypieniem nowych bucików; już otwierał usta, gdy rozległ się głos siedzącego w jednym z ostatnich rzędów Kautersa:

— No, żal tu był, kolego, ale nie tyle za chorobą, co za pełną miską!

— Przepraszam! Jeszcze nie skończyłem! Uwagi zechce kolega wypowiedzieć potem! — parskał Marglewski. — Ten chory, proszę kolegów, przeżywał stany ekstatyczne, podniosłe uczucia, których nie potrafi teraz zrelacjonować... Był to przed chorobą debil, nieprawdaz, prawie kretyn, więc wyleczyłem go, ale oleju nalać mu do głowy, że tak powiem, nie mogłem... To, co zaprodukował teraz, to kręctwo, chytrłość, częsta u kretynów. Objaw żalu za chorobą obserwuję u niego od dłuższego czasu...

Mówił tak jeszcze długo. Nareszcie przetarł okulary drgającymi rękami, wypchnął wargę językiem, pokiwał się chwilę na piętach i rzekł:

— No, właściwie to... tyle. Dziękuję kolegom.

Profesor odszedł zaraz. Stefan, zerknąwszy na zegarek, pochylił się szybko do Nosilewskiej i zaprosił ją do siebie. Zdziwiła się trochę — może już za późno? — ale w końcu przystała.

Wychodząc przeszli obok lekarzy zgromadzonych w drzwiach. Marglewski trzymając Rygiera za guzik perorował gorączkowo. Kauters obgryzał w milczeniu paznokcie.

— Autentyczna tęsknota za obłędem! — posłyszał

Stefan w przelocie.

W swoim pokoju usadził Staszka przy Nosilewskiej, odkorkował flaszkę wina, wysypał na talerz resztki keksów i poszukał jeszcze pomarańczówki, którą przysłała mu niedawno ciotka Skoczyńska. Wypił jedną kolejkę, nagle przypomniał sobie, że musi koniecznie zajrzeć do trzeciego pawilonu, chrząknął, przeprosił ich i wyszedł w poczuciu dobrze spełnionego obowiązku.

Jakiś czas błąkał się po korytarzach namyślając się, czy nie pójść do Sekułowskiego, gdy w niszy okiennej złapał go Józef starszy:

— Panie doktorze, o jak to dobrze, że pan jest. Paścikowiak, ten z siedemnastki, wie pan, wyprawia. Józef miał własną terminologię. Jeżeli pacjent był niespokojny, to mówił, że „się przyczynia”. „Wyprawianie” było już objawem poważniejszym. Stefan poszedł na salę.

Kilkunastu chorych przyglądało się z miernym zainteresowaniem skaczącemu jak żaba mężczyźnie w szlafroku, który wydając groźne, choć nikogo nie trwożące wrzaski, szczyrzył zęby, miotał się wyrzucając nogi, aż, przypadłszy do łóżka, podarł prześcieradło.

— Hola! hola! Paścikowiak, co to jest? — zaczął jowialnie Stefan. — Taki spokojny, kulturalny z pana człowiek, a tu raptem wyprawia pan hece?

Obląkany popatrzył na niego spode łba. Był niskim, chudym mężczyzną, o czaszce i długich palcach garbusa bez garbu. Z pewnym zawstyżeniem mruknął:

— A... to pan doktor ma dzisiaj dyżur? Ja myślałem, że doktor Rygier. Ja przepraszam, już

nie będę...

Stefan, który nie lubił Rygiera, uśmiechnął się i spytał:

— A co to pan ma do doktora Rygiera?

— E... to tak... nic już nie będzie, sza, panie doktorze. Jak pan ma dyżur, to ani mru— mru.

— Nie mam dyżuru... tak przyszedłem... — rzekł Stefan, a że to zabrzmiało zbyt konfidencjonalnie, poprawił się w przyływie obowiązkowości:

— No, niechże pan nie robi głupstw. Ja czy doktor Rygier — to wszystko jedno. Bo zaraz pójdzie pan na szok i po co to panu?

Paścikowiak usiadł na łóżku zasłaniając dziurę w prześcieradle i szczyrzył wąskie zęby w głupim uśmiechu. Był to — wedle karty chorobowej — debil, który posiadał jednak sporą dozę sprytu, z trudnością dającego się ująć w karby diagnostyczne. Wychodząc Stefan zajrzał do drugiej sali. Na najbliższym łóżku mamrotał, kołdrą okryty po głowę, stary weteran sanatorium, idiota. Kilku chorych siedziało, jeden kręcił się dokoła swego łóżka.

Stefan wszedł. i

— Jak tam? — powiedział do mamroczącego. Spod kołdry ukazała się nędzna twarz okryta rudawym zarostem, żółtawe oczy i bezzębne usta. Mamrotanie nasiliło się.

— No, ile będzie... sto trzysta tysięcy dwieście pięć razy dwadzieścia osiem tysięcy sześćset trzydzieści?

To była łaska: skulony zamamrotał inaczej, gorliwie, modlitewnie niemal i po chwili wybełkotał:

— esiąt... milion... sięcy... sześć... dwadz... pińc...: Stefan nie potrzebował sprawdzać. Wiedział, że to

jest fenomenalny rachmistrz, który mnoży i dzieli sześciocyfrowe liczby bez żadnej trudności w ciągu kilkunastu sekund. Przybywszy do sanatorium, Stefan próbował pytać go, jak to robi, ale odpowiadało mu gniewne mamrotanie. Raz, schwytyany na wędkę łakomstwa (Stefan przyniósł mu kawałek czekolady), idiota obiecał wydać swą tajemnicę. Pomamrotawszy i zaśliniwszy się na czekoladowo, rzekł:

— Ja... mam taki siufladki w głowie. To hyc, hyc. Tysiącki tu... miliony tu... i hyc, hyc. A to tu. I już.

— Jak to już? — spytał rozczarowany Stefan. „Matematyk” okrył się kołdrą, a twarz mu się na chwilę rozjaśniła. Był wielki. Teraz pomruczawszy, wyseplenił:

— Niech pampowi!

Oznaczało to, że chce, by mu podać dwie duże cyfry.

— No... — Stefan skrupulatnie wyliczył tysiące i kazał mnożyć. Idiota zaślinił się szepcząc, czknał i podał wynik. Trzyniecki stał chwilę zamyślony w nogach łóżka. Tamten ucichł, potem znowu zajęczał błagalnie:

— Niech pampowi!

Stefan rzucił na odczepne parę liczb. Może to mu potrzebne do uratowania własnej wartości? Miał takie chwile nagłego lęku, w których wydawało mu się, że powinien klęknąć tu przed wszystkimi i błagać o przebaczenie za to, że jest taki normalny, że czasem bywa zadowolony, że zapomina o nich...

Nie miał się gdzie podziąć: poszedł w końcu do Sekułowskiego.

Poeta właśnie się golił. Zauważywszy na stole tom Bernanosa, Stefan zaczął mówić o wartościach etyki chrześcijańskiej, ale Sekułowski nie dał mu dokończyć. Stojąc z namydloną twarzą przed lustrem, kategorycznie machnął kilka razy pędzlem, aż piana poleciała na pokój.

— Panie doktorze, to nie ma sensu. Kościół, ta stara organizacja terrorystyczna, masuje dusze od dwu tysięcy lat i co z tego wyszło? Dla jednych to są objawy, dla drugich objawienia.

Natomiast zainteresował go problem genialności; jak sądził Stefan, myślał o nim „od



wewnątrz”. Sam uważał się za geniusza.

— No, tak, tak... van Gogh... Pascal... tak, stare dzieje. Ale z drugiej strony i wy, śmieciarze dusz ludzkich, nie wiecie o nas nic.

(Aha — pomyślał Stefan).

— Z czasów mojej terminatorki pamiętam kilka ciekawych, po prostu czystych form, wyhodowanych na pożywkach różnych środowisk literackich. Był tam pewien młody pisarz. Tak mu wszystko lekko szło. Fotografie w gazetach, przekłady, wywiady, drugie wydania. Zazdrościłem mu tego do utraty tchu. U—miałem kontemplować nienawiść jak Budda nicosć. Kiedyś poznaliśmy się po pijanemu. Był już zupełnie rozhamowany: wyjawiał mi z płaczem, że zazdrości mi tego elitaryzmu, kameralności. Że jestem taki zamknięty, skąpy w słowa wiersza. Że moja samotność jest taka wydolna, taka niezawisła. Na drugi dzień nie znaleźmy się dalej. Napisał niedługo esej o moich rzeczach: eine Spottgeburt aus Dreck und Feuer. Istne arcydzieło stosowanego sadyzmu. Jeżeli pan chce słuchać dalej, to proszę do łazienki, bo mam kąpiel.

Sekułowski od niejakiego czasu przypuścił Stefana do obecności przy wieczornych ablucjach, być może dlatego, że był to nowy sposób poniżenia lekarza. Wlażył goły pod tusz i ciągnął:

— Ja, kiedy zaczynałem, nie byłem zadowolony, jak długo przyjaciele chwalili mnie. Kiedy zamilkli, pomyślałem: oho! No, a gdy posypały się rady, żebyrn przestał, że zaulek, że ślepa droga, że się kończę, wiedziałem już, że wszystko dobrze.

Nacierał rękawicą włochate pośladki.

— Było tam wtedy dwu starszych. Pierwszy, rzekomo epik (nie dał ani jednej większej rzeczy), miał sławę żyrowaną. Kredytowali mu wszyscy, tylko ja nie. Kolekcjonował motta jak motyle. Potrzebne mu były do „dzieła życia”. Pisał je od młodości, wciąż poprawiał, powoływał się na rękopisy Flauberta, wciąż zmieniał i wciąż było nie tak. Przez tydzień przedstawiał trzy słowa. Kiedy umarł, dostałem na parę dni rękopis. Patrzy pan z oczekiwaniem, co? Powiem krótko; puchy. Nic wytrwałość, nic chęci, nic praca. Nie wierz pan błagierom: trzeba mieć talent. Niech mi nie pokazują zapluskwionych korektami rękopisów Flauberta, bo ja widziałem robotę Wilde’a. Tak, Oskara. Wie pan, że „Portret Doriana” napisał w dwa tygodnie?

Wsadził głowę pod tusz i dudniąco wysiakał nos.

— Drugi był sławny in partibus infidelium. Członek Penklubu. Upaniszady czytał w oryginale i mógł pisać po francusku równie biegle jak po polsku. Szanowali go nawet krytycy. Mnie jednego bał się i nienawidził, bo znałem jego granicę. Czulem ją w każdej jego rzeczy jak pusty dźwięk dna. Zaczynał świetnie, stawiał sytuację, ludzi nastrzykiwał krwią, akcja szła jak z płatka, aż doprowadzał ją do momentu, gdy trzeba było wyjść z płaszczyzny opisującego papieru i pójść wyżej o głupstwo, o krok. To był jego koniec. Nie mógł. Inni nie słyszeli fałszu, więc myślał, że będzie jak ten goły król Andersena. Ale ja słyszałem jak klepki pustej beczki. Rozumie pan? Cudza rzecz jest jak leżący ciężar. Podchodząc dość mi było ocenić: podźwignę czy nie? To znaczy: czy zdobyłbym się na taką rozpiętość?

— I jak wypadły te próby?

Sekułowski drapał się rozkosznie w namydlone plecy.

— Raczej tak. Co prawda czasem, kiedy fala opadała, sam czytałem to, co napisałem, z pewnym zdziwieniem... Ale przeważnie chodzi o styl. Różnice między generacjami sprowadzają się do tego, że jakiś czas piszą: „ranek, pachniał różami”. Przychodzą nowi: oho, wyrócić! Jakiś czas pisze się: „ranek pachniał szczykami”. Ale chwyt jest ten sam. To nie są żadne reformy. Nie na. tym polega nowatorstwo. Parskał pod gorącym strumieniem wody jak foka.

— Każda rzecz musi mieć szkielet jak kobieta, ale taki, żeby się go nie dało wymacać... też jak u kobiety. Czeka pan, przypomniała mi się doskonała historia. Przedwczoraj doktor

Rygier pożyczył mi parę starych pism literackich. Jak to bawi, doktorze, jak to bawi! Ta sfora krytyków, którzy wypowiadali każde słowo w poczuciu, że mówi przez nich historia, kiedy w najlepszym wypadku była to czkawka po wczorajszej wódce. Au! — mydło przylepiło mu się do włosów. Czule masował brzuch, ciągnąc:

— Mam z tego okresu szczególnie bolesne wspomnienie, na które los położył balsamiczny plaster. Słyszał pan...? Albo lepiej dajmy spokój nazwiskom. Niech śpi w grobie, na który narobię — roześmiał się ordynarnie, może w związku z własną nagością. Oplukawszy się, chwycił płaszcz kąpielowy i mówił spokojniej:

— Byłem niby najbezczelniejszym stworzeniem na świecie, ale w gruncie rzeczy — sama niepewność... Ideologię sobie człowiek dobiera wtedy z pęku jak

.krawat: która barwniejsza i bardziej pekuniarna. Byłem takim bezbronnym biedakiem, a nad nami świecił jak najjaśniejsza z gwiazd pewien krytyk starszego pokolenia. Pisał tak, jakby Hafis opiewał lokomotywy. Był z krwi i kości dziewiętnastego wieku, dusił się w naszej atmosferze, brak mu było wielkich. Nas, młodych, jeszcze nie dostrzegał. Pojedynczo nie liczyliśmy się: trzeba było dziesięciu, żeby się ukłonił. Doktorze, to był ciekawy typ. Po prostu urodzony pisarz, który miał i talent, i metaforę czujną na każde zawołanie, i humor, i zupełny brak litości. To najważniejsze: bo z tym można opisać każdą grozą patrząc na nią z głębokości całej geologii. Zupełnie niewzruszenie. Pchać pasję w zdania, to położy każdą rzecz. On taki był: dla jednej celnej metafory, jeśli mu przysła, gotów był położyć książkę razem z autorem. Pan spyta, czy wbrew swemu przekonaniu? Pan jest naiwny — Sekułowski rozczesywał z wielką uwagą wilgotne włosy — ja dziś wiem całkiem na pewno, że on w nic nie wierzył. Po co? To był doskonały zegar bez jednej małej śrubeczki, pisarz bez ciężarka. Brakowało mu głupstwa, żeby zostać polskim Conradem, ale to było nie do naprawienia.

Wciągnął koszulę.

— W tym czasie zgubiłem Boga. Nie, żeby przestał wierzyć: zgubiłem go tak, jak niektórzy tracą kobiety — bez powodu i bez możliwości powrotu. Męczyłem się, bo potrzebowałem wyroczeni. O, niedużo brakowało, żeby mnie skończył. Przede wszystkim: w coś jednak wierzył. W siebie. Emanował tą wiarą jak niektóre kobiety płcią. Do tego był taki sławny, że zawsze miał rację. Przeczytał parę wierszy, które mu przyniosłem, i ocenił. Byliśmy naprzeciw siebie jak motyka i słońce. Byłem ostrą motyką — uśmiechnął się zawiązując z rozmachem krawat. — Rozłożył to wszystko na czynniki pierwsze, pobabrał się i wytłumaczył mi, dlaczego nic nie warto. Jakiś czas wahał się, wreszcie jednak pozwolił mi dalej pisać. On mi pozwolił, pan rozumie? — Sekułowski wykrzywił się brzydko. — Ach, to są stare dzieje. Ale kiedy pomyślę, że dla młodych jest dziś jego nazwisko pustym dźwiękiem, odczuwam rozkosz. Zemsta, do której nie przyłożyło się nawet małego palca, którą zgotowało samo życie. Dojrzała powoli jak owoc: nie znam rzeczy słodszej — i, bardzo zadowolony, poeta skrzyżował srebrne sznury wielbłądziej bonzurki.

— Czy pan sądzi, że nikt ze współczesnych nie może osądzić człowieka genialnego? Że historia van Gogha musi się wiecznie powtarzać?

— Albo ja wiem. Chodźmy do pokoju, tu tak gorąco, że można się udusić.

— Myślę, że niejeden wariat jest nie wyeksponowanym geniuszem: brak mu jakiegoś jednego ciężarka, jak pan powiedział. Na przykład Morek...

Stefan opowiedział o zidiociałym rachmistrzu. Sekułowski przerwał mu gniewnie:

— Też mi geniusz! Taki sam jak wasz Pajączkow—ski, tylko na gorszym stanowisku.

— Pajączkowski jest bądź co bądź *capacitas* w psychiatrii... zwłaszcza jego prace na temat cyklofrenii — oburzył się Stefan.

— Tak, tak. Większość naukowców to właśnie tacy rachmistrze. Nie ślinią się wprawdzie, ale zacieśnieni są do swojej dziedziny... miałem znajomego lichenologa. Pan może nie wie, co to jest? — dodał zniechęca.

— Wiem — odparł Stefan, który nie wiedział rzeczywiście.

— No... taki chabaźnik, specjalista od mchów i porostów — mimo to objaśnił Sekułowksi.  
— Taki strach, na wróble, konopiasty łeb. Umiał tyle łaciny, żeby klasyfikować, tyle fizjologii, żeby móc pisać artykuły, i tyle znał się na polityce, żeby swobodnie rozmawiać ze swoim woźnym. Kiedy się w dyskusji wyszło za grzyby, tumaniał. Nasz świat roi się od takich „genialnych rachmistrzów”, tylko że oni wykształcili swą biedną umiejętność w kierunku pożytecznym społecznie, więc się ich toleruje. Literatura pełna jest takich, którzy pisząc do praczki stylizują z myślą o pośmiertnym wydaniu listów... no, a lekarze?

Stefan próbował ominąć drażliwą sferę praktyki lekarskiej, by wydobyć z Sekułowskiego jeszcze jakieś ciekawe sformułowanie, ale skończyło się to obraźliwą propozycją. Poszedł wściekły na górę.

On jeden umie mnie zdenerwować — myślał niesprawiedliwie. Aby się zemścić, postanowił podsłuchać trochę pod swymi drzwiami. Korytarz był pusty i ciemny. Podeszedł na palcach: cisza. Jakieś szelesty, szmery — suknia? kołdra? Potem rozległo się coś jakby wyrzucenie tłka ze strzykawki: pacnięcie. Potem zupełna cisza, przerywana chlipaniem. Tak, najwyraźniej ktoś płakał. Nosilewska? Tego to już wcale nie mógł sobie wyobrazić. Zapukał lekko, a że nikt nie odpowiadał, stuknął raz jeszcze i wszedł.

Pałił się tylko grzybek na stoliku, napelniając pokój bladocytrynową poświatą, która leżała szerokim refleksem lustra na ścianie i łóżku. Flaszka pomarańczówki opróżniona do połowy: dobry znak. Łóżko rozburzone, jakby po nim przeszło tornado, ale gdzież Nosilewska? Leżał na nim tylko Staszek, w ubraniu, wkopany głową w poduszki, i płakał.

— Staszek, co się stało? Gdzie ona jest?! — zawołał zdumiony Trzyniecki przyskakując do łóżka.

Tamten zajęczał głośnie.

— No, mówże, mówże, co się stało?

Chlipiąc ukazał Staszek twarz mokrą, czerwoną i zasmarkaną: oblicze rozpaczy.

— Jeżeli ci... jeżeli mogę... jeżeli masz...

— Powiesz wreszcie? No!

— Nie powiem! Jeżeli masz dla mnie uczucie przyjaźni, ni... nigdy nie będziemy o tym mówili.

— Ale co się stało?! — zawołał Stefan, w którym ciekawość stanowczo przeważała dyskrecję.

— O, ja nieszczęśliwy... — wymamrotał Staszek. Nagle krzyknął:

— Nie powiem, nie mów teraz do mnie! — i uciekł przyciskając do piersi Jasiek.

— Jasiek oddaj, wariacie! — wołał za nim Stefan, ale schody dudniały już na dole.

Usiadł na foteliku, rozejrzał się, nawet kołdrę odniósł, po namyśle powąchał poduszkę, nie odkrył jednak niczego. Taki był ciekawy, że chciał już iść do Nosilewskiej, jednak się zmitygował. No, może jutro Staszek się uspokoi... może po niej będzie coś znać... (na pewno nic — dopowiedział sam sobie).

## OJCIEC I SYN

Kończył się wrzesień. Na zoranych polach kupy nawozu czerniały jak wielkie kretowiska. Najbliższa oknu Stefana osika chorowała: jej żółknące przedwcześnie liście pokrywała czarna ospa. Nieruchomy, przy oknie, wpatrywał się w niebieszczający jak ostrze noża horyzont. Opadały go długie godziny zupełnej martwoty: w najniewygodniejszej pozycji, ze wzrokiem utkwionym w niebie, śledził wzory, jakie w pustym blasku rysowały pyłki krążące w limfie okna.

Nosilewska poprosiła go, by napisał za nią historię choroby nowej pacjentki. Zgodził się chętnie, aby wypełnić czas.

Powiedzieć, że chora była czarną, chudą dziewczyną, byłoby to skłamać opis. Należała do szczuplutkich chłopczyk, które sztukują biust koronkowymi poduszczkami i skupiają na sobie spojrzenia mężczyzn. Cały urok tej osiemnastoletniej schizofreniczki mieścił się we wzroku, czarnym i szybkim. Ręce jej błdziły zawsze w pobliżu twarzy i trzepocąc jak chude gołąbki przysiadły to na policzkach, to pod małym podbródkiem. Kiedy się wypadło z jej spojrzenia, czar pryskał.

Obowiązek wizytowania stał się dla Stefana przyjemnością. Podobała mu się tym gwałtowniej, im bardziej się opierał. Zakochana nieszczęśliwie, tragicznie (trudno się było dowiedzieć, co właściwie zaszło), zapragnęła wyjść z niedobrego świata, w którym doznała tyłu cierpień, w lustrzany. Chciała zamieszkać w swoim odbiciu.

Do Stefana zbliżała się chętnie, wiedząc, że ma przy sobie niewielkie niklowe lustro. Pozwalał jej w nie patrzeć.

— Tam jest tak... tak... tak cudnie,.. — szeptała, nieustannymi dotknięciami poprawiając to brwi, to pukle włosów. Oczu nie mogła oderwać od błyszczącej powierzchni.

Przypominała Stefanowi parę znajomych kobiet, żon kolegów z miasta. Potrafiły siedzieć przed lustrem od świtu do zmierzchu, całymi godzinami układając twarz we wszelkie możliwe uśmiechy, badały blask oka, każdy pieg, każdą ryse, tu gładziły, tam trącały, jak alchemik czekający pojawienia się złota w alembiku. Oczywiście nienormalne natręctwo: że też dotąd o tym nie pomyślał. Co prawda same kurze mózdzki, ale twierdzenie o inteligencji wszystkich neurasteników jest zupełnie fałszywe.

Można być nerwowym idiotą — pomyślał, zły, bo zabrzmiało to niemal jak wyznanie „i ja nim właśnie jestem”.

Dziewczyna przesiadywała w łazience, bo wisiało tam lustro. Wypędzona, przyczajala się za drzwiami i wyskakiwała na każdego, kto je otwierał, błagając złożonymi rękami o pozwolenie wejrzenia w swoje odbicie. Usiłowała się przeglądać w każdym niklowym okuciu.

Od niejakiego czasu trapiła Stefana bezsenność. Czytał długo w łóżku, by zmęczyć się i usnąć, ale sen nie przychodził, a gdy się wreszcie zjawił, wydawało mu się, że w ciemności, krążącej dalej niż owady wokół lampki nocnej, stoi ktoś nieruchomo. Wiedział, że nikogo nie ma, ale senność od razu pryskała i dopiero o świcie, w pierwszym, chłodnym śpiewie ptaków zapadał w niespokojną drzemkę.

W nocy z 29 na 30 września, pełnej roziskrzonych bryłowato gwiazd, zasnął wcześniej niż zwykle. Obudził się zatrwożony nie wiedzieć czym. W szybach tłał biały brzask. Podbiegł w białźnie do okna. Na zwirowanym podjeździe mrucały dwa wielkie, osobowe samochody, malowane w faliste plamy, dobrze widoczne w odbitym od muru świetle reflektorów. Przy drzwiczkach stali Niemcy w ciemnych hełmach. Spod daszka osłaniającego bramę wyszło kilku oficerów. Jeden krzyknął coś. Motory zawarczały, oficerowie wsiedli, żołnierze z dwu stron wskoczyli w biegu na stopnie. Reflektory zamiotły .klomby, smugi światła z tyłu uderzyły o wóz jadący przodem, było to mgnienie. Ostry blask padł na siedzących; Stefan

dojrzał obnażoną głowę między hełmami i poznał tego człowieka. Snopy światła znalazły bramę wyjazdową, przy której stał oślepiiony odźwierny z czapką w rękę. Za chwilę dudnienie motorów wzmogło się na szosie. Raz jeszcze na zakręcie serpentyny reflektory wyrwały z mroku kępy pozieleniałych raptownie drzew, nieruchome festony liści i biegnące na płask cienie pni, aż — na ostatku — mignął biało i zaraz przepadł brzozy krzyż. Potem z głębokości horyzontu wróciła cisza wypełniona cykaniem świerszczy, niby puls krwi w olbrzymim uchu. Stefan porwał z kołka płaszcz i szamocząc się z nim nieprzytomnie, wybiegł bosy na korytarz.

Na pierwszym piętrze stali wszyscy lekarze; krzyżowało się tyle chaotycznych pytań i okrzyków, że nie sposób było cokolwiek zrozumieć. Powoli wypadki się wyjaśniły: w sanatorium byli esesowcy z lotnego ugrupowania, stacjonującego w obecnie w Owsianem. Mieli z sobą robotnika aresztowanego na podstacji; pozostałych szukali. Marglewski wielkim głosem obwieszczał, żeby się nikt odtąd nie ważył do lasu chodzić, bo esesowcy będą go przeczesywać, a z nimi nie ma żartów.

W szpitalu nie przeprowadzili rewizji, zajrzeli tylko pobieżnie do pawilonów i rozmawiali z Pajączkowskim.

— Oficer ich pejczem u... uderzył w stół przede mną — opowiadał poblady, z podkrążonymi oczami. Powoli wszyscy rozeszli się w gasnącym podnieceniu. Marglewski mijając Stefana zatrzymał się, jakby chciał coś powiedzieć, ale pokiwał tylko złowieszczą głową i znikł w korytarzu.

Stefan do rana już nie zasnął. Wzbierał w nim jakiś wewnętrzny, drobny dygot; dziesiątki razy zaciskał powieki i wywoływał spod nich momentalną scenę nocną; nie śmiał już, jak w chwili gdy ją widział, wmawiać w siebie, że aresztowanym nie jest Woch. Miał zupełną pewność, że to jego kwadratową, dużą głowę dojrzał z pierwszego piętra. Aż jęczał w sobie pod ciężarem przeraźliwej odpowiedzialności, który się nań zwał. W bezwzględnym dążeniu, żeby go przekazać komukolwiek, żeby wypowiedać się z dręczącego poczucia winy, poszedł wczesnym rankiem do Sekułowskiego, lecz ten nie dał mu nawet dojść do słowa. Zdenerwowany, od drzwi wołał:

— Czy pan nie widzi, że ja piszę! Cóż to, znów mam „zajmować postawę”?! Każdy robi to, co umie. Poeta to taki, co umie w ładny sposób być nieszczęśliwy. Czy pan sądzi, że po tej wojnie wszyscy Achillesowie z lasu staną się Katonami? Furie nie były lepsze od pana, ale rozumiem je, bo przynajmniej kobiety! Dajże mi pan nareszcie święty spokój!

Stefan wyszedł jak zmyty. — Dobrze mi tak! — myślał idąc korytarzem. Nie wiedzieć co dałby teraz, by zajrzeć na podstację. Rozumiał, że skoro elektryczność dalej jest w sanatorium, musi tam ktoś być; ktoś tam pracuje — po Wochu, może ten ktoś wiedział...?

Szukając schronienia przed własnymi myślami, Stefan zaszedł w najdalszy kąt sal męskich. Uwagę jego zwróciły czerwone plamy podłogi, ale przyjrząwszy się bliżej dostrzegł, że to nie krew.

Młodziutki schizofrenik modelował w glinie rzeźbę. Stefan długi czas przypatrywał się jego pracy. Twarz chłopca nie zdradzała niczego. Żółtawa, trochę skośna, z małym, pstro wykrojonym profilem, była jak ruchoma maska. Niekiedy przymykał powieki, tak spokojnie, że mu rzęsy nie drgały, i podnosząc głowę w górę, błędził brzuściami krogulczych palców po powierzchni gliny. W kątach opadłych ust wzbierał spokój. Już przestawały go trapić widma, zdania rozszczepiały mu się w ustach, nie mógł trafić do obcych: odchodził. Najwyższa obojętność, jaka panuje tylko w tłumie i wśród nieprzytomnych, pozwalała chłopcu na pracę tak samotną, jakby był w pustelni. Z płaskiego krążka gliny wznosił się przed nim ustawiony na okrągłym stołku, wysokoskrzydły anioł. W lotkach, rozcapierzonych szeroko jak u zduszonego ptaka, czaiło się coś groźnego. Twarz miał gotycko długą, piękną, spokojną. Opuszczonymi nisko, jakby ze wstrętem, rękami dławił gardło malutkiego dziecka.

— Co to jest? Jak to nazwałś? — spytał Stefan chłopca.

Nie odpowiedział pocierając końcem kciuka glinę. Sanitariusz Józef starszy wmieszał się z kąta do rozmowy: chorzy powinni odpowiadać lekarzom. V

— Zaraz mów, jak pan doktor pyta — rzekł stąpając ciężko ku chłopcu.

Nie omijał chorych, to oni ustępowali mu z drogi. Mały stał nieruchomo.

— Ja wiem, że ty możesz. Zaraz mów, bo ci tę kukłę tu!... — zrobił ruch, jakby chciał przewrócić posążek. Chłopiec nie poruszył się.

— No, no — rzekł zmieszany Stefan — nie trzeba. Niech no Józef pójdzie do dyżurki i przyniesie tackę ze strzykawką i dwie ampułki scophetalu, siostra wyda.

Chciał jakoś wynagrodzić małemu poniżenie.

— Wiesz, to bardzo ładne — powiedział — to jest bardzo piękne i dziwne.

Chory stał zgarbiony, z włosami przylepionymi potem do czoła. Pod dolną wargą gromadził mu się cień jak wzgarda.

— Nie rozumiem tego, ale może zechcesz mi to kiedyś wytłumaczyć? — ciągnął Stefan opuszczając powoli grunt psychiatrii.

Mały patrzył szklano w swoje powalane ciemną gliną palce.

Wówczas, już całkiem bezradny, Stefan wyciągnął do niego najbardziej prostym gestem rękę.

Chłopiec jakby się przestraszył: schował dłoń i cofnął się za stołek. Stefan, zawstydzony, zerknął, czy nikogo prócz chorych nie ma na sali. Wtedy tamten bardzo nagle i niezręcznie wychylił się zza rzeźby i, omal jej nie przewracając, chwycił dłoń Trzynieckiego. Nie uściskał jej, puścił, jakby parzyła. Potem zwrócił się do posążka nie zważając już na lekarza.

Nazajutrz Józef zgłosił się do przechodzącego salą Stefana:

— Ta glina, to pan doktor wie, jak się nazywa?

— Co? Aha! No? no?

— Anioł-dławiec.

— Jak?

Józef powtórzył.

— Ciekawe — rzekł Stefan.

— Co ta ciekawe. Gryzie drań — pokazał Józef czerwone znaki na wielkiej pięści. Stefan mimo woli się zdziwił, bo znał wszystkie wyćwiczone chwytby pielęgniarzkie: raczej by złamać choremu rękę, niż dać się zadrasnąć — taka była ich dewiza. Mały musiał porządnie „wyprawić”. Ale też i porządnie pewno dostał. Choć tysiakkroć pouczani i strofowani, pielęgniarze tajemnie, za plecami lekarzy stosowali zasady odwetu i chorego, który się naprzykrzał, tłukli mściwie, z bliska, po chłopcu, wyszukując najboleśniejsze, wyrozumowane ciosy. Walili przez koc albo w kąpielni, żeby śladów nie było. Stefan wiedział o tym i chciał najsurowiej zabronić bicia małego, lecz nie mógł: oficjalnie zakazano, a w ich „sposoby” jego władza nie miała wstępu.

— Wiecie... ten mały...

— Niby od tego anioła?

— Tak... otóż... uważajcie na niego, żeby krzywdy nie miał...

Józef się obraził. On uważa na wszystkich. Więc Stefan wydobył z kieszeni zamkniętą garść, a w niej pięćdziesiąt złotych. Józef zmiękł. On rozumie. Uważał i dotąd, ale teraz to jak na rodzzonego.

Stali u drzwi. Wokół kręcili się chorzy, ale to było tak, jakby znajdowali się w zupełnym odosobnieniu. Gdy Józef nieznacznie chował złożony banknot, Stefan, tracąc dech od nagłego przypływu determinacji, nieswoim głosem powiedział:

— Czy Józef nie wie czasem, co się stało z tym, co go Niemcy aresztowali tamtej nocy?... Józef wie...

Zmierzyli się oczami. Stefanowi serce łomotało w piersiach. Józef jakby się ociągał. W

jego oczach ukazał się błysk zainteresowania, pokryty zaraz służalczym uśmiechem.

— Ten bez ucha, co przy elektryce robił, Woch? Pan doktor go znał?

— Znałem — powiedział Stefan z uczuciem, że wydaje mu się w ręce. Od wysiłku, który go kosztowała ta rozmowa, zrobiło mu się mdło.

Na głupkowato-chytrą twarz Józefa wypełzał coraz jawniejszy, coraz bardziej obleśny uśmiech. Jego wolaste oczy rozszerzyły się.

— Pan doktor go znał? Mówią, że on tego tam w tym dole przy elektryce sam nie trzymał, tylko jego chrzestny, Antek. No, kto to może wiedzieć? To był kumpinator, o, kumpinator! — powtórzył, jakby lubując się tym słowem. — Z Niemcami pił, interesy z nimi robił, już do c z ł o w i e k a odezwać się nie chciał, taki w a ż n y ! Myślał, że Niemca kupił, a Niemiec chytry, w nocy przyszedł i wziął jak kurę! Dzisiaj autem tu przyjeżdżali z Owsianego, dwa razy obracali — tyle tego było! Pod żwirem wszystko pochowane, upakowane w skrzyniach jak towar!

— Józef widział?

— Sam nie widziałem. Gdzie? Ludzie widzieli. I widzieli, i wiedzieli, a Woch się nie r a c h o w a ł . Rozumy wszystkie miał! No, taki kumpinator!

— A co się z nim stało?

— Skąd mogę wiedzieć? Pan doktor zna piaskownię rudzieńską? Gdzie dawniej staw był? Jak wedle drogi iść — przez las i na prawo... Tam łopate do ręki dają — kopać dół i nad tym dołem stawiają. Potem chłopą wezmą z drogi, żeby zasypał. Sami za w y g o d n i ...

Stefan, choć się czegoś takiego domyślał, więcej — był pewny, że inaczej nie mogło być, poczuł przecież taki gniew, taką straszną nienawiść do Józefa, że oczy musiał zamknąć.

— A tamci? — spytał głucho.

— Pościkowie niby? Kamień, woda. Nie wiadomo nic. Pewno do leśnych uciekli. I gdzie to takiemu staremu po jamach—bagnach się tyrpać! Wszystko przez brak przypatrzienia i durność. Ich był interes — ta amunicja, czy jak? — ściszył głos przy ostatnich słowach.

Stefan kiwnął głową, odwrócił się na pięcie i poszedł do swego pokoju. Tu spokojną ręką wytoczył na dłoń tabletkę luminalu, po namyśle dołożył drugą, połknął, wszystko zapił wodą i tak jak stał, w białym płaszczu narzuconym na ubranie, rzucił się na łóżko.

Późnym wieczorem obudziło go z nieprzytomnego snu kołatanie: Józef dobijał się do drzwi z depeszą w rękę. Ciotka Skoczyńska donosiła, że ojciec ciężko zachorował. Wzywała go do natychmiastowego przyjazdu.

Poprosił Staszka o zastępstwo na swoim oddziale i bez trudności dostał od Pajączkowskiego kilkudniowy urlop.

— Wszystko będzie jeszcze dobrze — pochrząkiwał adiunkt, serdecznie trzęsąc ręką Trzynieckiego — a jak pan już tam będzie, może się pan dowie, co tam Niemcy?

— Proszę?

— Niech pan się rozejrzy, co słyhać — takie złe wieści dochodzą...

— Co pan adiunkt ma na myśli?

— Ee, znowuż nic takiego, nic takiego, proszę kolegi. Kiedy poszedł niby to pożegnać się z Sekułowskim przed wyjazdem, poeta był w trakcie pisania i włosy miał nastroszone, jakby z nich szła elektryczność. Żrenice drgały mu chwilami przy szczególniejszym, downętrznym zapatrzeniu. Jego huczący, metalicznie podbarwiony głos rozlegał się już w korytarzu; przystanąwszy, Stefan posłyszał:

Serce moje — planeta czerwonych termrtów

Pierzchających w ucieczce ma ścieżyny własne.

Ja — ciemnooka droga dziewcząt i stylitów

Umieram. Moje ciało zabija mnie. Gasnę.

O, nocy, zrywająca ostatnią zasłonę.,

Gdy śmierć, dziewczyna o skrwawionych udach,

Obejmuje twarz moją: gniazdo porzucone...

Stefan wszedł i poeta zamilkł. Po chwili Trzyniecki opowiedział historię małego rzeźbiarza.

— Anioł—dławiec? — rzekł Sekułowksi. — Czekaj pan, to ciekawe. Ciekawe...

Sumiennie wypełnił kartkę swoim strzelistym pismem.

— B ł o g o s ł a w i e n i c i s i , a l b o w i e m i c h j e s t k r ó l e s t w o n i e b i e s k i e — o d c z y t a ł .

Potem popatrzał na Stefana drgającymi oczami.

— Za to, że mi pan trochę pomógł, pokażę panu coś.

Zaczął grzebać w arkuszach papieru, które pokrywały kołdrę.

— Marzy mi się opisanie historii ziemi z innego systemu planetarnego. Jakiś taki wstęp (zaczął czytać z kartki):

„Jest macica zaropiała słońcami: Wszechświat. Mrowią się w niej tryliony jaj gwiazdnych. Wściekły rozród” ...buchający żużlem i czarnym prochem, idzie puls za pulsem, mrok za mrokiem — improwizował, bo na arkusiku było tylko parę krótkich zdań.

— Dokąd? — spytał mimo woli Stefan.

— Cały dowcip w tym, że donikąd.

— Pan w to wierzy?

Sekułowksi wstrzymał oddech. Jego twarz, w chwili gdy podnosił głowę przebitą jasnymi oczami, stała się natchniona i piękna.

— Nie — powiedział — ja nie wierzę. Ja wiem.

Podróż miał Stefan koszmarem: trzy rewizje za tłuszczem, żandarmi, tłum atakujący dziko drzwi i okna, wagony ciemne, cuchnące skwaśniałym potem, zapluskwione. W nieprawdopodobnym tłoku nie dało się uratować osobistej godności, gdyż była w ciemności niewidoczna, a milczenie traktowano tu jako wyraz poddania się. Po godzinie Stefan kłął jak szewc.

Miasto się odmieniło. Wszystkie ulice w nowych, niemieckich nazwach. Patrole stukwały podkutymi butami o bruk jak pojedyncze oka żelaznego niewodu. Nad domami z rzadka przelatywały maszyny z czarnym krzyżami; niebo było niemieckie.

W domu przywitał go ten sam zapach gotowanej kapusty, na pierwszym zaś piętrze jako nuta główna pojawiła się słodkawozgniła woń pracowni futrzarza, galwanizując od razu całe złoza pamięci.

Na widok odrapanych, brązowych drzwi mieszkania, z płaską lwią głową wrytą w nadprożu, z trudem opanował wzruszenie. Drzwi — jak drzwi.

Przedpokój zastawiały graty, etażerki, blachy, w słabym świetle ciemniały pod sufitem jak makabryczne projekty zwierząt modele nie zrealizowanych aparatów ojcowskich, spiętrzone na szafach w puszystym otoku pajęczyn. Matka, jak zaraz powiedziała mu dramatycznym szeptem ciotka Skoczyńska, zamieszkała od miesiąca na wsi, gdyż nie było pieniędzy na dom. Ciotka objęła go w otwartych drzwiach, aż zapadł się w naftalinowe bujności biustu. Cmoknęła go, ochrzciła łzą i popchnęła do jadalni na chleb z konfiturami i herbatę.

Przestawiając słoiki z naklejkami opowiadała o rosnącej cenie tłuszczu, o jakimś mecenasie, dopiero po długiej chwili wspomniała o ojcu. Rzuciła się w szczegółowy opis wypadków ostatnich miesięcy z prawdziwym zadowoleniem. Rysowała obraz zapoznanej, nieszczęśliwej wielkości, znekanej chorobą nerek i serca. Ona jedna na świecie, choć z dalekiej rodziny, zajęła się wielkim wynalazcą. — Ojciec twój — mówiła, i znowu: — Ojciec twój — tak że Stefan zaczął ją nawet podejrzewać o złośliwość czy wyrzucanie mu oschłości. Ale nic podobnego. Po prostu współczuła z całej duszy. Przed laty była piękna. Stefan podkochiwał się nawet kiedyś w ściągniętej z jej gabinetu fotografii. Teraz przybór tłuszczu zatopił resztki urody.



Po najedzeniu się i umyciu został wreszcie dopuszczony do sypialni.

Ciotka zabawiła się w posła, kilka razy wchodząc tam i wybiegając na palcach. Wiosłowała przy tym rękami, jakby powietrze stawiało jej opór. Nastrój był podniosły. — Mniej więcej powrót syna marnotrawnego — pomyślał Stefan i wszedł, mimo woli także na palcach, gdy w wyobraźni rozwiewały mu się zarzysy brunatnego Rembrandta.

Od razu rzuciło mu się w oczy, że cała matczyzna kolekcja fikusów, asparagusów i innej zieleniny została bezlitośnie wtłoczona w —najciemniejszy kąt pokoju. Ojciec leżał w łóżku, przykryty kołdrą po brodę. Tylko cytrynowe ręce wykrzywionymi palcami trzymały delikatnie jej brzeg jak martwe, brzydkie ozdoby.

— Jak się masz, ojczy — bąknął z trudem. Ojciec milczał. Stefan odczuwał zmieszanie i chęć uprzejmego, szybkiego załatwienia wizyty. Przemknęło mu przez myśl, że dobrze by było, gdyby ojciec teraz umarł: miejsce patetycznie wytrzymanie, „przy łożu”, on sam klęknie i zmówi jakiś pacierz, po czym będzie mógł odjechać. To by ogromnie uprościło wszystko. Ale ojciec nie umierał. Przeciwnie: podniósł się, przechodząc z szeptu w zająkły głos:

— Stefek, Stefek — powiedział kilka razy. — Stefek — najpierw niedowierzająco, potem z radością.

— Słyszałem, ojczy, że masz się nieźle, a tak przestraszyłem się depeszą — skłamał.

— Eee tam.

Ojciec usiłował się podnieść, trzeba było pomóc; Stefan ‘okazał się ogromnie niezręczny. Poczł pod palcami chudziutkie kości, łuki żeber pod samą skórą, nikłe resztki ciepła, o które walczyło to chude, bezradne ciało.

— Boli cię coś? — zapytał z nagłą czułością.

— Siadaj na łóżku. Siadaj — powtórzył ojciec z pewnym zniecierpliwieniem.

Posłusznie przycupnął na skraju deski; było bardzo niewygodnie, ale i rzewnie. O czym teraz mówić?

Z twarzy ojca pamiętał tylko jeden wyraz: ostatecznego zagapienia w zaświaty, w których budowały się jego maszynki. Ręce miał zawsze poprzecinane drutem, pokłute, popalone kwasami czy zabarwione na jakiś egzotyczny kolor. Teraz to wszystko z nich uszło. Resztką życia drgała delikatnie w ciemnych grubych żyłach pod piegowatą skórą.

Było to dla Stefana bolesne odkrycie.

— Strasznie jestem zmęczony — rzekł ojciec. — Najlepiej, żeby zasnąć i już się nie obudzić.

— Tato, jak można — oburzył się Stefan. Zarazem myślał: dokąd zmierza takie oto ciało i taka głowa, w której czaszkaomal nie kolące jak jąderko w wyschlłym orzechu? Oto stawy — skrzypiące, źle działające zawiasy, płuca — dychawiczny miech, serce — zacinająca się, nieszczelna pompa. Lichota materiału ukazywała się na kształt butwiejącej rudery, której mieszkaniiec widzi ze zgrozą, jak mu się cała wali na głowę. Wspomniał wiersz Sekułowskiego. To własne ciało zabija nas, poddane prawom jedynie rządzącym: natury, nie woli.

— Ojczy, może byś coś zjadł? — powiedział niepewnie, przestraszony lekkością ręki, która głaskała jego opartą o kołdrę dłoń. Zawstydził się, tak to głupio wypadło.

— Nic nie jem. Już mi to niepotrzebne. Chciałem ci tyle rzeczy powiedzieć, ale to tak naraz... po prawdzie układałem sobie całą noc. Nawet spać już nie mogę — poskarżył się.

— To ja zaraz... zaraz ojcu zapiszę — Stefan zaczął wyciągać z kieszeni blok receptowy. — I w ogóle kto ojca leczy? Marcinkiewicz?

— Zostaw to, zostaw. Tak, leczy. To już wszystko jedno — zagłębiał się w poduszkę. — Stefan, ten czas przychodzi na każdego. Kiedy największą zgryzotą jest, żeby jakaś żyłka w mózgu nie pękła. To głupie, ale nie chciałoby się naraz umrzeć. Żeby wiedzieć wprzód. Ale to nie ma sensu.

Gładząca ręka zatrzymała się jakby onieśmielona.

— Myśmy się tak mało znali. Nie miałem nigdy czasu. Teraz widzę, że to właściwie wszystko jedno: ci, co się spieszą, i ci, co mają czas, dochodzą do jednego miejsca. Nigdy nie żałuj, nie żałuj.

Zamilkł, potem dodał:

— Żebyś nigdy nie żałował, że byłeś tu, a nie tam, ae mogłeś zrobić, a nie zrobiłeś. Nie wierz w to. Nie zrobiłeś, bo nie mogłeś. Wszystko ma swój sens tylko dlatego, bo się kończy. Widzisz: zawsze i wszędzie — to przecież to sarno, co: nigdzie i nigdy. Nie żałuj, pamiętaj!

Znowu ucichł oddychając głośniejsz niż przedtem.

— Właściwie nie to ci chciałem powiedzieć. Ale już mnie nawet głowa nie słucha.

— Ja bym ci, ojczu, może dał... nie wiem, czy bierzesz jakieś lekarstwa?

— Kłują mnie igłami, kłują — powiedział ojciec — nie myśl o tym. Ty masz do mnie żal, co? Powiedz!

— Ależ...

— Nie będziemy sobie teraz kłamać, co? Miałeś żal, ja wiem. Nigdy nie było czasu. Zresztą byliśmy obcy. Widzisz, ja nie chciałem nigdy zrezygnować z siebie, widocznie ciebie nie kochałem, bo to by było... nie wiem zresztą. Stefan, czy tobie jest dobrze?

Tu Stefan nie znalazł słów.

— Ja cię nie pytam, czy jesteś szczęśliwy. O tym, że się jest szczęśliwym, wie się dopiero potem, kiedy to minęło. Człowiek żyje zmianą. Powiedz, czy masz dziewczynę? Może chcesz się żenić?

Stefana złapało coś za gardło. — Oto człowiek umierający i prawie obcy, a myśli o mnie. Czy ja bym tak umiał? — spytał siebie i nawet na to nie znalazł odpowiedzi.

— Nic nie mówisz? Więc masz?

Pokręcił przecząco opuszczoną głową. Oczy ojca były błękitne i przekrwione, ale nade wszystko zmęczone.

— Tak. Tu nie można radami pomóc. Ale ci powiem: my, Trzynieccy, jesteśmy tacy, że potrzeba nam kobiety. Nie dojdziemy sami do ładu. Człowiek, żeby mógł czysto żyć, sam musi być czysty. Ty zawsze byłeś krnąbrny, może ja źle mówię. Ale nie umiałeś wybaczać, a to właściwie wszystko, więcej nie trzeba nic. Nie wiem, czy się nauczysz.. W każdym razie od kobiety nie trzeba wymagać ani urody, ani rozumu. Tylko miękkości. Czucia. Reszta już przyjdzie sama. A bez miękkości...

Zamknął oczy.

— ...nic nie warto... A to tak łatwo...

Potem powiedział zupełnie silnym, dawnym głosem:

— Możesz wszystko zapomnieć, jak, chcesz. Nie słuchać rad — to też jest mądrość. Ale niczyich, pamiętaj. A teraz... co ci chciałem powiedzieć?... w biurku są trzy koperty.

Stefan zdziwił się.

— A w dolnej skrytce — szeptał ojciec — jest taki rulon z czerwoną wstążką, tam jest szkic mego pneumomotoru. Cały plan. Słyszysz? Pamiętaj o tym. Jak tylko Niemcy pójda, zanieziesz to do Frackowiaka, trzeba będzie sporządzić model. On wie już jak.

— Ależ, tatusiu — powiedział Stefan — ty się rozporządzasz tak... tak... po prostu testamentarycz—nie. A przecież masz się dobrze, co?

— No, ale przestanę się mieć — rzekł niecierpliwie ojciec. Nie pragnął teraz pocieszenia.

— Ten pneumomotor to fortuna. Wierz mi. Wiem, co mówię. Więc weźmiesz to, a najlepiej, żebyś już zaraz wziął, teraz.

Pochylił głowę na cytrynowej, ściągniętej szyjce i wyszeptał paląco:

— Ciotka Mela jest niemożliwa. Nie-moż-liwa! — podkreślił. — Za grosz jej nie mogę ufać. Weź to zaraz, dam ci klucze.

Omiał nie upadł usiłując ściągnąć z krzesła spodnie, w których kieszeni wspólnymi siłami znaleźli wreszcie — po wydobyciu bardzo brudnej chusteczki, rolki drutu i obciążek — pęk

kluczy. Ojciec, przybliżywszy je ptasio do oka, wyszukał mały, wertheimowski kluczyk i wręczył Stefanowi. Gdy wrócił z gabinetu, ojciec zapadł w drzemkę. Zbudził się.

— A co? To ty? No, zabrałeś?

Potem długo patrzył na niego, jakby sobie coś przypominając, wreszcie rzekł:

— Dla twojej matki byłem niedobry. Ona nic nie wie, że ja teraz... Nie chciałem...

I dodał:

— Ale ty... pamiętaj. Pamiętaj!

Gdy Stefan wychodził, spytał naraz:

— Czy przyjdiesz jeszcze?

— Ależ, tatusiu, ja nie wyjeżdżam, idę tylko załatwić parę spraw i wrócę na obiad.

Ojciec opadł w poduszki.

Doktor Marcinkiewicz posiadał szklanobiały gabinet z soluksem i trzema kwarcówkami, co prawdopodobnie pozostawało w pewnym związku z wysiedleniem lekarzy–Żydów do getta. Co trzy słowa tytułował Stefana kolegą, ale czuło się, że nie traktuje go serio. Obaj pogardzali sobą serdecznie. Bez osłonek powiedział Stefanowi, jak ciężki jest stan ojca: kamienie głupstwo, ale angina pectoris, nietypowa wprawdzie, bo bóle słabe i nie promieniują, lecz zmiany krążenia wieńcowego dają najgorsze, jakie może być, rokowanie. Położył na szlifowaną płytę biurka elektrokardiogram i spróbował objaśniać, ale Stefan przerwałto gniewnym szarpnięciem. Dopiero pod koniec stał się dla tamtego grzeczny prosząc o opiekę nad ojcem. Marcinkiewicz odmówił przyjęcia pieniędzy, tak jednak miękko, że Stefan położył je na biurku. Jeszcze zanim wyszedł, zniknęły w szufladzie.

Potem wstąpił do kilku księgarń, poszukując „Gargantui i Pantagruela”. Dawno się na tę książkę cieszył, a mając teraz pieniądze chciał kupić przekład Boya. Jednakże nie mógł go nigdzie dostać: z książkami było krucho. Nareszcie poszczyściło mu się w antykwariacie. Dzięki starej znajomości nabył też kilka podręczników, które sprzedawano tylko Niemcom, oraz ostatni numer niemieckiego pisma fachowego dla Pajpaka. Wracając z dość ciężką paczką postanowił pojechać tramwajem. Nadjechał ogromnie zatłoczony wóz, za którego zapoconymi szybami mętniały jak w akwarium podrygujące sylwetki. Uczepił się wolną ręką (w drugiej trzymał książkę) sztaby przy wejściu i stanął na stopniu, gdy poczuł, że ktoś bierze go mocno a wprawnie za kołnierz i ściąga w dół. Żeby nie upaść, zeskoczył na jezdnię. Zajrzał prosto w młodą, wygoloną twarz Niemca w czarnym mundurze, który odsunął go bezceremonialnie łokciem, a gdy Stefan, ogłupiały i zmieszany, spróbował wleźć za nim, drugi Niemiec, najwidoczniej towarzysz tamtego, odtrącił go silnie.

— Mein Herr! — zawołał Stefan i równocześnie okręciło nim tępe, niebolesne uderzenie: drugi kopnął go wyglansowanym butem w pośladek. Tramwaj zadzwonił i odjechał.

Stefan został na jezdni. Kilka osób przystanęło. Zmieszał się jeszcze bardziej i udając, że coś go zaciekawiło po drugiej stronie ulicy, poszedł nie czekając już na tramwaj. Incydent ten tak go zdeprymował, że zrezygnował z wizyty u kolegi uniwersyteckiego i ruszył na powrót drogą w suchym, nieustannym szeleście liści.

Ojciec siedział w łóżku i mlaskając, z dużym apetytem wydrapywał z aluminiowej patelni wiórki jajecznicy. Stefan, podniecony, opowiedział swoją przygodę.

— Tak, tak. Oni tacy są. Volk der Dichter — rzekł ojciec. — No, ale trudno. To ta ich młodzież. Do września korespondowałem z Völligerem, pamiętasz, to ta firma, co się interesowała moją automatyczną prasowaczką krawatów. Potem w ogóle przestał odpowiadać na listy. Dobrze, że mu planów nie przesłałem. Schamieli. Wszyscy zresztą chamiejemy.

Naraz wykrzywił się i wrzasnął na całe gardło:

— Mela! Melaaa!

Stefan zdumiał się, lecz w tej samej chwili przy—człapały k^oki i twarz ciotki ukazała się w szparze drzwi.

Daj mi jeszcze trochę śledzika, ale więcej cebuli było. A ty, Stefku, może zjesz?

— Nie... nie!

Stefan był mocno rozczarowany. Wychodząc od Marcinkiewicza gotował się na ponowne spotkanie z ojcem, serdeczniejsze jeszcze niż pierwsze, a tu staruszek wszystko udaremnił swoim apetytem.

— Ojcze... właściwie muszę już dziś wracać. Wdał się w opis zawitych stosunków szpitalnych, z którego wynikało, jak wielka ciąży na nim odpowiedzialność.

— Uważaj... uważaj... — rzekł ojciec, któremu dzwonko śledzia uciekało z talerza. Ułowiwszy je, zagryzł dużym kęsem białej bułki i dokończył:

— Żebyś się tam zanadto nie angażował. Ja nic nie wiem, ale po tej historii w Koluchowie...

— Jakiej historii? — nadstawił Stefan ucha, bo nazwa ta nie była mu obca.

— Nie słyszałeś? — zdziwił się ojciec wycierając talerz miękuską. — Przecież tam jest dom wariatów... to znaczy sanatorium — poprawił się rzucając na syna krótkie skośne spojrzenie, czy go nie uraził.

— Tak, mała prywatna lecznica, i co się tam stało?

— Niemcy zabrali budynek na szpital wojskowy, a wszystkich waria... chorych wywieźli. Mówią, że do obozu.

— Co ty mówisz! — rzekł niedowierzająco Stefan. W teczce miał najnowsze niemieckie dzieło o terapii paranoi, wydane już w czasie wojny.

— No, ja nie wiem. Tak mówią. Ale, ale, Stefan! Patrz, jak mi to z głowy wyleciało! Od razu chciałem ci powiedzieć. Stryj Anzelm gniewa się na nas.

— I za cóż to? — spytał Stefan z przekąsem. Mało go to obeszło.

— Bo rok bez mała pod bokiem Ksawerego mieszkasz, a ani razu z wizytą nie byłeś.

— To stryj Ksawery powinien się gniewać, a nie stryj Anzelm.

— Daj spokój. Wiesz przecie, jaki jest Anzelm. Nie trzeba go sobie zrażać. No, poszedłbyś tam kiedy. Ksawery lubi cię, naprawdę cię lubi.

— Dobrze, ojcze, pójdę.

Przy pożegnaniu ojciec zajmował się wyłącznie sprawą swych ostatnich wynalazków. Był to kawior ze soi i kotlety z mielonych liści.

— Chlorofil jest bardzo zdrowy. Pomyśl, są drzewa, które żyją po sześćset lat! Zupełnie bez mięsa, ale z moim ekstraktem kotlety — powiadam ci — wspaniale! Jaka szkoda, że ostatni zjadłem wczoraj. To ta głupia Mela telegrafowała po ciebie.

Stefan dowiedział się, że wysłanie depeszy spowodowane zostało przez nagłe zaostrenie stosunków między ojcem i ciotką, która postanowiła opuścić dom. Jednakże pogodzili się jeszcze przed jego przyjazdem.

— Byłbym ci dał słoiczek mego kawioru. Wiesz, jak się to robi? Najpierw gotuje się soję, potem zabarwia się węglem, carbo animalis, ty się na tym rozumiesz, potem soli i mego ekstraktu...

— Tego samego, co do kotletów? — spytał Stefan z bardzo poważną miną.

— Skąd! Innego, specjalnego, i do smaku zaprawia się oliwą nicejską. Był tu jeden Żydek, miał mi dostarczyć całą beczkę, ale wzięli go do obozu.

Stefan pocałował ojca w rękę i chciał odejść.

— Czekaj, czekaj. A o kotletach ci jeszcze nie mówiłem.

Zupełnie zdzięcinniał staruszek — pomyślał Stefan, wprawdzie nie bez czułości, lecz nie było w tym śladu porannego wzruszenia.

Zapomniawszy, że są Niemcy i okupacja, Stefan poszedł na dworzec, by wrócić do sanatorium. Okazało się to niewykonalne: straszliwy tłok, rwetes, bieganina. Ludzie wczolgiwali się robakowato przez okna wagonów, jakiś olbrzymi brodac, zabarykadowawszy się w klozecie, wciągał przez okno rozdęte walizy — nawet na dachy się

gramolono. Stefan nie dorósł do takich metod podróżowania. Daremnie próbował dostać się do wagonu tłumacząc, że musi jechać do Bierzyńca. Radzono mu biec za pociągiem.

Już chciał, bezradny, wrócić do ojca, gdy go ktoś pociągnął za rękaw. Obcy mężczyzna w poplamionym kaszkiecie i kraciastej, z koca uszytej kurcie.

— Pan do Bierzyńca?

— Tak.

— Plackarty pan nie ma, co?

— Nie.

— Może co razem zrobimy, ale trzeba beknąć.

— O, ja chętnie... — zaczął Stefan. Obcy zniknął w tłumie i po chwili wrócił z konduktorem trzymając go mocno za łokieć.

— Złotego pan da... znaczy się sto... — tłumaczył zdziwionemu Stefanowi. Trzyniecki zapłacił, konduktor otworzył notes, uprasował banknot między innymi, poślinił palce, otarł o klapy i wydobył klucz wagonowy. Poszli za nim, przeleźli pod wagonem na drugą stronę torów i niebawem znaleźli się w malutkim przedziale.

— Szczęśliwej podróży — rzekł grzecznie konduktor, ruszył wąsami, zasalutował i odszedł.

— Bardzo panu dziękuję — rzekł Stefan, lecz współpodróżny raptem przestał się nim interesować, zwrócony do okna. Miał twarz nie tyle starą, co zniszczoną, o pociemniałej cerze, usta zakłęsłe i cienkie. Kiedy zdjął kurtkę i powiesił ją na haku, dostrzegł Stefan jego ręce, duże, ciężkie, o palcach przywykłych do chwytania kanciastych przedmiotów. Paznokcie były grube i mętne jak płytki łupku. Wcisnąwszy mocno kaszkiet, usiadł w kącie. Pociąg ruszył. W ich przedziale zmieściłyby się jeszcze ze dwie osoby, co stłoczeni na korytarzu widzieli aż nazbyt dobrze. Ich miny nasepiały się. Tuż przy szybie stał elegancki mężczyzna o wydelikaczonej, tłustej, jakby wilgotnej wiecznie twarzy. Co jakiś czas szarpał kłamek i pukał, coraz energiczniej. Wreszcie zaczął wołać, a że głos nie przenikał przez drzwi, wyciągnął jakieś zaświadczenie z niemiecką pieczętką i pokazywał przykładając je do szkła.

— Natychmiast otworzyć! — wrzeszczał. Towarzysz Stefana jakiś czas zdawał się niczego nie zauważać, naraz skoczył na równe nogi i huknął w szybę:

— Milczeć! Tu służbowy przedział, gnojaku jeden! Tamten pomruczał dla ratowania honoru i wycofał się. Dalsza podróż przeszła bez wydarzeń. Gdy wzgórze narastające jedno za drugim jęły zwiastować Bierzyniec, obcy wstał i narzucił kurtkę. Wówczas poła jej, uderzając o drewnianą ściankę, stuknęła głucho, jakby wypełniona była metalem. Stefan odrobinę się zdziwił, ale nic takiego nie pomyślał. Pociąg skręcił wpadając na pusty peron. Zasyczały hamulce. Stefan i obcy wyskoczyli na żwir. Za ich plecami lokomotywa sapała, by pokonać wzniesienie. Wyszli przez lukę w żelaznej barierce. Tuż za budynkiem stacyjnym otwierał się patetyczny krajobraz jesieni. Stefan, spojrzawszy w słońce, skrzesał rzesami tęczę i szedł dalej mrużąc powieki, pod którymi tańczył czerwony blask. Obcy kroczył obok niego w milczeniu. Przeszli przez miasteczko, potem skręcili w wąwóz; tu jakby się zawahał.

— Pan do sanatorium? — spytał zdziwiony Stefan. Tamten nie odpowiedział od razu, wreszcie rzekł:

— E, nie. Tak przewietrzyć się chciałem.

Uszli jeszcze kilkaset metrów. U wylotu wąwozu, pod ścianą drzew, nim się jeszcze ukazał ceglany budynek, Stefana olśniła niespodziewana myśl.

— Proszę pana... — bąknął przystając. Obcy znieruchomiał patrząc mu w oczy.

— Pan może na podstację, co...? Ja... niech pan nie mówi... Proszę tam nie iść!

Obcy patrzył na niego badawczo — ni to kpiąco, ni to z niedowierzaniem; na ustach miał grymas półuśmiechu, oczy wąskie, nieruchome. Nie odzywał się, ale i nie ruszał z miejsca.

— Tam są teraz Niemcy... — zduszonym głosem szybko wyrzucał Stefan. — Niech pan

tam nie idzie!

Oni... wzięli Wocha. Aresztowali go. Podobno... podobno... — Urwał.

— Kto pan jest? — spytał obcy. Jego twarz stała się szara jak kamień, wsunął rękę do kieszeni, a drobny uśmiezek, który tkwił mu wciąż na wargach, stał się pustym skrzywieniem ust.

— Jestem lekarzem z sanatorium. Ja znałem go... Nie dokończył.

— Na podstacji są Niemcy? — rzekł tamten. Mówił jak człowiek trzymający duży ciężar. — No, to mnie nic nie obchodzi... — dodał rozwlekając słowa. Widać było, że gwałtownie myśli. Naraz szarpnął się w sobie i zbliżając twarz do twarzy Stefana, tak że owiał go oddechem, rzucił:

— A tamci?

— Pościkowie? — skwapliwie podchwycił Trzyniecki. — Uciekli. Niemcy nie złapali ich. Są w lesie, u partyzantów. To znaczy, tak słyszałem...

Obcy rozejrzał się, pochwycił jego rękę, krótko, do bólu ścisnął i ruszył prosto przed siebie.

Nie dochodząc do zakrętu wspiął się na górę po zboczu i zniknął między drzewami. Trzyniecki odetchnął głęboko i zaczął iść stokiem sanatoryjnego wzgórza. Kiedy dochodził prawie do kamiennego łuku, odwracając głowę spojrzął w dół, na pola, szukając wzrokiem towarzysza podróży. Przez chwilę łudziły go kształty pni, ciemniejących pośród cytrynowych i plamistorudych liści. Naraz ujrzał go. Obcy stał daleko, nieruchomy, czarny na tle bezwietrznego krajobrazu. Było to mgnienie; potem pochylił się, zniknął wśród drzew i już się nie pojawił.

Przy drzwiach męskiego pawilonu stał — rzadkie zjawisko w ogrodzie — Pajączkowski z księdzem Niezgłobą. Ksiądz od kilku tygodni miał się już zupełnie dobrze i właściwie mógł wrócić do duszpasterskich obowiązków, ale jego zastępstwo w diecezji kończyło się dopiero z rokiem. Zresztą przyznał się, że nie chce być u swoich parafian na Boże Narodzenie.

— Śmiesznie rzecz — mówił — ale u nas każdy obrazi się, jeżeli u niego nie wypić. Na Nowy Rok także, a na Wielkanoc, ze święconym, to już najgorzej. Teraz mi nie wolno, ale czy to oni uszanują zdrowie. Nie opędziłbym się. Już lepiej posiedzę, jeśli mnie pan profesor (tak tytułował Pajpaka) nie wyrzuci. Stary adiunkt miał słabość do kościoła. Tylko dzięki temu dwie szarytki, znane z nielitościwego obchodzenia się z chorymi, nie zostały usunięte przed laty, gdy w związku ze śmiertelnym oparzeniem chorej w kąpieli gościła w murach sanatorium komisja ministerialna. Co prawda same wkrótce odeszły — tajemnie przez niego naciskane. Tak przynajmniej opowiadano tę historię.

Teraz ksiądz nalegał, by Pajączkowski pozwolił mu odprawić w najbliższą niedzielę mszę w małej kapliczce, stojącej pod północnym murem ogrodu. Już się był dowiedział w parafii, że można, że nie ma przeszkód, postarał się o wszystko, co potrzebne, prosił tylko o formalne przyzwolenie „pana profesora”. Pajpak cierpiał, gdyż chciał, a wstydził się kolegów. Wiadoma rzecz: msza w domu obłąkanych to prawie kpina. Jeszcze dla personelu, ale ksiądz uważał, że chorzy — ci, co zdrowsi — mogliby...

Nareszcie Pajączkowski spotniał, zgodził się i od razu uspokoił. Zadreptał, przypomniał sobie coś i przeprosił księdza. Na to nadszedł Stefan.

— Już ksiądz księżniczki nie widuje? — rzekł patrząc w rozwichrzony ogród. Wydane na wiatr drzewa traciły liście szybciej niż w dolinie. W pierwszej chwili nie zorientował się, że mógł dotkliwie urazić księdza.

— Umysł mój, kochany panie doktorze — rzekł ksiądz — przyrównałbym do instrumentu muzycznego, w którym kilka strun fałszowało... Tak więc dusza, ten przedziwny artysta, nie mogła odegrać właściwej melodii. Teraz jednak, kiedyście mnie, panowie, uleczyli, jestem zdrów zupełnie i wdzięczny.

— Jednym słowem przyrównuje nas ksiądz do stroicieli — rzekł Stefan z wewnętrznym

uśmiechem, choć twarz zachował poważną. — Można i tak. Zdaje się, że jakiś teolog XIX wieku powiadał, że telodendria, to jest wypustki komórek nerwowych, zanurzone są w eterze światowym... Tyle że, eter został już zlikwidowany przez fizykę.

— Nie tak dawno nie słyszałem jeszcze tych nut w pańskim głosie — rzekł ksiądz zasmucony. — Proszę wybaczyć natręctwo byłego pacjenta, ale wydaje mi się, że pan Sekułowski zawsze oddziaływał na pana doktora jak... piołun. Pan jest z natury serdeczny, a po widzeniu go przenikały pana jakieś myśli gorzkie i, jestem tego pewien, obce...

— Ja serdeczny? — uśmiechnął się Stefan. — Jego komplementu na ogół oszczędzano mi w życiu, aż dopiero ksiądz...

— Pan przyjdzie w niedzielę, nieprawdaż? Pozostawiłbym już pana uznaniu, którym chorym wolno będzie wziąć udział w mszy. Z jednej strony pragnąłbym, aby ich było jak najwięcej, przecież już od tylu lat... ale z drugiej... — zawahał się.

— Rozumiem — rzekł Stefan. — Wydaje mi się jednak, że to rzecz nie na miejscu.

— Jak to? — ksiądz był wyraźnie speszony. — Sądzi pan, że...?

— Sądzę, że są miejsca, w których nawet Bóg może się skompromitować.

Ksiądz opuścił głowę.

— A więc doprawdy. Niestety, wiem dobrze, że brak mi odpowiednich słów,, jestem takim zwyczajnym wiejskim proboszczem. Przyznaję się: kiedy studiowałem, marzeniem moim było spotkać się z jakimś duchem niewierzącym a silnym. Żeby go ujarzmić i poprowadzić...

— Jak to — ujarzmić? To dziwne, co ksiądz mówi.

— Miałem na myśli ujarzwienie miłością, ale to Był grzech. Później dopiero zrozumiałem: grzech pychy.

A potem dowiedziałem się wielu rzeczy innych, których uczy życie z ludźmi. Wiem dobrze, jak mało jestem wart. Każdy z doktorów posiada baterię argumentów, którą potrafi zetrzeć moją księżą mądrość... Stefana znudził czułościowy i napuszony ton księdza. Rozejrzał się.

Chorzy szli alejkami ku pawilonowi, zbliżała się pora obiadowa.

— Niechże to pozostanie między nami — rzekł czyniąc jakby gest pożegnania — a ksiądz wie, że ścisłość naszej tajemnicy równa jest waszej, jeżeli nie brać pod uwagę nieba... otóż, czy nigdy ksiądz nie wątpił?

— Jak mam odpowiedzieć, panie doktorze?

— Chciałbym usłyszeć prawdę.

— Proszę wybaczyć: zdaje się, że rzadko zagląda pan do Ewangelii. Niech więc pan przeczyta u świętego Mateusza ustęp 27, 46. Nieraz były to moje słowa.

Ksiądz odszedł. Zrobiło się prawie pusto. Wiśniowe plamy szlafroków wędrowały tak jednostajnie, jakby je niewidzialna siła wyczesywała z oproszonych złotem gąszczy. Ostatni szedł pielęgniarz ćmiąc papierosa. Stefan ruszył za wszystkimi. Przechodząc obok zapuszczonego bzu dostrzegł skulonego człowieka. Chciał zawołać pielęgniarza, lecz się wstrzymał. Chory, nachyliwszy się nisko nad klombem, ręką trochę jakby sztywną gładził niezdarnie srebrzystą trawę.

## ACHERON

Stefan wracał z przechadzki. Rowy po obu stronach drogi wypełniało puszyste złoto, jakby przebiegający muł Ali Baby pogubił cekiny z rozprutych worów. W szarym niebie płonął bliski kasztan niczym potrzaskana zbroja z mosiądzu. Dalej rdzewiał las. Stefan szedł, a liście, szumiące grubą warstwą pod stopami, zmieniały barwę od żółtej do brązu, oscylując wokół zasadniczej czerwieni jak ten sam rno—tyw muzyczny w różnej instrumentacji. Dno skręcającej w dół alei tłało pomarańczowym brzaskiem. Daleko, po horyzont, wędły sady. Wiatr gonił szeleszczące chmury liści przez kawalkadę pni. Mając jeszcze w oczach tysięczny blask, wszedł do biblioteki po zostawioną tam książkę.

Przy ściennym telefonie stał Pajpak przyciskając słuchawkę tak silnie, aż mu ucho bielalo. Prawie się nie odzywał. Jąkał tylko:

— Tak... ta... tak... tak... tak...

Potem dziękował gorąco i powiesił obu rękami słuchawkę.

Chwycił się aparatu. Stefan przyskoczył.

— Panie... kochany... kochany panie... — szeptał Pajczkowski. Stefanowi zrobiło się go żal.

— Pan adiunkt zasłabł? Może trochę koraminy? Zaraz skoczę do apteki...

— To nie to... to nie ja... — wybelkotał staruszek. Wyprostował się i wodząc po ścianie dłonią jak ślepiec, podszedł do parapetu.

Czerwona jesień, nasiąknięta wonią butwienia, cętkowana złotawo przyćmionymi liśćmi, przybijała do okna jak przypływ.

— Widzi pan? Koniec — powiedział nagle. — Koniec — powtórzył.

Schylił siwą główkę na piersi.

— Pójdę do profesora. Tak, pójdę. Która to godzina?

— Piąta.

— To będzie pewno u... siebie. Profesor był u siebie zawsze.

Odwracając się, teraz jakby dopiero spostrzegł Trzynieckiego.

— A pan... pójdzie ze mną.

— Ja...? Po co? Co się stało, panie adiunkcie?

— Jeszcze nic. I Bóg nie dopuści. Nie, nie dopuści. A my zrobimy... Pan pójdzie jakby świadek. Zresztą raźniej mi będzie mówić: bo to pan wie — Magnificencja...

W ostatnim słowie zajarzyła się iskierka małego Pajpakowskiego humoru, która natychmiast zgasła.

Pójść do sali ogólnej czy do mieszkania którego z lekarzy — a do profesora, to była ogromna różnica. Drzwi zwyczajne, białe, jak wszystkie inne. Pajczkowski zapukał tak delikatnie, że nie został usłyszany ze środka.

Odczekał i spróbował drugi raz, głośniejsze. Stefan chciał sam zastukać, ale adiunkt odtrącił go bojaźliwie: nie umiesz, wszystko popsujesz.

— Proszę!

Potężny głos. Już w jego kręgu uchylili drzwi, weszli.

Znany Stefanowi pokój wyglądał w świetle zachodu inaczej. Słońce dało białym ścianom ognisty kolor. Gorzał jak jaskinia lwa. Stare złoto paliło się na grzbietach książek niby dziwna intarsja. Ciemne politory komody i półek wydobywały z siebie pod słonecznym smykiem mahoniowe basy. Drgające tarcze świetlne leżały w słojach drewna, świetliste iskry we włosach profesora, który — jak zawsze za stołem, nad grubym jakimś dziełem, z fotela rozchylonego także jak księga — patrzył nieruchomo na Pajpaka i Stefana.

Pajczkowski z pewnym wysiłkiem przebrnął przez wstęp: że przeprasza, wie, że przeszkadza, ale vis maior — dobro ogółu. Wreszcie doszedł do sedna sprawy:



— Dzwonił do mnie, Wasza Magnificencjo, Kocierba... aptekarz bierzyniecki. Otóż dzisiaj rano przyjechała do Bierzyńca kompania Niemców i policjantów hajdamackich. To znaczy ukraińskich. Nakazano im milczenie, ale któryś wygadał: przyjechali zlikwidować nasze sanatorium.

Tu Pajpak jakby się trochę zmniejszył, tylko nosk haczykowany wysunął: skończyłem.

Profesor, jako człowiek ścisłej nauki, podał w wątpliwość wiarygodność informacji aptekarza. Ujął się za nim Pajączkowski.

— To człowiek pewny, Magnificencjo. On tu jest od trzydziestu lat. Pana profesora pamięta jeszcze z czasów służącego Olgerda. Magnificencja go nie zna, bo to mały człowiek — tu ręką pokazał od ziemi, jaki mały — ale on jest uczciwy.

Westchnął i rzeki:

— Otóż, Wasza Magnificencjo: to wiadomość tak straszna, że wierzyć się nie chce. Ale naszym, to jest moim obowiązkiem jest właśnie, żeby uwierzyć. — Teraz przypadła mu najcięższa część przemówienia. Choć niby pokorny i zmieszany, widział dobrze, jak chłodne jest przyjęcie: profesor nie prosił nawet siadać. Dwa fotele za stołem stały puste, pełne cienia, w złotej chmurce refleksów słonecznych. Sam profesor przycisnął wielką dłońią o nieruchomych żyłach książkę i czekał. Oznaczało to, że cała scena jest intermezem czynności daleko ważniejszych, których przybyli zrozumieć nie mogą.

— Dowiedziałem się, Wasza Magnificencjo, że tym żołdakom przydany jest jako zwierzchnik psychiatra niemiecki. A więc niby kolega. Doktor Thiessdorff. Urwał. Profesor milczał, tylko brwi ściągnął leciutko, podobne siwym błyskawicom — „nie słyszałem”, „nie znam”.

— Tak, to młody człowiek. Esesowiec. I, aczkolwiek rozumiem, że jest to przedsięwzięcie niewdzięczne — cóż pozostaje innego? Trzeba pójść do niego, do Bierzyńca, jeszcze dziś, Wasza Magnificencjo, bo właśnie jutro... — rzekł, a głos mu stężał. — Niemcy zawiadomili dziś magistra Pietrzykowskiego, starostę, że potrzebują na rano czterdziestu ludzi do szarwarku. — Ta wiadomość... nie jest dla mnie zupełnie nieoczekiwana — rzekł raptem profesor i dziwne było, jak ktoś tak wielki mógł mówić tak cicho, — Oczekiwałem jej, być może nie w tej formie, po artykule Roseggera... Pan kolega przecież pamięta?

Pajpak przytaknął gorliwie: pamięta, słucha i uważa.

— Jednakże nie wiem, jaka jest w tym moja rola? — ciągnął profesor. — O ile się orientuję, ani personelowi, ani lekarzom nic nie grozi. Chorzy zaś... Tego nie powinien był powiedzieć. Zazwyczaj przygotowujący słowa daleko naprzód, nim zostaną wypowiedziane, teraz musiał się zastanawiać z opóźnieniem. Pajączkowski był pozornie taki jak zawsze, ale dłoń chuda, także starcza, lecz jakże inna (nic z tytana — gołąbek), kiedy ją opierał o róg biurka, nie drżała. — Czasy są takie — powiedział — że życie ludzkie traci wartość. Czasy są straszne, ale jeszcze nazwisko Waszej Magnificencji będzie mogło się położyć jak tarcza nad tym domem i uratować życie stu osiemdziesięciu nieszczęśliwym.

Druga ręka profesora, ukryta dotąd za biurkiem jak ktoś nie biorący udziału w dyskusji, wmieszała się: dała znak milczenia mocnym, poziomym skinieniem.

— Nie jestem przecież kierownikiem zakładu — powiedział. — Nie jestem nawet na liście pracowników ani na etacie, w ogóle przebywam tu nieoficjalnie i, jak sądzę, i ja, i wy możemy mieć z tego tytułu i poważne przykrości. Jednakże, jeśli będziecie sobie tego życzyć, zostanę. Co się atoli tyczy wstawiennictwa — moje zasługi, jeżeli jakieś położyłem, zostały już uznane przez „nich” w Warszawie, pan wie, w jaki sposób. Młody, dziki Aryjczyk, który, jak kolega mówi, zamierza zabić jutro naszych chorych, niewątpliwie ma rozkaz władzy, która nie liczy się ani z wiekiem, ani z naukowym imieniem.

Zapadło milczenie, w którym pokój powoli się przeinaczał. Słońce zachodzące za murem osuwało ostatni promień czerwono płaczącą plamą wzdłuż przyokiennej szafy, tak pierzasty i drżący, że Stefan, choć z najwyższym napięciem śledził rozmowę, podążał za nim oczami.

Potem błękitny woal, w którym snuła się już zapowiedź nocy, wypełnił pokój jak bardzo przejrzysta woda. Robiło się i ciemniej, i smutniej, jak na scenie dobrze wyreżyserowanej sztuki, której akcję niewidzialne reflektory prowadzą zmianami blasku.

— Mam zamiar pójść tam teraz — rzekł Pajączkowski, który pod słowami profesora prostował się coraz bardziej, aż drżała mu donkiszotowska bródka — i sądziłem, że będzie mi pan towarzyszył.

Profesor nie drgnął.

— Wobec tego idę. Żegnam... Waszą Magnificencję.

Wyszli.

Korytarz zakręcał pod kątem. Było w nim jeszcze to światło czerwone, które właśnie opuściło pokój profesora. Stefan czuł się przy boku drepczącego staruszka bardzo mały. Ile dumy wezbrało naraz w tej twarzy drobnej i zawiedłej.

— Pójdę teraz — powiedział, gdy stanęli nad klatką schodową przegowaną światłem — a pan kolega zachowaj wszystko, co słyszał, w tajemnicy — do mego powrotu.

Położył dłoń na poręczy.

— Profesor przeszedł chwile ciężkie. Został wyrzucony ze swej pracowni, w której stworzył podstawy elektroencefalografii... nie tylko polskiej. Jednakże nie sądziłem...

Tu cień starego Pajpaka powrócił na chwilę: bródka mu zadrżała. Ale to było mgnienie.

— Nie wiem, czy Acheronta movebo. Ale...

— Pójść z panem?! — rzucił Stefan. W tejsze chwili przestraszył się, czuł miękkie ogłuszenie jak wtedy, — gdy kopnął go Niemiec. Cofnął się.

— Nie. Cóż pan pomoże? Może jeden Kauters.

Potem dodał, po długiej chwili:

— Ale on nie pójdzie. Wiem. Te go było dość.

I zaczął zstępować w pustą, kamienną klatkę schodową krokiem tak mocnym, jakby chciał zadać kłam wszystkim plotkom o swej chorobie.

Stefan stał jeszcze przy schodach, gdy nadszedł Marglewski. Chudy doktor był w wyśmienitym humorze. Złapał Stefana za guzik i pociągnął go do okna.

— Słyszeliście, kolego, że ksiądz chce nam jutro odprawić mszę? Potrzeba mu ministrantów. No, to mu przez Rygiera obiecałem dać chłopców. Wiecie, kto mu będzie do mszy służył? Ten mały Piotruś z mego oddziału! Wiecie który?

Stefan pamiętał małego blondynka o twarzy Murillowskich aniołków i złotych pierścieniach włosów wokół główki. Był to śliniący się, niedorozwinięty kretyn.

— To będzie pyszne! Słuchajcie, kolego, musimy koniecznie...

Stefan poświęcił guzik, zawołał, że się bardzo spieszy i zostawił Marglewskiego w pół słowa. Wybiegł z budynku przez ogród na szosę, którą Pajączkowski poszedł do Bierzyńca. Szedł w dół, nie widząc prawie drogi. Raptem ocknął się. W kruchy szelest liści wmieszał się nowy dźwięk. Podniósł głowę i przystanął. Z dala warczał motor. Ktoś jechał pod górą: zwiastowała to ruchoma kita kurzu, zachodząca coraz bliżej za drzewa. Stefan drgnął mimo woli, jakby poczuł chłód, i szybko zawrócił. Doszedł prawie do kamiennego łuku z zatartym napisem, gdy hałas silnika rozległ się zupełnie blisko. Stanął przy filarze.

Drogą nadjeżdżał, zgrzytając na drugim biegu i mocno się kołysząc, niemiecki wóz wojskowy, „Kubelwagen”, ze ściętą płasko blachą motoru. Za przednią szybą ciemniał bojowy hełm kierowcy. Samochód minął Stefana, skręcił, jęknął trybami i wjechał na zewnętrzne podwórze stając przed furką.

Stefan poszedł w tym kierunku.

Przy murze stał wielki Niemiec. Miał plamistą pelerynę ochronną, czarne okulary zarzucone na hełm i czarne rękawice z lejowatymi mankietami. Na suknie munduru zaschły kropelki błota. Rozmawiał z odźwiernym podniesionym głosem. Stefan, słysząc pytanie, wmieszał się:

— Der Direktor ist leider zur Zeit abwesend. Bitte, was wünschen Sie?

— Hier muss mal Ordnung gemacht werden — powiedział Niemiec. — Sind Sie sein Stellvertreter?

— Ich bin hier Arzt.

— Na, also, dann gehen wir mal rein.

Wszedł tak pewnie, jakby się doskonale orientował w otoczeniu. Kierowca został w samochodzie. Przechodząc Stefan zauważył, że żołnierz trzyma prawą rękę na pistolecie maszynowym, leżącym obok na siedzeniu.

Zaprowadził Niemca do ogólnej kancelarii.

— Wie viele Kranke haben Sie jetzt?

— Entschuldigen Sie, aber ich weiss nicht, ob...

— Wann Sie sich zu entschuldigen haben, bestimme ich — rzekł Niemiec o ton ostrzej. — Antworten Sie.

— Etwa einhundertsechzig...

— Ich muss die genaue Zahl haben. Zeigen Sie die Papiere.

— Es ist ja Arztgeheimnis.

— Ein Arschloch ist das — odparł Niemiec. Stefan wyjął z regałów księgę i otworzył ją: stan chorych wynosił 186.

— So? Und lügen Sie nicht?

Od jakiejś chwili Trzynieckiemu zaczęły ziębnąć policzki. Równocześnie nie mógł wzroku oderwać od brody Niemca, szczególnie kanciasto wysadzonej. Palce, sklezione chłodnym potem, zwierają mu się w pięści. Ale spojrzał w wypłowiałe oczy, które widziały setki ludzi rozbierających się do naga nad otwartym rowem, które znały ich bezsensowne ruchy, gdy, nie rozumiejąc, usiłowali przygotować swe żywe ciało do upadku w błoto. Pokój zakręcił się wokół niego. Nieruchoma była tylko wielka postać w zielonej, zsuniętej na ramiona pelerynie.

— Ein dreckiges Nest, das — powiedział Niemiec. — Zwei Tage schon muss mañ die Schweinehunde durch die Walder jagen. So was eine Sonderkommission wird zu Ihnen kommen. Wenn Sie einen einzigen Kranken verstecken, wird Ihnen... — nie groził, w ogóle nie zrobił żadnej miny ani gestu. Mimo to Stefan wewnątrznie zdrętwiał. Czuł, jak mu gwałtownie schną usta. Oblizywał je ciągle.

— So zeigen Sie mir jetzt alle Gebäude hier.

— In die Krankensäle werden die Nichtärzte nicht zugelassen, weil die Verordnung... — ostatni raz, prawie szeptem powiedział Stefan.

— Die Verordnungen machen wir — powiedział Niemiec. — Genug gequatscht.

I, jakby nie widząc tego, co czyni, pchnął Stefana, aż ten się zatoczył. Szybkim krokiem szli przez podwórze. Niemiec rozglądał się, zadawał pytania: ile miejsc jest w danym pawilonie? ile wyjść? czy okna zakratowane? ilu chorych?

Wreszcie, wychodząc, spytał o liczbę lekarzy i sanitariuszy. W drodze powrotnej przystanął nad największym trawnikiem, pociągnął po nim spojrzeniem w obie strony, jakby brał miarę.

— Sie können beruhigt schlafen — rzekł stojąc przy aucie. — Ihnen wird nichts passieren. Falls wir aber einen Banditen bei Ihnen finden, eine Waffe oder so was, dann möchte ich nicht in Ihrer Haut stecken.

Motor zaskoczył, Niemiec usadowił się, ogromny, na tylnym siedzeniu. Teraz dopiero Stefan uświadomił sobie dwie dziwne rzeczy: po pierwsze — nie spotkali ani jednego lekarza, ani sanitariusza, choć ci nieraz pod wieczór włóczyli się po ogrodzie, po drugie — nie wiedział wcale, kim był ów Niemiec. Odznaki na wypustkach munduru zakrywała peleryna. Z twarzy pamiętał Stefan tylko czarne okulary i hełm. — Wyglądał jak Marsjanin — pomyślał jeszcze, gdy zbudził go z zamyślenia lekki tupot kroków:

— Co to było, kolego?

Nosilewska, o oczach piękniejszych niż zwykle, zarumieniona podnieceniem i biegiem, stała tuż przed nim. Nie miała lekarskiego płaszcza. Zmieszał się, zaczął tłumaczyć, że sam nie wie — jakiś Niemiec pragnął obejrzyć szpital. Podobno oni robią w lasach obławy na partyzantów, więc przyszedł.

Plątał tak, bo nie chciał zdradzić Pajpaka.

Nosilewską wysłali Rygier i Marglewski, którzy, mimo iż z górnej dyżurki obserwowali odjazd auta, woleli nie schodzić. Jej samej też nie puścili przedtem na dół: strzeżonego....

Stefan dość niegrzecznie zostawił ją i poszedł znowu na szosę.

Spojrzał na zegarek: siódma. Ciemniało na dobre. Niemiec zabawił niemal pół godziny, Pajpak powinien niebawem wrócić. W mroku wszystko wydawało się inne, obce. Spojrzał w stronę sanatorium. Wyniosły kontur budynków ciemniał na tle brunatnych chmur, rozświetlonych jak lampą schowanym w nich księżycem.

Uszedł jeszcze kilkaset kroków, gdy w szum liści wpadło jedno i drugie stuknięcie.

Ktoś szedł mu naprzeciw. Było ciemno, księżyc schował się za chmurą. Kierując się słuchem Stefan przeszedł na drugą stronę drogi i poznał adiunkta dopiero, gdy dzieliły ich trzy kroki.

— Panie doktorze... był u nas Niemiec — zaczął, ale zaraz urwał: tamten na pewno niósł ważniejsze wieści.

Jednakże Pajczkowski milczał. Stefan szedł obok niego, to trochę z tyłu, to wyprzedzając go. Tak doszli do bramy, po czym udali się — ciągle w milczeniu — do gabinetu Pajpaka. To jest — adiunkt tam się skierował, a Stefan nieodstępnie za nim. Pajczkowski otworzył drzwi kluczem i wszedł. I chociaż obaj znali dobrze rozkład mebli, a kontakt był tuż za drzwiami, jakoś w groteskowy sposób obili się o siebie trzy czy cztery razy ciałami, nim zapłonęło światło, Stefan, któremu pytania paliły wargi, cofnął się ze strachem.

Pajczkowski był żółty i jakby zeschły. Zrenice miał jak kropki.

— Panie adiunkcie... — szepnął Stefan. I głośniejszym głosem: — Panie adiunkcie...

Pajczkowski podszedł do szafki lekarskiej, wyjął stamtąd małą flaszeczkę z dotartym korkiem: spiritus vini concentratus, chlusnął do szklanki, bo nie miał kieliszka, wypił i mocno się zakrztusił. Potem upadł na fotel i objął głowę rękami.

— Przez całą drogę — powiedział z za pleców — układałem sobie, co mam mówić. Jeżeli mi powie, że obłąkani są bezużyteczni — myślałem — powołam się na Niemców, Bleulera i Moebiusa. Jeżeli będzie mówił o ustawodawstwie norymberskim, wyjaśnię, że jesteśmy krajem okupowanym, więc przed zawarciem traktatów pokojowych stan nasz nie jest zalegalizowany... Jeżeli by zażądał wydania nieuleczalnych, powiem, że medycyna nie zna wypadków beznadziejnych. Zawsze trzeba liczyć na nieznaną, to jest; jeden z obowiązków lekarza. Jeżeli powie mi, że to kraj wrogów, a on jest Niemcem, przypomnę mu, że przede wszystkim jest lekarzem. Jeśli...

— Panie adiunkcie... — błagalnie szepnął Stefan.

— Tak, pan nie chce słuchać. Kiedy przyszedłem tam, nie wiem, czy powiedziałem trzy słowa. Dał mi w twarz.

— A... a... — bełkotał Stefan.

— Wachmistrz Ukraińców powiedział mi, że Obersturmfuhrer Hutka pojechał do sanatorium, żeby stwierdzić stan chorych i „opracować plan taktyczny”. Oni to tak nazywają. Mam nadzieję, że podaliście fałszywe liczby?

— Nie... ja... to jest: on sam zajrzał.

— Tak. No, tak, tak.

Pajpak nalał sobie z drugiej flaszki bromu z luminalem, wstrząsnął, wypił i otarł usta grzbietem dłoni. Potem poprosił Stefana o zawezwanie wszystkich lekarzy do biblioteki.

— Czy... pana profesora też?

— Co? Tak. A zresztą nie. Nie.

W bibliotece świeciło się już, gdy Stefan przyszedł z Nosilewską i Rygierem. Potem zjawili się Kauters, Marglewski i Staszek. Pajączkowski stojąc czekał, aż wszyscy usiedli. Potem zwięźle, bez dygresji, do których miał słabość, powiedział, że ekipa niemiecko-ukraińska, która spacyfikowała, to znaczy spaliła i wymordowała wieś Owsiane, ma eksterminować chorych przebywających w sanatorium. W tym celu Niemcy zażądali na rano ludzi z Bierzyńca, gdyż mając w tych czynnościach praktykę wiedzą, że chorzy nie są zdolni do skoordynowanej pracy, w przeciwieństwie do chłopów, którzy groby kopią sobie zazwyczaj sami. Zdał wreszcie sprawę ze swojej próby, którą było pójście do doktora Thiessdorffa.

— Zaledwie napomniałem mu o celu ich przybycia, spoliczkował mnie. Chciałbym wierzyć, że to był wyraz oburzenia za potwarz, jednakże wachmistrz Ukraińców poinformował mnie, że otrzymali rozkaz przygotowania się do akcji bojowej: dziś dostaną dodatkowe naboje. Wachmistrz wydawał mi się dość uczciwym człowiekiem, o ile w tych okolicznościach to słowo coś znaczy.

Na zakończenie Pajączkowski wyjaśnił lekarzom istotny cel popołudniowej wizyty Obersturmführera Hutki.

— Chciałbym, żebyście państwo... jakoś zastanowili się nad tym. Żeby... powziąć pewne decyzje... kroki. Jestem kierownikiem, ale po prostu... po prostu nie dorosłem...

Tutaj głos go zawiódł.

— Można by rozpuścić wszystkich chorych w lasy, a sami rozjechalibyśmy się; o drugiej w nocy jest osobowy do Warszawy — rzekł Stefan i urwał, tak głucho odpowiedziało mu milczenie. Pajpak poruszył się.

— Myślałem o tym... ale niepodobna. Z łatwością wyłapią chorych. I w lesie nie mogą przecież żyć. To... byłoby najprostsze, ale to nie jest rozwiązanie.

— Oczywiście nonsens — odezwał się kategorycznym tonem Marglewski. — Uważam, że musimy ustąpić przed siłą. Jak Archimedes. Opuścić... opuścić szpital.

— Z chorymi?

— Nie, skąd? Po prostu — opuścić.

— To znaczy uciec. Oczywiście, i to jest wyjście — jakoś dziwnie cierpliwie, łagodnie rzekł starszy. — Niemcy mogą mnie bić po twarzy, wyrzucić stąd, wszystko, co zechcą. Jednakże jestem czymś więcej niż kierownikiem zakładu. Jestem lekarzem. I państwo wszyscy także jesteście lekarzami.

— Nonsens. I cóż z tego? — Marglewski podparł brodę ręką, jakby był sam.

— Czy nie próbował pan... innych środków? — zagadnął Kauters. Wszyscy spojrzeli na niego.

— Co pan ma na myśli?

— No... jakiś środek udobruchania...

— Łapówka...? — domyślił się wreszcie adiunkt. — Kiedy oni tu będą?

— Prawdopodobnie między siódmą a ósmą rano. Marglewski, który dziwnie jakoś się kręcił, nagle odtrącił krzesło, oparł rozcapierzone dłonie o stół, aż mu kostki zbieleły, i rzekł:

— Ja... uważam za swój obowiązek. Muszę ratować pracę naukową, która jest dobrem wszystkich, ogółu, nie tylko moim. Widzę, że mi nie pozostaje nic innego. Żegnam panów.

Nie patrząc na nikogo, wyszedł z podniesioną głową.

— Ależ, panie kolego! — zawołał Krzczotek. Pajączkowski zrobił słaby, bezsilny ruch ręką.

Wszyscy jeszcze patrzyli na drzwi.

— A, więc to tak... — rzekł Pajpak jakimś łamliwym głosem. — To tak. Pracuję tu dwadzieścia lat... dwadzieścia lat. Ale nie wiedziałem... nie przypuszczałem... ja, psycholog, ja, znawca dusz... ja...

— Przecież nie o sobie mamy myśleć, ale o nich!! — krzyknął rozzwierając, uderzając

piąstką w stół, i zapłakał. Zaczął kaszleć i drżeć.

Nosilewska wstała, podprowadziła go do fotela i usadziła, choć się opierał. Światło grało złotymi smużkami w jej włosach, gdy pochylając się nad staruszką ujęła go dyskretnie za przegub, badając tętno. Potem wróciła odrzucając loki w tył.

Nagle wszyscy zaczęli jednocześnie mówić:

— Może to jeszcze niepewne,

— Zadzwoń do aptekarza.

— W każdym razie Sekułowskiego trzeba będzie ukryć.

(To powiedział Stefan).

— I księdza też.

— Panie kolego, ale on chyba jest już wypisany? — Nie, właśnie że nie.

— To chodźmy do kancelarii.

— Niemiec sprawdził stan — głucho powiedział Trzyniecki — i... i mnie, to znaczy nas wszystkich uczynił odpowiedzialnymi.

Kauters milczał ciągle.

Pajczkowski wstał, spokojny, tylko oczy miał czerwone. Stefan podszedł do niego.

— Panie adiunkcie, musimy się zdecydować. Trzeba by ukryć niektórych...

— Trzeba ukryć wszystkich chorych, którzy są przytomni — powiedział adiunkt.

— Paru najbardziej wartościowych można by... — rzekł wahając się Rygier.

— Może w ogóle wypuścić uzdrowieńców?

— Nie mają papierów. Wezmą ich zaraz na dworcu.

— Więc kogo ukryć? — spytał z nie ukrywanym rozdrażnieniem Krzeczotek.

— No, mówię: najbardziej wartościowych — powtórzył Rygier.

— Nie ja będę decydował o wartości. Chodzi o to, by nie zdradzili innych — powiedział Pajpak. — Tylko o to.

— A więc selekcja?

— Proszę panów na oddziały... koleżanka zechce zawiadomić oddzielnie personel pielęgniarski.

Wszyscy ruszyli do drzwi. Pajpak stał z boku, oburącz wsparty o krzesło. Stefan, idąc ostatni, usłyszał jego szept.

— Przepraszam? — spytał sądząc, że Pajczkowski mówi do niego. Ale staruszek nawet nie słyszał.

— Oni, oni będą się tak bali... — szepnął prawie bez tchu.

Nie spali przez całą noc. Selekcja dała wynik wątpliwy: jakichś dwudziestu chorych,, ale i za tych nikt nie mógł ręczyć, czy wytrzymają nerwowo. Ukrywana pozornie wieść dziwnie się szerzyła po całym szpitalu. Młody Józef biegał w rozwianym płaszczu, usiłując na krok nie oddalić się od adiunkta, i bełkotał o swojej żonie i dzieciach.

Na oddziale kobiecym półnagi tłum tańczył w mętym obłoku pierza z nieubłaganym, cienkim wyciem. Stefan i Staszek w ciągu dwu godzin omal ogołocili szczupłe zapasy apteczki, hojną ręką rozdzielając tak dotąd oszczędzany luminal i skopolaminę, z marnym zresztą wynikiem. Stefan sam pociągnął dwa razy z wielkiej butli bromu, wyśmiany przez Rygiera, który przekładał nad lekarstwa spirytus. Potem ujrzał wymykającego się ku bramie Marglewskiego, niosącego dwie ciężkie walizy i plecak wypchany kartotekami pracy o geniuszach. Kauters zniknął przed północą w swoim mieszkaniu. Chaos rósł z minuty na minutę. Każdy pawilon wrzeszczał innym głosem, wypadkową wielogardłowego krzyku. Stefan, kilka razy najzupełniej niepotrzebnie biegnąc na górę, mijał mieszkanie profesora. Pod jego drzwiami tłała wążutka smużka. Poza tym nie dochodził stamtąd żaden dźwięk.

Zrazu sprawa ukrycia chorych na terenie szpitala wydawała się beznadziejna. Tymczasem Pajczkowski postawił lekarzy wobec faktu dokonanego, lokując jedenastu schizofreników w remisji i trzech maniaków w swoim mieszkaniu. Zamaskował drzwi szafą. Potem trzeba ją

było odsuwać, bo pozornie najzdrowszy schizofrenik dostał ataku. W pośpiechu pchając szafę odłupano spory kęs tynku, więc Pajączkowski własnoręcznie zakrył go zawieszoną naprędcę firanczką. Stefan wpadał kilka razy do jego mieszkania: gdyby nie powszechne zdenerwowanie, może ucieszyłby się widokiem staruszka, który, dzierżąc w ustach pęk gwoździ, neurologicznym młotkiem przybijał kotarę balansując na trzymanym przez Józka krześle. Uchwalono, że chorych wziąć mogą do siebie tylko posiadający co najmniej dwa pokoje. W grę wchodził Kauters i Rygier. Ten ostatni, dobrze już pijany, zgodził się schować u siebie kilku. Tymczasem Stefan poszedł na salę, żeby wyprowadzić owego chłopca—rzeźbiarza i otworzywszy drzwi wpadł na kłęb ryczących ludzi.

Długie strzępy prześcieradeł wirowały wokół ocalałych jeszcze lamp. Ponad ogólny wrzask wyskakiwały piana, gwizdy i co kilkanaście sekund wyrzucany z pękającego wprost gardła skowyt „wojna punicka w szafie!” Grzęznąć w kłębach cuchnącego pierza Stefan przedzierał się zapamiętałe pod ścianami. Dwa razy obalono go, upadł pod nogi Paścikowiaka, który przemierzał podłogę nieprawdopodobnymi susami, jakby usiłując się wyrwać sile ciężkości.

Obłąkani, ślepi od szału, miotali się diabelskim młynem, z chrupotem kości uderzali ciałami o ściany, wczołgiwali się po kilku pod łóżka, spod których wyskakiwały ich dygocące nogi. Przeczekując krótkie chwile w kącie lub pod drzwiami, Stefan zdołał się wreszcie przedostać do sali —chłopca. Odnalazłszy go, musiał użyć pięści, aby utorować sobie drogę do drzwi. Wtem chłopak zaparł się nogami i stanął ciągnąc Stefana w kąt. Tutaj wydobył spod siennika duże zawiniątko w workowej płachcie. Wtedy dopiero dał się posłusznie doprowadzić do drzwi.

Stefan odetchnął, gdy znalazł się na korytarzu, z oberwanymi guzikami i kapiącą z nosa krwią. Za drzwiami ryki podnosiły się jeszcze bardziej. Oddał chłopca Józefowi, który pomagał urządzać kryjówkę w mieszkaniu Marglewskiego, i wrócił na dół. Na podeście schodów spostrzegł, że trzyma coś w ręku: owo zawiniątko, które wcisnął mu chłopiec. Wsadziwszy je pod pachę, sięgnął po papierosa i przestraszył się, tak mu ręce latały przy pocieraniu zapalki o pudełko.

Wszzechobecny Pajpak po trzecim z kolei ataku, który nawiedził ukrytych, zaaplikował wszystkim po dawce luminalu. Świtało, gdy trzydziestu z górą chorych, pogrążonych w narkotycznym śnie, zamknięto w trzech mieszkaniach.

Kartoteki ich zniszczył własnoręcznie Pajpak, nie reagując na trwożliwe rozkładanie rąk Stefana. Dopiero gdy podniósł się z podłogi, zamykając drzwiczki od pieca, w którym palił arkusze, powiedział wycierając wysmarowane sadzą ręce:

— Ja to w... wszystko biorę na siebie. Nosilewska, blada, lecz spokojna, chodziła wszędzie za adiunktem. Księdzu Niezgłobie stworzono naprędcę fikcyjny etat „duchownego zakładu”. Stał w najciemniejszym kącie apteki, skąd dobiegał jego przenikliwy szept: modlił się.

Stefana, pędzącego nie wiadomo po co i dokąd korytarzem, napadł Sekułowksi.

— Panie... panie... panie doktorze — wołał czepiając się jego płaszcz — a może ja... dajcie mi chałat lekarski... ja znam przecież psychiatrię, przecież pan wie...

Biegł za nim, jakby się bawili w berka. Stefan stanął dysząc, oprzytomniał trochę i zastanowił się.

— Czemu nie? Już i tak wszystko jedno. Zrobiło się księdzu, można i panu... ale z drugiej strony...

Sekułowksi nie dał mu dojść do słowa. Przekrzykując się wzajem doszli do schodów. Na półpiętrze stał Pajpak i wydawał ostatnie polecenia pielęgniarzom.

— A ja mówię, żeby ich wszystkich otruć! — zawołał czerwony jak burak Krzeczotek.

— To jest nie tylko nonsens, ale p... przestępstwo — powiedział Pajączkowski. Bfaże krople potu ściekały mu z czoła, lśniąć na siwych piórkach brwi. — Może wszystko Bóg

odmieni... to co wtedy? A tak... to narazimy i schowanych, i nas.

— Niech pan do niego nie gada. To gówniarz — wzdorliwie wtrącił stojący w cieniu Rygier. Kieszeń chałata rozdymała mu flaszka spirytusu.

— Pan jest pijany!

— Panie adiunkcie — wmieszał się Stefan, którego

Sekułowski wprost siłą pchał na staruszka. — Jest taka sprawa...

— No... czy ja wiem? — rzekł wysłuchawszy Pajpak. — No, czemu pan nie chciał pójść do mm., mego mieszkania?

Otarł czoło dużą białą chustką.

— No, niech będzie. Zaraz... pani doktor... koleżanko, pani już ma wprawę w tym... pisaniu...

— Zaraz sfalszuję książkę — powiedziała swoim jasnym, miłym głosem Nosilewska. — Chodź pan ze mną.

Sekułowski pognał za nią.

— A... jest jeszcze coś — powiedział Pajpak. — Do doktora Kautersa trzeba pójść. Ale ja sam — nie... niezręcznie mi.

Zaczekał, aż Nosilewska wróci z kancelarii. Sekułowski krzątał się już po gmachu w białym płaszczu Stefana, nawet jego słuchawkę wsadził sobie do kieszeni. Jednakże, zbliżywszy się do drzwi łączących budynki, usłyszał wzbierające potępieńcze wycia i schował się w bibliotece.

Stefan był bardzo zmęczony. Rozejrzał się po korytarzu, machnął ręką, zajrzał w szyby, czy aby nie świta, i poszedł do apteki łyknąć bromu. Przystawiając flaszki na półkach, usłyszał lekkie kroki.

Wszedł Łądkowski w swoim czarnym, luźnym ubraniu.

— Wasza Magnificencjo...?

Zdawało się, że profesor jest niezadowolony z obecności Stefana.

— Nie, nic. Nic — powtórzył. Stał chwilę w progu. Stefan pomyślał, że może Łądkowski źle się czuje: był bardzo blady, a oczy jego uchylały się od spojrzeń. Drgnął, jakby chciał zawrócić. Położył nawet rękę na klamce, ale cofnął się i podszedł zupełnie blisko do Stefana.

— Czy jest tu... cyjanek?

— Co proszę?

— Czy jest w aptece cyjanek potasu?

— A... a... jest — bąknął Stefan nie mogąc zebrać myśli. Zaskoczony, puścił słoik z luminalem, który rozbił się o podłogę. Chciał zebrać skorupy, ale podniósł się patrząc wyczekująco na profesora.

— Tutaj wisi klucz, Wasza Magnificencjo... tutaj, o!

Cyjanek wraz z truciznami znajdował się pod zamknięciem w małej, wiszącej szafeczce.

Profesor wyciągnął szufladkę i rozważnie wybrał małą, pustą rurkę szklaną po piramidonie. Potem wziął z półeczki słoik, odkorkował go nożyczkami i ostrożnie odsypał kilkanaście białych kryształków. Zakorkował rurkę i wsunął ją do górnej kieszeni surduta. Zamknąwszy szafkę, powiesił klucz na gwoździu i miał już wyjść, lecz raz jeszcze wrócił do Stefana:

— Proszę nie mówić nikomu o tym, że... że ja... Znienacka z wierzchu chwycił zwisającą rękę Stefana, ścisnął ją zimnymi palcami i półgłosem powiedział:

— Bardzo proszę.

Wyszedł z pośpiechem, zamykając lekko drzwi.

Stefan stał oparty o stół, czując jeszcze ślad palców Łądkowskiego na grzbiecie dłoni. Obejrzał ją. Powrócił do szafki, by nalać sobie bromu i znieruchomiał z uniesioną flaszka.

Przed chwilą przez nie dopiętą pod rozchylnym surdudem koszulę Łądkowskiego zobaczył jego wątlą, starczą pierś. Przypomniała mu się natrętnie bajka o potężnym królu.



Mocarz ten rządził olbrzymim państwem. Gipsu jego słuchały ludy w promieniu tysiąca mil. Gdy Faz znudzony usnął na tronie, korni dworzanie postanowili rozebrać go sami i przenieść do apartamentów sypialnych. Zdjęli zeń płaszcz gronostajowy, pod którym zaświeciła purpurowa, złotem wyszywana szata. Gdy i ją zdjęli, zabłysła suknia jedwabna, cała w gwiazdy i słońca. Pod tą — jaśniała szata utkana z pereł. Następną haftowały rubinowe błyskawice.

Tak rozbierali jedną szatę po drugiej, aż utworzył się wielki, strzelający iskrami stos. Wówczas spojrzeli na siebie przerażeni wołając wielkimi głosami: „Gdzież jest nasz król?!” Mieli bowiem przed sobą moc porozrzucanych, drogocennych szat, a w nich ani śladu żywej istoty. Bajka ta nazywała się „Obieranie cebuli czyli o majestacie”.

Godzinę trwała konferencja u Kautersa. Chirurg zdecydował się wreszcie na „splendid isolation”: o niczym nie wie, do niczego się nie miesza. Orientuje się wyłącznie w sprawach sali operacyjnej. Lekarzem jego oddziału został Sekułowski. Opowiadając Stefanowi o rozmowie Nosilewska zauważyła, że u Kautersa śpi na dwu zestawionych fotelach siostra Gonzaga. Siostra Gonzaga? Stefan nie miał siły nawet się zdziwić. Ogarniało go drętwienie. Widział wszystko jak za lekką mgłą. Dochodziła szósta. Idąc powoli korytarzem parteru natknął się na Rygiera, który siedział na wytoczonym na środek posadzki fotelu do przewożenia paralityków. Postawił przed sobą flaszkę i delikatnie trącał ją nogą, jakby napawając się czystym dźwiękiem szkła.

Stefana uderzyło napięcie malujące się na jego twarzy, grożące — zdawało się — w każdej chwili wybuchem łkania. Nie siniał się odezwać, aż nagle Rygier podskoczył: dotąd powstrzymywał czkawkę.

— Nie wie pan, gdzie jest Pajączkowski?

— Wyszedł do ogrodu — odparł Rygier i znowu czknął.

— Po co?

— Z księdzem. Modlą się pewno.

— Aha.

Ujrzawszy Stefana, Sekułowski wyszedł z biblioteki.

— Dokąd pan idzie?

— Nie mam już sił. Położę się, myślę, że trzeba nam będzie jeszcze sporo sił — rano.

Sekułowski wydawał się w białym płaszczu tęszy niż zwykle. Nie mógł dopiąć paska, więc go nadsztukował bandażem.

— Podziwiam pana. Ja... ja... nie mógłbym.

— E, co tam. Chodź pan do mnie.

Na schodach spostrzegł opartą o kaloryfer, zwiniętą szmatę. Przypomniał sobie, że dał mu ją mały. Wziął zawiniątko ze sobą i z ciekawości rozwinął. Była to głowa mężczyzny w hełmie, zanurzona powyżej górnej wargi w kostce kamienia. Nabrzękle oczy i policzki wydęte od środka. Niewidzialne, pogrążone w kamieniu usta krzyczały.

W pokoju rzucił rzeźbę na stół, ściągnął z łóżka koc i przysunąwszy krzesło opadł na poduszki. W tej chwili wbiegł do pokoju Rygier.

— Słuchajcie... przyszedł młody Pościk, bierze sześciu chorych, przeprowadzi do Nieczaw przez las. Chce pan iść, panie Sekułowski?

— Kto przyszedł...? — samymi wargami, prawie bez głosu powiedział Stefan.

Ale jego szepc pokryły słowa poety:

— Kto? Jakich chorych?

Stefan podniósł się z łóżka, walcząc z sennością.

— No, młody Pościk, syn tego elektryka... z lasu przyszedł i czeka na dole — zdenerwował się wytrzeźwiały Rygier. — Bierze wszystkich, którym stary nie dał luminalu. No, idzie pan czy nie?

— Z wariatami? Teraz?

Poeta, bardzo podniecony, wstał z krzesła. Ręce mu drżały.

— Mam iść? — zwrócił się do Stefana. Ten milczał, zaskoczony, że się tak niespodziewanie wyłonił człowiek, który cały czas był gdzieś w pobliżu, a on nic o tym nie wiedział.

— Nie mogę w takiej sytuacji radzić...

— Po godzinie policyjnej... razem z wariatami... — rozważał półgłosem Sekułowksi. — Nie! — powiedział głośnie, a gdy Rygier skoczył do drzwi, zawołał:

— Ależ czekajże pan!

— Niech się pan decyduje! On nie może czekać, to dwie godziny drogi przez las!

— A kto on jest?

Było jasne, że Sekułowksi pyta głównie, by zyskać czas. Miał w palcach węzeł płóciennego paska od płaszcza.

— Coś pan, głuchy?! Partyzant! Przyszedł teraz i jeszcze awanturę Pajączkowskiemu zrobił, że dał tamtym chorym luminal...

— Można na nim polegać?

— Nie wiem! Idzie pan czy nie?

— A ksiądz idzie?

— Nie. Więc jak?

Sekułowksi milczał. Rygier wzruszył ramionami i wybiegł, mocno zatrzaskując drzwi. Poeta postąpił za nim krok i zatrzymał się.

— Może iść...? — spytał bezradnie.

Stefanowi głowa opadała na poduszkę. Wymamrotał coś niewyraźnie.

Słyszał, że poeta chodzi po pokoju i mówi, ale nie nadażał za sensem. Opanowała go niezmożona senność.

— Kładź się pan — powiedział i niemal natychmiast zasnął.

Zbudziło go mocne światło. Jakiś pręt uderzył go w ramię. Otworzywszy oczy leżał nieruchomo; w pokoju było ciemno, gdyż rolety opuścił jeszcze wieczorem. Przy łóżku stało kilku wysokich ludzi. Nieprzytomnie zasłonił twarz ręką: jeden świecił mu reflektorem w oczy.

— Wer bist du?

— A, lass ihn. Der ist Arzt — odezwał się z tyłu drugi głos, jakby znajomy. Stefan zerwał się: trzech Niemcy w ceratowych ciemnych płaszczach, z automatami przez ramię, rozstąpili się przed nim. Drzwi wiodące na korytarz były otwarte. Dochodziły stamtąd ciężkie podkute kroki.

W kącie stał Sekułowksi. Stefan spostrzegł go dopiero, gdy Niemiec rzucił tam światło. — Auch Arzt, wie?

Sekułowksi zagadał szybko po niemiecku łamiącym się nieznacznie głosem. Wyszli po kolei. Przy drzwiach stał Hutka. Oddał ich żołnierzowi w czarnym mundurze, każąc sprowadzić lekarzy na dół. Zeszli drugą klatką schodową. W aptece, przed którą stał jeszcze jeden czarny z karabinem, ujrzeli Pajączkowskiego, Nosilewską, Rygiera, Staszka, profesora, Kautersa i księdza. Żołnierz eskortujący poetę i Stefana wszedł, zamknął drzwi i patrzył na nich długą chwilę. Adiunkt stał przy oknie garbiąc ramiona i plecy, odwrócony do innych tyłem, Nosilewską siedziała na metalowym taborecie, Rygier i Staszek na stole. Dzień był pochmurny, lecz jasny, przez rzadniejące liście za oknem białeły obłoki. Żołnierz zasłonił sobą drzwi. Był to chłop o płaskiej ciemnej twarzy ze złą szczęką. Oddychał coraz głośnie, aż zawołał:

— Nu, wy pany doktory, na szo wam wyszło? Ukraina buła i bude, a wam kajuk!

— Proszę wykonywać swoje obowiązki, jak my wykonywaliśmy nasze, ale nie mówić do nas — rzekł nad podziw mocnym głosem Pajpak. Wyprostował się, elastycznie odwrócił ku

Ukraińcowi i patrzył w niego czarnymi oczami spod nasuniętych siwych brwi. Dyszał.

— A ty... — zabelkotał żołnierz podnosząc bułowate pięści. Drzwi otwarły się potrącając go silnie.

— Was machst du hier? Rrrraus!! — wrzasnął Hutka. Był w hełmie, automat trzymał w lewej ręce jak do ciosu.

— Ruhe! — krzyknął, choć wszyscy milczeli. — Sie bleiben hier sitzen, bis Ihnen anders befohlen wird. Niemand darf hinaus. Und ich sage noch einmal: Solten wir einen einzigen versteckten Kranken finden... sind Sie alle dran.

Spojrzał wyblakłymi tęczówkami i zrobił zwrot tył. Rozległ się zachrypnięty głos Sekułowskiego:

— Herr... Herr Offizier...

— Was noch? — warknął Hutka ukazując ciemnobrązową twarz spod okapu hełmu. Rękę trzymał na kłamec.

— Man hat einige Kranke in den Wohnungen versteckt...

— Was? Was?

Hutka skoczył do niego, chwycił go za kołnierz, potrząsnął.

— Wo sind sie? Du Gauner! Ihr alle! Sekułowski zaczął stękać dygocąc. Hutka zawołał wachmistrza i kazał mu przeszukać wszystkie mieszkania w gmachu. Poeta, wciąż trzymany za kołnierz płaszcz, powiedział szybko, piskliwie:

— Ja nie chciałem, żeby wszyscy — nie mógł ruszyć rękami, bo mu się rękawy wpijały pod pachy.

— Herr Obersturmführer, das ist kein Arzt, das ist Kranker, ein Wahnsinniger! — zawołał, zeskakując ze stołu, śmiertelnie blady Staszek.

Ktoś westchnął. Hutka osłupiał.

— Was soil das? Du Saudoktor?! Was heisst das?! Staszek powtórzył swoją kulawą niemczyzną, że Sekułowski to chory.

Niezgłoba skulił się przy oknie. Hutka toczył po nich oczami, zaczynał rozumieć. Nozdrza mu chodziły.

— Was für Gauner sind das, was für Lügner, diese Schweinehunde! — zaryczał wreszcie, ciskając Sekułowskiego o ścianę. Butla z bromem zakołysała się na brzegu stołu i runęła, roztrzaskując się i zalewając swą zawartością linoleum.

— Und das wollen Ärzte sein... Na, wir werden. schon Ordnung schaffen. Zeigt eure Papiere!

Przywołany z korytarza Ukrainiec, starszy widocznie, gdyż na naramiennikach miał dwa srebrne paski, pomagał w tłumaczeniu dokumentów. Prócz Nosi—lewskiej wszyscy mieli je przy sobie. Poszła z wartownikiem na górę, tymczasem Hutka doszedł do Kautersa. Jego papiery oglądał dłużej i nieco złagodniał.

— Ach so, Sie sind also Volksdeutscher. Na schön. Aber warum haben Sie diesen polnischen Schwindel mitgemacht?

Kauters wyjaśnił, że o niczym nie wiedział. Mówił twardą, lecz dobrą niemczyzną.

Nosilewska wróciła z legitymacją Izby Lekarskiej. Hutka machnął na nią ręką i zwrócił się do Sekułow—skiego, który wciąż stał za szafką przy ścianie.

— Komm.

— Herr Offizier... ich bin nicht krank. Ich bin völlig gesund.

— Bist du Arzt?

— Ja... nein, aber ich kann nicht... ich werde...

— Komm.

Hutka był teraz zupełnie spokojny, nawet za spokojny. Prawie się uśmiechał, nieruchomy, barczysty, w szeleszczącej przy każdym ruchu pelerynie. Kiwał palcem wskazującym jak na dziecko:

— Komm.

Sekułowski postąpił o krok i nagle ukląkł.

— Gnade, Gnade... ich will leben. Ich bin gesund.

— Genug! — Hutka wpadł w piejący ryk. — Du Verräter! Deine unschuldigen verrückten Brüder hast du ausgeliefert.

Za domem huknęły dwa strzały. Szyby odezwały się szklanym dreszczem, w szafce zadzwoniły instrumenty.

Sekułowski przypadł do butów Niemca, owiany latającym płaszczem lekarskim. Jeszcze ścisnął w ręce gumowy młoteczek.

— Franke!

Wszedł drugi Niemiec i porwał Sekułowskiego za ramię z taką siłą, że poeta, choć gruby i wysoki, podleciał z kolan jak szmaciana kukła.

— Meine Mutter war eine Deutsche!!! — kwiczał falsetem, wywlekany za drzwi. Uczepił się ich, rwał z powrotem, targał kurczowo, nie śmiejąc jednak bronić się przed ciosami. Frankę podniósł karabin i metodycznie obtłukiwał kolbą palce, wpijające się w odrzwia.

— Gnaade! Matko Boska...! — wył Sekułowski. Grube łzy ściekały mu po twarzy.

Niemiec zaczynał się denerwować. Utknął w samym progu, bo Sekułowski chwycił się znowu klamki. Objął go wpół, pochylił się jak robotnik, napiął wszystkie mięśnie i targał całą mocą. Odlecieli na korytarz. Tam Sekułowski zwał się z łomotem na kamienne płyty, a Niemiec, zamykając drzwi, ukazał lekarzom raz jeszcze twarz spoconą i pociemniałą z wysiłku.

— Dreckige Arbeit! — powiedział i zatrzasnął je.

Okno apteki wychodziło na wielkie skupisko zarośli, które nierównym konturem zaciemniały jej wnętrze. Dalej, za pojedynczymi drzewami, wznosił się ślepy mur. Wrzaski chorych i zdarte głosy Niemców dobiegały tu przytłumione, lecz wyraźne. W powiększony i jakby stężały słuch runęły strzały karabinowe. Najpierw były gęsto, przerywane odgłosem padających, miękkich worków. Potem zaległa cisza. Jakiś głos przeraźliwy wołał:

— Wie-tere zwan-zig Figu-uu-ren!

Strzały zaklaskały o mur. Czasem smętne, ostro urwane gwizdnięcie oznajmiało przelot zbłąkanej kuli. To znowu rozbębnił się krótki warkot karabinu maszynowego. Na ogół jednak huczała broń ręczna. Po ciszy słychać było zgrzyt wielu kroków, monotonne wołanie:

— Wie-tere zwan-zig Figu-uu-ren!

...i dwa — trzy strzały pistoletowe, wysokie i krótkie jak dźwięk korka wysadzonego z butelki.

Raz buchnął wrzask przenikliwy, niepodobny do głosu ludzkiego. To znowu z góry, jakby z piętra, rozległ się śmiejący płacz. Trwał długo.

Lekarze, wszyscy z oczami wbitymi w najbliższy przedmiot, siedzieli bez ruchu. Stefan był jakiś otepiały. Początkowo coś mu się jeszcze kleiło: że Hutka, którego każda sytuacja przerasta o niebo, daje sobie przecież ze wszystkimi radę... że nawet śmierć ma swoje życie... ale ostatnią refleksję przebił nagły krzyk niemiecki. Ktoś uciekał. Chrząściły łamane gałęzie, czerwone liście żywiej sypnęły za szybami i zupełnie blisko rozległ się łkający oddech i uderzenia zwiru wyrzucanego stopami.

Runął strzał jak piorun. Wrzask skoczył i złamał się w sobie.

Szybkie chmury, co chwila zmieniające postać, wypełniały skrawek widomego nieba. Po dziesiątej strzały ucichły. Nastąpiło coś w rodzaju odprężenia. Tymczasem w kwadrans potem zaterkotały karabiny maszynowe. Cisza znowu zaludniła się pianiem obłąkanych i ochrypłym głosem Niemców.

O dwunastej uszu lekarzy dochodziły tylko ciężkie kroki wokół budynku, rozległo się szczekanie psa i krótki pisk kobiecy. Nagle drzwi, na które nie zwracali już uwagi, otwarły

się. Wszedł wachmistrz Ukraińców.

— Wychodit, wychodit szwydko! — zawołał z progu. Za jego plecami zamigotał hełm Niemca.

— Alle raus! — krzyknął targając do ostatka głos. Kurz zmieszał mu się na ciemnej twarzy z potem, oczy miał pijane, drgające.

Lekarze wyszli na korytarz. Stefan znalazł się przy Nosilewskiej. Było pusto, tylko w progu leżało kilka zmiętych i rzuconych na kupę prześcieradeł. Długie, czarniawo rozmazane ślady prowadziły ku schodom. Za zakrętem leżała wsparta o kaloryfer wielka masa: skręcony we dwoje trup z rozwaloną czaszką, z której wylazły czarne sople. Sękata żółta pięta sterczała z wiśniowego szlafroka do połowy szerokości korytarza. Wszyscy przechodząc omijali ją, tylko Niemiec, ostatni kopnął butem zdrętwiały kikut. Stefanowi zatańczyły sylwetki idących w oczach. Chwycił się ramienia Nosilewskiej. Tak doszli do biblioteki.

Panował tu nieład. Z dwu bliższych drzwiom szaf wywalono na podłogę sterty tomów. Okrakiem spadłe, wielkie księgi wachlowały lekko kartkami, gdy wchodzili. Dwaj Niemcy czekali przy drzwiach, potem weszli ostatni. Zaraz wybrali sobie najwygodniejszą, czerwonym pluszem obitą kanapkę.

Stefanowi migotało w oczach. Otoczenie tętniło, szarzało, kolory i wszystko zapadło się jak przekłuty pęcherz. Zemdlał pierwszy raz w życiu.

Budząc się uczuł, że leży na czymś ciepłym i jędrnym: Nosilewska trzymała jego głowę na kolanach, a Pajpak unosił mu nogi w górę.

— Co się stało ze służbą? — spytał nieprzytomnie.

— Kazali im pójść do Bierzyńca jeszcze rano.

— A my?

Nikt nie odpowiedział. Stefan wstał, zatoczył się, ale czuł, że już nie zemdleje. Zbliżyły się z zewnątrz kroki; wszedł żołnierz.

— Ist Professor Llon-kow-sky hier? — spytał.

Zapanowała cisza. Wreszcie Rygier szepnął:

— Panie profesorze... Wasza Magnificencjo...

Profesor, pochylony w foteliku, tak jak go chwyciło wołanie Niemca, powoli się prostował. Oczy jego, ogromne, ciężkie, bez wyrazu, przechodziły kolejno przez wszystkie twarze. Potem chwycił się poręczy i wstając z pewnym wysiłkiem, sięgnął do górnej kieszeni surduta. Wymacał coś ruchem płasko rozpostartej dłoni. Książ, czarny, w falującej sutannie, chciał iść mu naprzeciw, ale profesor zrobił mały, kategoriyczny gest i ruszył do drzwi.

— Kommen Sie, bitte — rzekł Niemiec i grzecznie przepuścił go pierwszego.

Siedzieli milcząc, aż zupełnie blisko huknął strzał jak grom w zamkniętej przestrzeni. Zrobiło się straszno. Nawet Niemcy, gadający na kanapce, zamilkli, Kauters zły potem, ściągnął swój egipski profil w zębatą linię, zacierał race, aż mu ściągnęła skrzypiały Rygier dziecinnie zgiął usta i gryzł wargi. Tylko Nosilewska, skulona — twarz oparła na pięściach, a łokcie na kolanach — była spokojna. Piękna i spokojna.

Stefan, czując, jak w dołku puchnie mu coś, jak całe ciało staje się olbrzymie i śliskie od potu, a w skórę wszczepia się obrzydliwe, delikatne drżenie, pomyślał, że ona będzie piękna nawet umierając, i było w tym coś z przewrotnej satysfakcji,

— Zdaje się, że... że nas... — szepnął Rygier do Staszka.

Wszyscy siedzieli na czerwonych fotelikach, tylko książ stał w najciemniejszym kącie, utworzonym przez dwie szafy. Stefan podbiegł do niego.

Książ szeptał.

— Za... zabiją — powiedział Stefan.

— Pater noster, qui es in coelis... — szeptał książ.

— Księżę, księżę, to nieprawda!

— Sanctificetur nomen Tuum...

— Ksiądz myli się, ksiądz kłamie — szeptał Stefan. — Nie ma nic, nic, nic! Zrozumiałem to, kiedy zemdląłem. Ten pokój i my, i to wszystko, to jest tylko nasza krew. Kiedy przestaje płynąć, wszystko zaczyna pulsować coraz słabiej i słabiej, nawet niebo, nawet niebo umiera! Ksiądz słyszy?

Targnął go za sutannę.

— Fiat voluntas Tua... — szeptał ksiądz.

— Nie ma nic, ani kolorów, ani zapachów, nawet ciemności...

— Tę g o świata nie ma — powiedział cicho ksiądz zwracając ku niemu brzydką, zboląłą twarz.

Niemcy zaczęli się głośno śmiać. Kauters wstał raptownie i podszedł do nich.

— Entschuldigen Sie — powiedział — aber der Herr Obersturmführer hat mir meine Papiere abgenommen. Wissen Sie nicht, ob...

— Sie müssen schon etwas Geduld haben — przerwał mu krępy, szerokopleczysty Niemiec o żyłkowanych czerwono policzkach. Opowiadał dalej koledze:

— Weisst du, das war, als die Hauser schon alle brannten und ich glaubte, dort gębę es nur Tote. Da rennt Dir doch plötzlich mitten aus dem grossten Feuer ein Weib schnurstracks auf den Wald zu. Rennt wie verrückt und presst eine Gans an sich. War das ein Anblick! Fritz wollte ihr eine Kugel nachschicken, aber er konnte nicht einmal richtig zieleń vor Lachen — war das aber Jsomisch, was?

Roześmieli się. Kauters stał przy nich nie ruszając się, nagle wykrzywił niezwykle twarz i wydobył z siebie cienie, łamiące się „ha ha ha!” Opowiadacz nachmurzył się.

— Sie, Doktor — zauważył — warum lachen Sie? Da gibfs doch für Sie nichts zum Lachen.

Kautersowi białe plamy wystąpiły na policzkach:

— Ich... ich... — bąkał — ich bin ein Deutscher! Niemiec, siedzący trochę bokiem, zmierzył go z dołu oczami.

— So? Na, dann bitte, bitte.

Rozległ się w korytarzu krok, rozpoznawalny natychmiast jako niemiecki: silny, swobodny, twardy.

— Ksiądz... wierzy?! — błagalnie, ostatnim tchem rzucił Stefan.

— Wierzę.

Wszedł wysoki oficer, którego dotąd nie widzieli. Mundur leżał na nim jak ulał, rzemienie grały matowym blaskiem. Głowę miał obnażoną, długą, o szlachetnym czole i kasztanowatych, przyprószonych siwizną włosach. Gdy spojrzał ku siedzącym, światełka podskoczyły w jego stalowych okularach. Chirurg przystąpił do niego i prężąc się wyciągnął rękę:

— Von Kauters.

— Thiessdorff.

— Herr Doktor, was ist los mit unserem Professor? — spytał Kauters.

— Machen Sie sich keine Gedanken. Ich werde ihn mit dem Auto nach Bieschinetz bringen. Er packt jetzt seine Sachen.

— Wirklich? — wyrwało się Kautersowi.

Niemiec szczerwieniął, wstrząsnął głową.

— Mein Herr!

Potem z uśmiechem, w który wpadł nagle:

— Das müssen Sie mir schon glauben.

— Und warum werden wir hier zurückgehalten?

— Na na! Es stand ja schon übel um Sie, aber unser Hutka hat sich doch noch beruhigen lassen. Sie werden jetzt nur bewacht, weil Ihnen unsere Ukrainer sonst etwas antun könnten. Die lechzen ja noch Blut wie die Hunde, wissen Sie.

— Ja? — powiedział zdumiony Kauters.

— Wie die Falken... Man muss sie mit rohem Fleisch füttern — roześmiał się niemiecki psychiatra.. Zbliżył się do nich ksiądz.

— Herr Doktor — powiedział. — Wie kam das: Mensch und Arzt, und Kranke, die Erschiessen, die Tod!

W pierwszej chwili Niemiec, zdawało się, zamierzał się odwrócić czy podniesioną ręką odgrodzić od czarnego natręta, ale się nagle rozchmurzył.

— Jede Nation — powiedział swym głębokim głosem — gleicht einem Tierorganismus. Die kranken Körperstellen müssen manchmal herausgeschnitten werden. Das war eben so ein chirurgischer Eingriff...

Patrzył przez ramię księdza na Nosilewską. Nozdrza mu się rozděły.

— Aber Gott, Gott — powtarzał ksiądz.

Ponieważ Nosilewska siedziała wciąż tak samo milcząca i nieruchoma, Niemiec, patrząc na nią, rzekł głośnie:

— Ich kann es Ihnen auch anders erklären. Zur Zeit des Kaisers Augustus war in der Galiläa ein römischer Statthalter, der übte die Herrschaft über die Juden, und hiess Pontius Pilatus... Oczy mu płonęły.

— Panie Stefanie — powiedziała głośno Nosilewska — niech pan mu powie, żeby mnie puścił. Nie potrzebuję opieki i nie mogę tu być dłużej, bo... — urwała.

Stefan, poruszony (pierwszy raz nazwała go po imieniu), podszedł do stojących. Niemiec skłonił mu się grzecznie.

Spytał go, czy mogą odejść.

— Sie wollen fort? Alle?

— Frau Doktor Nosilewska — rzekł trochę bezradnie Stefan.

— Ach, so. Ja, natürlich. Gedulden Sie sich bitte noch etwas.

Niemiec dotrzymał obietnicy: zwolniono ich o zmroku. Gmach był milczący, ciemny i pusty. Stefan poszedł do swego pokoju spakować trochę rzeczy. Gdy zapalił lampę, zobaczył na stole notatnik Sekułowskiego i rzucił go do otwartej walizki. Potem spojrzął na rzeźbę, która leżała obok. Uświadomił sobie, że jej twórca leży gdzieś całkiem blisko, zduszony setką krwawych ciał w wykopanej rankiem jamie, i zrobiło mu się niedobrze.

Chwilę walczył z torsjami rwącymi mu żołądek, nagle upadł na łóżko i krótko, sucho zapłakał. Potem przyszedł spokój. Szybko złożył rzeczy, nacisnął denko walizy kolanem i zamknął ją. Ktoś wszedł. Poderwał się: była to Nosilewska. Niosła przed sobą neseser. Podała Stefanowi długi, biały przedmiot: zwitek papierów.

— Znalazłam w sieni — powiedziała, a widząc, że Stefan nie rozumie, dodała:

— To... to zgubił Sekułowski. Myślałam... bo pan się nim opiekował... to jest... to była jego własność.

Stefan stał nieruchomo z opuszczonymi rękami.

— Była? — powiedział. — Tak, była...

— Nie trzeba teraz myśleć. Nie wolno — z lekarską intonacją w głosie rzekła Nosilewska. Podniósł walizkę, w przejściu ujął papiery, zawahał się. Potem powoli wsunął je do kieszeni.

— Pójdziemy, prawda? — spytała dziewczyna. — Rygier i Pajączkowski zostają na noc. Pański kolega jest także z nimi. Zostaną do rana. Niemcy obiecali odwieźć im rzeczy na kolej.

— A Kauters? — spytał Stefan nie podnosząc oczu.

— Vo n Kauters? — odparła powoli Nosilewska. — Nie wiem. Może tu zostanie.

Na zdziwione spojrzenie dodała:

— Tu ma być niemiecki szpital SS. Słyszałam, jak mówił o tym z Thiessdorffem.

— Ach, tak — rzekł Stefan. Głowa zaczęła go boleć od skroni ku czołu.

— A pan chce tu zostać? Bo ja odchodzę.

— Pani... podziwiałem pani spokój.

— Zaledwie mi go starczyło. Wyczerpał się już: muszę iść. Muszę stąd iść — powtórzyła.

— Pójdę z panią — rzekł nagle, czując, że i on nie może dotykać sprzętów, na których jest jeszcze ciepły dotyk trupów, oddychać powietrzem, w którym drży ich oddech, a ich oderwane spojrzenia wiszą w pustej przestrzeni.

— Ale pójdziemy przez las — zauważyła — to — krótsza droga. I powiedział mi Hutka, że Ukraińcy patrolują szosę. Wolałabym się z nimi nie spotkać.

Już na parterze Stefan zawahał się: — A tamci...? Zrozumiała jego namysł.

— Chyba oszczędzimy tego i sobie, i im — powiedziała. — Wszyscy potrzebujemy innych ludzi, innego otoczenia...

Ruszyli ku bramie: ciemne drzewa szumiały górą jak powierzchnia chłodnego morza. Księżycyca nie było. Przed furką wyrosła zniecka wielka, czarna sylwetka.

— Wer da?

Jednocześnie oblało ich białe światło latarki. W odbłasku liści poznali Hutkę. Niemiec obchodził park.

— Gehen Sie — machnął ręką. Minęli go milcząc.

— Hallo! — zawołał. Zatrzymali się.

— Ihre erste und einzige Pflicht ist Schweigen. Verstehen Sie? — powiedział zbliżając się, jakby groził. Może przyczyną było jaskrawe, porozcinane klinami cienia światło, ale idąc w falującym płaszczu, który spadał mu do butów, z twarzą rozjarzoną rąbkami zębów, miał coś tragicznego.

Po długiej chwili Stefan odezwał się:

— Jak oni mogą to robić i żyć...?

Byli już na mrocznej drodze, mijali właśnie pochylony łuk kamienny z zatartym napisem, zarysowany na niebie jak czarny półkrąg. Znowu błysnęło światło: Hutka pożegnał ich długim skinieniem latarki. Potem zapadła ciemność.

Za drugim zakrętem zeszli z traktu i brnąc z trudem w błotnistej ziemi, ruszyli ku lasowi. Wnet otoczyły ich drzewa, coraz gęstsze i wyższe. Pograżali nogi w zeschniętych liściach, szumiących jak woda przy przechodzeniu brodu. Szli długo.

Po jakimś czasie Stefan spojrział na zegarek: powinni już wyjść na skraj lasu, skąd widać było stację. Milczał jednak. Szli dalej i szli, potykając się, walizka ciążyła, a wokół las szumiał jednak i z rzadka zza gałęzi jaśniało widmo nocnej chmury.

Przy wielkim jaworze, sklepionym rozłożyste, zatrzymał się mówiąc:

— Zabłądziliśmy.

— Zdaje się.

— Trzeba było iść szosą.

Próbował się zorientować, ale daremnie. Było coraz mroczniej.

Chmury zaległy całe niebo, które stało się niskim tłem wirujących w wietrze, bezlistnych gałęzi. Podmuchy gwizdały na cienkich witekach. W ich wysoki syk wlał się nowy, szemrzący pogłos, zaczął padać deszcz zalewając im twarze.

Gdy już ustawiali ze zmęczenia, nagle wychynął blisko przysadkowaty kształt: szopa jakaś czy chałupa. Drzewa zrzedły, wyszli na wolną przestrzeń.

— To Wietrzniki — rzekł wolno Stefan. — Jesteśmy dziewięć kilometrów od szosy, a jedenaście od miasteczka.

Zrobili duży łuk w przeciwną stronę.

— Na pociąg nie zdążymy już. Chyba, żebyśmy, dostali konie.

Nie odpowiedział: to było niemożliwe. Chłopi zapierali się w chałupach na głucho — sąsiednią wieś przed paru dniami spalili Niemcy do fundamentów, ludzi wybili do nogi.

Szli od opłotków do opłotków, kołacząc w drzwi i okiennice. Wszystko milczało jak wymarłe. Odezwał się pies, za nim drugi, wreszcie towarzyszyło im nieustające ujadanie,



opadając po przejściu falą. Prawie za wsią, na małym wzgórku, stała samotna chata, w której jedno okienko słabo czerwieniało.

Stefan ją walić w drzwi, aż zadygotały. Gdy stracił już nadzieję, otworzył im wysoki, rozczochrany chłop. Oczy zaświeciły białkami w niewidocznej, ciemnej twarzy. Pod zarzuconą bluzą bielą rozchełstana koszula.

— My... jesteśmy lekarzami z bierzynieckiego szpitala i... zabłądziliśmy, prosimy o nocleg... — zaczął Stefan, czuł jednak, że mówi źle. Zresztą cokolwiek by powiedział, było niewłaściwe. Sądził, że zna chłopów.

Chłop stał nieruchomo, zapierając sobą wejście.

— Prosimy was o nocleg — cicho jak dalekie echo powiedziała Nosilewska.

Chłop wciąż się nie ruszał.

— Zapłacimy — spróbował Stefan.

Chłop wciąż milczał, ale stał. Stefan wyjął z wewnętrznej kieszeni portfel.

— Nie trza mi waszych pieniędzy — rzekł nagle chłop. — Za takich jak wy jest kula.

— Ale co znowu. Niemcy pozwolili nam odejść — rzekł Stefan. — Zabłądziliśmy, myśmy chcieli na kolej...

— Zastrzelą, spalą, zatłuką — obojętnie ciągnął chłop wychodząc przed próg. Zawarł za sobą drzwi i stał, wysoki, na odkrytym miejscu. Deszcz padał coraz większy.

— Co z takimi robić? — rzekł wreszcie. Poszedł. Stefan z dziewczyną za nim. Za obejściem stała kryta słomą szopa. Otworzył zaparte drągiem wrota, z wnętrza buchnął zapach przestalego siana, pełen wonnego pyłu łaskoczącego nos.

— Tutaj — powiedział chłop. Odmilczał chwilę wedle swego zwyczaju i dodał:

— Podmoście se słomą. Ino nie ciskajcie snopami.

— Dziękujemy wam — zaczął Stefan. — Może jednak weźmiecie...?

Próbował wcisnąć mu banknot,

— Kuli nie strzyma — rzekł oschle chłop. — Co z takimi robić? — dodał raz jeszcze, ciszej.

— Dziękujemy wam... — powtórzył bezradnie Stefan.

Chłop postać jeszcze chwilę, potem powiedział:

— Śpijcie... — i odszedł zawierając wrota.

Stefan stał już przy progu. Wyciągnął przed siebie ręce jak ślepiec: zawsze słabo orientował się w ciemności. Nosilewska krzątała się w głębi, włócząc po ziemi słomą. Zrzucił przylepioną do grzbietu, zimną, ciężką marynarkę, z której sączyła się woda. Najchętniej zrobiliby to samo ze spodniami. Potknął się o jakiś dyszel, omal nie upadł, aż natrafił na swoją walizkę i wspomniał, że ma w niej latarkę. Domacał się zamka. Znalazł i latarkę, i tabliczkę czekolady. Położył świecący reflektor na ziemi i poszukał w kieszeni papierów Sekułowskiego. Lekarka słała rozrzuconą na klepisku słomę kocem. Usiadł na jego brzeжку i prostował arkusze. Na pierwszym było kilka słów. Pismo miało się w błękitnym oliniowaniu jak schwyte w siatkę. Na górze nazwisko, niżej tytuł „Mój świat”. Odwrócił stronę. Była nie zapisana. Następną także. Wszystkie, wszystkie białe i puste.

— Nic... — powiedział. — Nie ma nic...

Zdjął go taki lęk, że poszukał wzrokiem Nosilewskiej. Siedziała skulona, okryta pledem, wyrzucając spod niego kolejno bluzkę, spódniczkę, bieliznę, wszystko ciężkie od wilgoci.

— Puste... — powtórzył. Chciał coś powiedzieć, ale zmieniło się to w ochrypy jęk.

— Chodź tu.

Spojrzał na nią. Wyżymała włosy dłońmi, leciały jej ciemnymi falami w tył.

— Nie mogę — wyszeptał. — Nie mogę myśleć. Ten mały. A Sekułowski... To Staszek... to on...

— Chodź — powtórzyła tak samo miękko, prawie sennie. Spojrzał na nią zdziwiony. Wyciągając spod pledu nagie ramię, pogłaskała go jak dziecko. Wówczas nagle pochylił się

ku niej.

— Zbankrutowałem... jak mój ojciec...

Objęła go, gładziła po głowie.

— Nie myśl... — szepnęła. — Nie myśl nic.

Czuł na twarzy jej piersi, jej ręce. Nie było właściwie światła, tylko mętne pełganie dogasającej latarki, która, wtoczywszy się między kłosa, rzucała spośród nich rozczesany smugami cienia blask. Słyszał powolny, spokojny rytm jej serca, jakby ktoś do niego przemawiał w starym, najlepiej zrozumiałym języku. Wciąż jeszcze zwidywały mu się tamte twarze, gdy słabo, jakby bez tchu, pocałowała go w usta.

Potem zacisnęła ich ciemność. Był szorstki chrzęst słomy pod włochatym kocem i kobieta, która dawała mu rozkosz, ale nie tak, jak to się czyni zawsze. W każdej chwili panowała nad sobą i nad nim. Dlatego później, znużony, trzymając jej piękne ciało bez cienia namiętności, ale całą siłą rozpaczy, rozplakał się na jej piersiach. Potem uspokoił się i spojrzał na nią. Leżała na wznak, trochę wyżej, a w ostatnim, świetle jej twarz była taka spokojna. Nie śmiał spytać, czy go kocha. Tak ofiarować się, jakby się dawało obcemu ostatni raz — to było więcej niż miłość. A więc i jej nie ma. Nagle przemknęło mu przez głowę, że nie wie o niej nic, że nie pamięta nawet jej imienia. Cichutko szepnął:

— Słuchaj...

— A ona zamknęła mu usta dłonią miękką, choć pełną stanowczości. Potem uniesionym rąbkiem koca zaczęła wycierać jego łzy i pocałowała go lekko w policzek.

Wtedy odpadła odeń nawet ciekawość, tak że w ramionach tej obcej kobiety stał się na jedno mgnienie biały i nie zapisany, jak w chwili narodzin.

*Kraków, wrzesień 1948*